

574

OBRAZY LITEWSKIE.

S E R I A P I Ą T A .

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

Jan Koclianmoski.

**OBRAZI
L I T E W S K I E**

P^róó

Ignacego Chodźkę.

Serya Piata.

DWORKI NA ANTOKOLU:

Wydanie czwarte poprawne.

wa Tomy w Jednym.

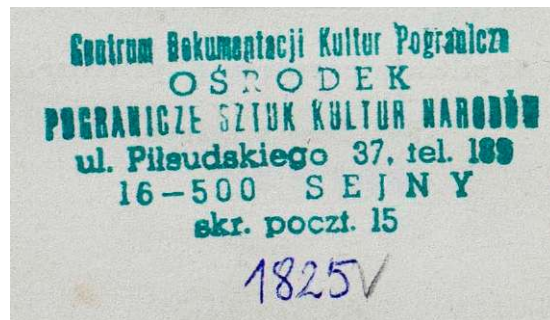


WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1876.

Ао3В(ueHo IJeH3ypoK> 10 Hoflopa 1875 ро^а.—
BmibHa.



BHJILIA. B-b Tmiorpa^iH n. OcuriA 3ABA^3KArO.
(SaKBOBbifl nepeyjiOKI., N. 149).

I.

Znikły już z ulic i nazwań miastowych *Dworki*, którymi niedawno przedmieścia miast większych, i niektóre mniejsze miasteczka gęsto zabudowano. Były to zwykle inierniejszej szlachty na starość schronienia, i jej cnót i obyczajów przybytki.

Stare małżeństwa zdawszy gospodarkę dzieciom, skupowały sobie *dworki* w mieście, i spokojnie przy chwale Boskiej pgtfżify ili&k póżeşły; karmiąc najczęściej jeszcze, i opatrując wnuków, chodzących tamże do szkoły."

Nie jedna ciepła i podstarzała ; wdówka, dostawszy od nieboszczyczka męża, dworek na Antokolu, czy pod Zielonym mostem na dożywocie; uciekła doń z gotówką od pasierzbów, wychowując także przy sobie, ze dwie siostrzeniczki lub synowiczki, z którymi nie opuszczała festów w każdym kościele, i dla których gdy podrosły i wyładniały, sprawując wieczorynki i wabiąc *Mościpanów*, sama podróżowawszy się trochę, młodsze swoje przypominała latka.

Niekiedy osiadł we *dworku*, marcowy podsiwiał kawaler, bywalec na świecie, *iwędzega* spekulant, z niewielkim zapasikiem grosza; i mały, przekupny, drzewem, zbożem, miodkiem, i wszelkimi wiktuałami prowadząc handelek, nie pracowity a swobodny wiódł żywot.

W miasteczkach pańskich, przyległych zwykle wspaniałym zamkom i pałacom, *dworki* zamieszkane bywały przez wysłużonych *gracyalistów*, żyjących z ordynaryów dożywotnich i modlących się do Boga za swych *benefaktorów* i chlebobawców.

W miasteczkach zaś sądowniczych, prześwietna palestra budowała sobie *dworki*, i w nich bywał kantor jurystowskich *konsyliów* i statutowych *sentencji*, z tą różnicą w ich położeniu: że gdy tu obok *dworku* Pana *iriceregenta* lub *adwokata*, stał często brudny szynkowy dom żydowski, w miastach większych *dworek* szlachecki, nie zniósłby tego uwłaczającego sobie sąsiedztwa, i takim lub owakim sposobem wykurzony żyd, uciekaćby musiał między swych jednowierców.

Dworki miejskie i ich gospodarze, mieli swoje jakby attynencye i spiżarnie na wsi: „krewny, przyjaciel, sąsiad dawny, xiądz Proboszcz parafii w której się pierwiej mieszkało, lub jego komendarz, przyjeżdżając do miasta za interessami, nie frasował się bynajmniej o wikt i kwaterę. Zajeżdżał śmiało do *dworku*, swych życzliwych, jak do własnego; a oddawszy do spiżarni Imości baryłeczkę staruszki, i inne zapasy przywiezione, pewnym był smacznego barszczu, pieczeni, i jakiegokolwiek jeszcze miejskiego specyału, którym miłego gościa uprzejma gosposia częstowała. Mieścił się zaś jak mógł, bo wzgląd na wygodę, nie był jako dziś, na szczególniejszej uwadze, a poczciwa družba i uprzejmość wzajemna, nagradzała niedogodność lokaty.

Wśród miastowego zgiełku, *dworki* wiązały się w osobne towarzystwa: jednostajność wieku i trybu życia mieszkańców, *konfraternia* w bractwach, wspólne obchodzenie festów i uroczystości; a nade wszystko wzajemny szacunek szlachectwa, a ztąd

wzajemny *affekt* i *respekt*, spokrewniały ich mieszkańców, i rozlewały pokój i zgodę na tę maleńką rzeczpospolitą, złożoną z Panów Skarbników, Podczaszych, Derewniczych, Mostowniczych, a w rodzaju żeńskim Podczaszaneczek, Skarbnikówień, i t. p. piastujących te honory *per viam haereditatis* od trzeciego częstokroć pokolenia!.. Jeżeli zaś i wmięszal się między nich jaki woźny emeryt; jako szlachcic, miał wprawdzie uczestnictwo w tern poważnem gronie, lecz przybierał tytuł *Generala*, nie ubliżający ich dostojnemu kolężeństwu.

Ktoby chciał widzieć razem wszystkich tych znacznych jegomościów, niechby się udał do najbliższego ich rezydencyi kościoła, na pierwszą mszę ranną; znalazłby całą ławkę, przed którymkolwiek uprzywilejowanym ołtarzem przez nich zajętą, mógłby z niemi razem zmówić różaniec, i przypatrzeć się tym pocziwym obliczom, których czerstwość i gracki rumieniec, zadawał omyłkę małej czuprynie siwych włosów, na wierzchu wygolonej głowy, jakby na datę ich wieku zostawionej; i na których prosta i prawdziwa pobożność, w serdecznych modłach, i w oczach ku świętej ofierze wzniesionych, pałała.

Ktoby zaś chciał widzieć same Tmoście, ciotulki i babulki, z assistencyą siostrzeniczek i wnuczek, miałby się wybrać na wotywę, i opuściwszy pierwsze, zlustrować drugie i trzecie ławki; spojrzeć jak zajmując rubrontami szerokie w nich miejsca, i wrzekomo modląc się gorliwie z książek, poważne matrony nie spuszczały jednak z oka swych drobniejszych krewniaczek, a śledząc za ich oczkami, często nieostróżnie ukradkiem, na bok rzucanemi, przerywały *swoje modlimy się*, gorzką panienkom przymówką:— »Gdzie waspanna zirkasz, czy to obrazek w tej węgierce?«

Zachowajmy tu jeszcze i topograficzne opisanie dworków: w Wilnie kamienice wzrosły na ich miejscach, albo jeżeli gdzie została która w zakątku, to przystrojony firankami w niskich swych okienkach, a upstrzony wewnątrz, z poczciwego jakby szlachcica, został ladajakim paniczem. Stara zaś generacya mieszkańców jego wywlekając się powoli na cmentarze, nowym ścianom i nowym dziedzicom, pozazdrościła bodaj dawnej swej prostoty obyczajów i przymiotów, ido grobu je z sobą zanosła.

Dworek więc zwykle w głębi dziedzińca zbudowany, miał naprzód sień wielką; w niej magle, pod wschodami prowadzącymi na porządne i zamczyste poddasze. Od sieni na jedną stronę mieszkanie Ichmościów; to jest: wielki pokój, drugi mniejszy za przepierzeniem, trzeci jeszcze mniejszy, graniczący przez ścianę z poważną w sieniach pieczurą, i równieże z nią obszerności; zakanurek to panienek lub chłopców uczepionych do familji.

Gdybym chciał wewnętrzne ozdoby tych izb opisywać, * musiałbym powtórzyć z małą odmianą opisanie *domku mojego dziadka* (*), bo w każdym szlacheckim domostwie, obraz Zbawiciela, lub Matki Boskiej, stanowił główną ozdobę izby i orędownictwo rodziny. U możniejszych, szafa królewiecka dębowa, w lilo,uranowe floreesy wysadzana, rzeźbą sztuczną ukoronowana, i mosiężnymi antabami ozdobnie okuta, szerokimi plecy swemi podpierając ścianę, chluba była gospodyni, a solą w oku sąsiadkom. Zresztą, kanapa nieco wygodniejsza i kształtniejszej formy, kilka przy niej rażniejszych krzesel, miejską we dworkach objawiało *-politykę*: przy piecu jednak od kominka, stał ukochany zedelek, na którym częściej i chętniej niżeli na kanapie, zwłaszcza w zimie, domowa sadowiła się gromadka. Za przepierzeniem,

(*) Serya I, Obrazów Litewskich.

łóżka ichmościów, nad nimi obrazków w ramkach i bez ramek cała litania; a między łózkami pod oknem, stoliczek imości, białemi falbanami aż do dołu opięty, na którym lusterko z szufladką i kilka a czasami i kilkanaście wiązek do nabożeństwa, leżało.

W ciasnym nakoniec alkierzyku, łóteczka panieńskie, za krótkie trochę na ich wysmukłe figurki; a w kątach kuferki, na których nie tylko same ich właścicielki, ale niekiedy i *estymoivany* a *akceptowany konkurent*:

»U nozek swojej kochanki
»Trawit wieczory i ranki.« (*)

Na przeciwku jedna obszerna izba czeladna i kuchnia razem, uzupełniała rezydencją sług i panów.

Rozporządzenie dalszego zabudowania: stajen, spichrzów, i rozmaitych składów, zależało od *substancji* i sposobów wybranych do utrzymania się w mieście właściciela; lecz zawsze w głównym planie jednostajne, otaczało dziedziniec, szczelną bramą zamkniętą, w środku którego studnia dachem pokryta, częstokroć sama jedna kilka dworów poila.

Ogródek rozlegał się za dworkiem: w nim kilka lip starych, kilka grusz i jabłoni, pod których cieniem, ujrzałbyś jegomościa siedzącego na ławce z dobrym sąsiadem, i popijających razem *Balbierzyskie* piwko, sławne niegdyś na całe Wilno; a w *kordyalnem* wynurzeniu wzajemnych *affektów*, i w spokojnym zadowoleniu ze swojego bytu i stanu, *dyszkurujących* poufale, a kończących dyskurs składaną sentencją:

»*To pan zdaniem mojem.*U Mospanie!
»*Kto przestał na swajem!*« Mości Dobrodzieju!—
i oba siwego pokręcali wąsa.

(*) Dawna piosnka.

II.

Rodzina Dowiatów.

Wdrugiej połowie panowania Stanisława Augusta, rodzina szlachecka *Dowiatów*, mająca w rozległym natenczas Oszmiańskim powiecie, swoje dziedzictwo i ziemię nadaną jej, jak twierdziła, *antę unionem* jeszcze, przeniosła się prawie cała do Wilna; a tylko najmłodszy ze czterech braci został na ojcowiznie.

Najstarszy X. Ambroży, niegdyś za miodu sławny trybunalski mecenas, teraz Trynitarz, i *Prokurator Causarum* klasztoru antokolskiego *Fratrum de redemptione Captivorum*, mieszkał w tymże klasztorze.

Z kolei Pan Kazimierz Podczaszy Smoleński, *sterilis* w kilkadziesięcioletnim małżeństwie; po długich naradach z ukochaną swą połowicą, i z xiędzem bratem Ambrożym, mającym tak ze starszeństwa, jako i ze stanu swego najważniejszą *preponderencyą* w konsyliach familijnych, dał *raletę* gospodarce, z rozmaitem powodzeniem na possessiach prowadzonej; a oddawszy kapitalik na *provizję*, kupił *dwork* na Antokolu, w którym się na resztę żywota swego, oboje Podczaszostwo zalokowało, wchodząc ochotnie w zwyczaje i obyczaje pobożnego i podeszłego jak oni sąsiedztwa-

Pan Franciszek, trzeci z rodzeństwa, od młodości przykładem najstarszego, u którego się aplikowały ujawszy się trybunalskiej kratki; długo *dependent*, dłużej *agent*, nakouiec *patron* najjaśniejszej magistratury; bezzenny Skarbnik *re et nomine*, bo chodząc około interessów jednego z [tanów litewskich, wymówił sobie oprócz zwykłego *honorarium*', *per modum* gratyfikacyi *stalLum* powiatowe. Jakoż pan Wojewoda przywiózł mu z Warszawy *Skarbnikostwo Oszmiańskie, munus* i tytuł, wcale do natury pana Franciszka stosowne. Lubił on bowiem pieniądze, zbierał je skrzętnie, chował pilnie, wydawał jak najmniej; więc miał rzeczywiście piękny skarbek i na obligach i w szkatule, która dla bezpieczeństwa w klasztorze u xiędza brata pod łóżkiem spoczywała. Kupił zaś sobie za kilkaset talarów *dworek* także na Antokolu, i w nim klientelę swą założył. Tym sposobem trzech braci znalazło się osiedlonych obok; a przy nich, i najmłodszy brat gospodarujący na wsi, ojciec jednego s\na i kilku córeczek, pouczał starsze swoje dziatki: bo Podczaszyna wzięła do siebie Helusię ładną kikanastoletnią jego córeczkę, którą jakby własną ukochała, a pan Skarbnik wziął pod swoją *manudukcyę* i do palestry sposobił syna ich pana Ludwika. Chłopak ten pięknemi przymiotami, obiecywał ozdobę zacnemu imieniowi Dowiałów; lecz pan Skarbnik nie upatrywał w nim, jak powiadał, ani potrzebnej aplikacyi do pracy, ani ochoty i *animadwersyi* do *patrocynii*.

III.

Pan Skarbnik jako Mecenas Trybunalski.

Pan Franciszek Dowiat, któremu osobny jeszcze rozdział poświęcić musimy, był w rzeczy samej jednym z pierwszych patronów w⁷ Litwie.

Lecz potrzeba nam tu objaśnić wprzód i wytłómaczyć, charakterystykę tamtoczasowych, a nawet bliższego nam wieku prawników i prawniczych talentów; w jednostajnym zawodzie, rozmaitych wszakże, nie tak nauką prawa, bo statut i konstytucye wszyscy na pamięć nmieli, jak raczej szczególnym usposobieniem i zdolnościami ku różnym odnogom prawnictwa i processów.

Jak w wojennym rzemiośle, nie każdy wódz równie jest zdolnym do komendy wszelką bronią, ani równie biegłym w układaniu strategicznych planów, jako i w ich wykonaniu pod ogniem nieprzyjaciela; a także do głównego dowództwa, jako i do mniejszych potyczek; tak i w mnogiej liczbie palestry, otaczającej niegdyś wszelkie sędownicze juryzdykcyje, nie każdy z iehmościów patronów był razem *exekulivus* i *tęgi do planów*. Były głowy i języki zdolne szczególnie do akcessoryjnych utarczek, jak kozaki do podjazdowej wojny. Dwadzieścia razy zaatakował on z różnych stron przeciwnika, odparł go do głównej rozprawy, zmęczył, zbił z planu, zmitrężył, i tak go zaplątał, że musiał się cofnąć koniecznie i odłożyć kampanię

naprowadzoną na wątpliwą drogę: a nadto z urywkowych tych dekrecików, jak ze wstępnych potyczek, wygranych czy przegranych, wyrozumiał on *praeter propter animusze* sędziów, siłę adwersarza, i stosowne potem układał piany, iub wróżył *ewenta*. Inny mniej zręczny w takich obrotach *ex promptu*; do stateczniejszej *procedury*, do oczewistej rozprawy umiał długie sposobie indukty; które, jako niegdys poważne znaki pancerne, przemożnie łamały nieprzyjaciela; a szeroko i umiejętnie rozwinionym szykiem dowodów, artykułami statutu jakby ciężkimi działami po lukach wspartym, parzyły go natarczywie.

Byli znowu tacy, którym ściany izby sądowej, przygniatały jakby głowę i wątliły dowcip: taki, trzech tam zliczyć nie umiał. Ale za toż na polu otwartym, pod gołem niebem, usta mu się rozwiązywały, gieniusz się w nim ożywiał i rozplómieniał!!! To *natus* plenipotent sądów granicznych i podkomorskich. On z dokumentem *juris haereditatis et granicierum* stanawszy na polu, oprowadzał naokoło wzrok szeroki... a zadartym nosem, przenikliwą źrenicą, i jakimś jasnowidzącym zmysłem, śledził i zda się wietrzył: flaszę trójniaków w kopcach dawnych, wraz z niemi w ziemię zapadłe, zaorane miedze, wyschłe wodocięcze, i klejmy w rdzeniach stuletnich dębów ukryte... siowem, tłómaczył i stosował stary i zbutwiały *mantyk* iak ściśle i doskonale, jak gdyby sam go przed wiekami pisał, a teraz zmartwychwstał jak Piotrowina dla dania świadectwa prawdzie.

Inni nakoniec szczególniejszym słynęli talentem, gdy *Causam facti*, przez *inkwizycye* i *indagacye* prowadzić trzeba, było; i albo się obronić od zadawanej *violencii*, albo ją na przeciwnika wrzucić.

Opinia publiczna, tak dalece te działy upowszechniała, tak one wszystkim wiadomemi były; że kokolwiek z ważną sprawą i z możną szkatułą, przychodził do sądu; musiał stosownie do nich rozdzielać po-

wdd, czy obronę swoją, aby być pewnym, że interes z reguł prowadzonym będzie, i że nic się w nim *contra gradum juris* nie stanie.

Pan Franciszek samą swą postacią i obliczem, ławtoby dał odgadnąć, do jakiego działu jurystów należał, gdyby powszechnie nie wiedziano jego przymiotów.

Miał on lat około pięćdziesięciu, lecz wiek nie czynił żadnej prawie różnicy, ani na jego postaci, ani na jego twarzy, w czwartym już krzyżyku tak zawiędłej, że piąty pomarszczyć jej nie mógł. Twarz tę z natury ściągłą i bladą, ospa poszczepała, i piegi pokropiły. Oczy szare, spuszczone zawsze ku ziemi i martwe na pozor, gdy się jednak podniosły, i stałe na kogoś wlepiły, pochłaniały w sobie nie tylko wszystkie wyrazy, ale i wszystkie myśli napróżno za wyrazami kryć się usiłujące. Włosy nad brwiami równo jakby pod linię ostrzyżone, zakrywały mu czoło, a z tyłu głowy szerokim wachlarzem na kołnierz spadając, odróżniały pana Skarbnika, od starych, z mody już natenczas wychodzących łbów golonych, i młodych wchodzących w modę werżetów, a uzupełniały regularną swą składnością, postać sensata i statysty, za jakiego między kolegami uchodził, i jakim on był nie tylko z natury, lecz i z przekonania, że takim być powinien Mecenasa trybunalski, i urzędnik ziemskie zasiadający *stallum*.

To też gdy w swojej cynamonowej, długiej po pięty, szeroko i ściśle fałdowanej u stanu taratatee, pasem pół-litym gładko po połowie rozgraniczony, z krwawą szpinką na szyi, z krwawymi dewizkami *wpekto-ralika* i krwawym herbowym na ręku pierścieniem, przesuwał się poważnym krokiem pan Skarbnik między szumną i zarozumiałą palestrą trybunalską, ustawiały wnet żarciki i docinki, witające każdego, rozsuwała

się młodzież, a starsi uprzejmą podawali mu rękę: bo chociaż go znali twardym skępcem, i zimnym a przebiegłym pedantem, nie mogli mu wszakże odmówić pewnego respektu, wymuszającego się zwykle w towarzystwie dla podobnych rygorystów. Ód razu więc jakim to powiedział, poznać można było, że pan Franciszek mniej zdolny do akcesoryjnej urywkowej wojny, należał do działu znakomitszych mecenasów, ciężkie tylko i stałe podejmujących prace. Nie przyjmował nawet małych szlacheckich sprawek, na których czas marnując, małych też i oczekiwać mógł korzyści. Ale główne plenipoteneye najpierwszych panów litewskich i ich stuletni-e processa, kreował lub godził: bo częstokroć półarkuszowy na jednaniu dokumencik, obustronne przynosząc *sufragia*, ważniej się mu opłacał, niż *volumina induktów* i *replik*.

Mówiąc mało, słuchając cierpliwie, z powiną dla każdego *reverencyą*, z ręką lewą skromnie za pas założoną, a prawą do gestykulacyi także skromnej gotową; szepcąc tu i ówdzie po słówku, ale trafnie, ale *ad rem* i *ad hominem*, pan Skarbnik więcej sobie jednał zaufania, niżeli nieuważny krzykacz, tłumiący bardziej, niżeli przekonywający stronę i sędziów.

Praca i oszczędność, były natenczas godłem ludzi poświęcających się prawniczemu powołaniu: z tym podwójnym przymiotem dochodzili oni z czasem do znakomitego mienia, i do znakomitego znaczenia. Celował w obu tych przymiotach pan Skarbnik, a w drugim szczególnie był arey-mistrzem, korzystającym z każdej zręczności przytrzymania grosza w kieszeni. I dla tego nie miał on własnej kuchni: izba przeciwkowa we dworach zwykle na ten cel przeznaczona, u pana Skarbnika byłakancelaryą, w której aplikanci, poczciwa hołota, karmiła się tylko nadzieją, że z pod rg-

ki takiego mecenasa powychodzą na ludzi; do stawy zaś codziennej, nie mieli pretensyi nawet, gdy sam dostojny mecenas cudzą się posilał.

We środy, piątki i soboty, aby się nie narazić przypadkiem na uchybienie trzeciemu przykazaniu kościelnemu, szedł pan Skarbnik nieodmiennie na obiady do klasztoru do xiędza brata; a za to modyfikował się w regalizacyi, często mu należnej za attentowanie interessów klasztornych. A gdy czasami odezwał się ze skargą, na skępstwo Prokuratora *causarum*, to ten nieuważając na braterstwo, wręcz i bez ceremonii zamykał mu usta: »Oho! dość będzie Waspanu! »Co tydzień zjadasz nasze szczupaki, nie licząc nie»dzielnej pieczeni, na którą z kościoła niby przypadkiem szachodzisz: porachowawszy się więc, jeszczebyś nam »zdać resztę powinien. Do czego to przyszło! Miły Bo»że! Dawniej palestrant za ośminę bobu *proliio ser»mone* dwie godziny gadał *cornm iudicio*, a teraz J> Waspanom czy od bogatego, czy od ubogiego, a nawet »do duchowieństwa, ostatni grosz radzibyście z kality »wyciągnąć.«

Pożywał cierpliwie ten duchowny obrok pan Franciszek, bo chciał zawsze pożywać i obiady, a prócz tego miał jeszcze inne powody respektowania starszego brata, o których niżej się dowiemy.

Po przeniesieniu się pana Podczaszego do *dworku*, tam był jeszcze dlań talerz eodzień gotowy na obiady i wieczerze; ale nie koniecznie go potrzebował pan Skarbnik: liczni bowiem lityganei, których on processa kreował, przemieszkujący w Wilnie, częstowali go tem ochotniej, że skromny w napoju, wbrew powszechnemu natenczas jeszcze zwyczajowi, zaspokoiwszy głód, lekkim podpiwkim gasił pragnienie, a wina nawet cudzego nie pijał.

JNakoniec kilka dziedziczek sąsiednich *dworków*, babulek na dewocyi w mieście osiadłych, wywdzięczając się mu za opiekuństwo, protekcyę i porady; modliły się zań codziennie, i miały pilne staranie o ma-

łych wygódkach pana Skarbnika dobrodzieja: jako to, o wyśmienitej kawie zrana z wyborną *śmietanka*, 0 ziółeczkach i essencyach w niestrawności żołądka' 1 o wszelkich innych, w których troskliwość ich polzyteczną mu być mogła.

Takim sposobem uwolniwszy się pan Franciszek od kłopotliwych zatrudnień względem swego wiktury i najgłówniejszych potrzeb, mógł cały czas swój poświęcić obowiązkom swego powołania.

j y .

A p l i k a u t y .

Około długiego stołu w przeciwnej izbie pana Skarbnika, siedziało czterech młodych golców, w wyszarzanych kapotkach, i pisało pod dyktacyą jednego z nich najstarszego, jednostajne pozwy: *nnieniąc oto*« (*), zawołał on dobitniej:

—A czy nie przyniosą nam dziś piwa i pirogów z makiem z klasztoru?—przerwał jeden rzucając pióro. Co myślicie, ciemno już — odpoczniemy —a ja pobiegnę do szafarza i powiem, że pan Skarbnik prosi o dzban piwa i półkopy pirogów. Dziś środa; suszym jak Bóg przykazał, a Skarbnik suszy nas jeszcze gorzej nad piórem —dobrzeby się posilić! głodny jestem jak Kapucyn.

— *Patientia omnia vincit* (**) — rzekł dyktujący. Wasan chciałbyś nie popracowawszy od razu zostać mecenasem, choc jeszcze mleko pod nosem.

(*) Termin zwyczajny w dawnych pozwach, przed wypisaniem treści ktadnący się.

(**) Cierpliwość wszystko zwycięża.

— A u Wasana wąsy pod nosem, i zaraz posiwieją, a jeszcze *p-izus* w kieszeni: nie wiem czy pomoże i oracya którą skoncyypowaieś, i napisaieś nad naszymi drzwiami.

Jak to nie pomoże? obaczysz jak się nam z niej posypią talary.

— Które wasan od nas w *welbccwelba* wygrasz, pociągnąwszy po swojemu—rzekł drugi chłopak kręcąc głową.

— A gdybyśmy i zaprobowaii, he?—odezwał się pan Rafał dyktujący, dobywając karty z kieszeni.

— xi jak nadejdzie *insperate* Skarbnik i wsunie się z cicha — wiesz z onegdajszego, jak Oli kosterstwa passiami nie cierpi, kiedy wasana chciai wypędzić.

— A prawda—rzekł chowając nazad karty.— Nie da on nam próżnować, ręczę że wraz przyniesie świeczki, i każdemu pod nosem zatknie.

— Inie da wieczerzy — odezwał się drugi;—jabym miał i wyśmienitą, ale daleka wędrówka do cici.

— Łatwiej wasanu—rzekł znowu najstarszy,—hodujesz się jak pączek w maśle, będąc na sumptcie cici, i jakiejże jeszcze cici! Panny matki Ś.-Michalskiej. Ot mnie biednemu ehudeuszowi byłoby trudno; ale powiada Pismo: »*Nie troszczcie się co będziecie jeść, albo co będziecie pić!*« Ja też żyję jak *Alcyon* nadpowietrzny, nie lubię i nie pilnuję jednego miejsca, ani jednej kuchni, i nie troszczę się co będę jeść, pić, a nawet czem się odziewać; a widzicie przecież żem nie głodny, ani chłodny: taka to łaska Pana Boga nade mną!

— Widziern—odpowiedział kollega, widzim, że często koło waspana suto i butno, a często gołyś jak święty turecki. Gdzież ta *delia* popielicowa, w której onegdaj jak tuż żołądny nadymaieś się.

— Zgadłeś bratuniu, zgadłeś nie chcący. Tuz żołądny dał, a tuz dzwonekowi *kanalia* zdjął. Zgadzam się z wolą Pana Boga!., wiosna co dzień bliższa, na co te futro?—

Piozśmieli się wszyscy.

— Sa co wasanu ta aplikacya?—odezwał się inny. Wasan szuler i śpiewak, nigdy jurystą nie będziesz.

— A kto wasanu to wyprorokował? — przerwał zagniewany pan Rafał.—Otoż będę, a tymczasem nie mając ani ciotulek jak wasan, ani stryjenek jak nasz pan Ludwik, który teraz pewnie u swojej zajada przysmaki, muszę żyć z moich talentów. Bóg mi dał taką ochotę do *wukalu*, że żadnym sposobem wytrzymać nie mogę, kiedy postyszę jakie śpiewanie, i wnet mój dyszkant przyłączyć muszę do choru. Organista Dominikański zacny bardzo człek, i szlachcic co się nazywa; to nasz *prymier* i *prewodytor*; ma on całą kantyczkę pieśni światowych, bardzo piękných; on dobiera głosy, a nad mój *dyszkant* nigdzie znaleźć nie może. Więc i wyprawujemy się często pod ciemny wieczór, w sześciu albo siedmiu po ulicach: a kiedy hukniern pod oknami jakiego pana (*).

„Mości Xiąże co to masz za huzary?”

— A nie wrzeszcz na miłość Boga!—przerwali mu koledzy. Wszak my nie śpiewaki, nie dopomożem wasanu.

— Prawda, wybaczajcie, zapomniałem, wszystko to moja ochota do *wokalu*... Otoż jak hukniem tę lub ową pieśń, albo i nowoskoncyypowaną na honor jakiego solenizanta, lub na powinszowanie jakiej narzeczonej parze; to i leci z góry drugiego czy trzeciego piątra, jak gwiazdeczka w pociemku, zapalony kawałek papieru, a w nim zawinięty już to najmniej kiedy talar, a czasami i złoto w ogniu się znajdzie...

— Przy takich zdolnościach i związkach, czemu się wolej nie sposobisz na *diabidudę*, pewny chleb przy chwale Bożej.

— Tak! ale bo widzisz wasan, najprzód stan ten

(*) Starzy pamiętają jeszcze śpiewaków miastowych.

zgodny z moim talentem, ale nie z temperamentem; a potem, nie każdy wprowadzie organista plebejesz, ale nie każdy i szlachcie. Jest zawsze w tym jakaś mitręga, której ja na mój prawdziwy karmazyn nawlekać nie chcę, bo by mnie moja *parentela* szeroko w okolicy Onoszkowszczyzie* bodaj od króla Łokietka osadzona, przepędziła gdzie pieprz rośnie. A teraz czeka cała na moje wyświęcenie, się na adwokata, i wnet rozpoczniemy proces graniczny, ze wszystkimi sumieżnikami, a pół powiatu wyrugujem.

— Długo jednakże czekać będą, bo z taką *aphkacyą* jak wasana, nie łatwo dojdiesz do kratki.

— Żartuj zdrów zacny kawalerze, pierwej tam stanę jak wasan! Umiem ja robić moje interesy; mam już *testimonium* przez wszystkich ichmościów mecnassów trybunalskich podpisane. Braknie mi tylko ręki pana Skarbnika, i dla tego moja dlań, jak widzicie, *gratis* od dwóch miesięcy pracuje, jako i każdemu z nich *captanclo beneuoientiam* pracowała. Byle się więc tylko oporządzić trochę, ten przeklęty družbart mię zgubił, byle się zdobyć napasik ikuntusik; szabelki dostarczą bracia szlachta z Onoszkowszczyzny, natychmiast uprowidowany w instaney wysokich" protektorów, staję u kratki subseliów prześwietnego województwa wileńskiego.... Wtem skrzyknęła fórtka od bramy i przerwała perorę przyszłego patrona; wszyscy chwycili za pióra, lecz je wnet założyli za uszy, na znak, że są gotowi do pracy, i czekają tylko na świecę.

Pan Skarbnik wszedł do swojej izby na przeciwek, rozbudził śpiącego za piecem starego sługi, wygderał go zaospalstwo, kazał wykrześć ognia i zapalić świecę; a wzięwszy jeszcze kilka świeczek w rękę, szedł do panów aplikantów, lecz w sieniach przed ich drzwiami zastanowił się, bo postrzegł przyklejony arkusz

papieru z pismem jakimś. Dobył zatem z za nadry, przetarł i na nos włożył okulary, potem wodząc światłą za literami, rozczytywał powoli:

»*Hic... vivitur... z grosza—frustra... non dantur... labores...*

»Kto nie płaci za pracę. . nie zna... *bones mores!*)...»

Przesylabizowawszy pokręcił głową, i wszedł do izby. Aplikanci milczeli.

— A cóż to u waćpanów? *silentium* klasztorne!

— Czekamy na świecę — odezwał się któryś.

— Otoż je i przynoszę—rzekł Skarbnik, zatykając przed każdym po jednej do mosiężnych lichtarzyków.— Proszę, dodał, *diligenter* przysiedzieć fałdów, bo jutro *summo mane* czterdzieście kopjów rozesać potrzeba; woźni czekają... ale co to za *ludibriawy* pisaliście waćpaństwo *grandibus literis* na drzwiach swoich?

— At zwyczajnie Mości Dobrodzieju, to żarcik aplikantski, z którego gdyby jaki talarek i wpadł w naszą pustą kieszeń, byłoby przynajmniej za co kupić zraz pieczeni.

— Waćpaństwo tylko o brzuchu myślicie.

»*Pinguis venter. non stndet libenter!*» (*).

— A łatwiej Jegomości Dobrodziejowi perorować *sententie*, — odrzekł pan Rafał—po wybornym jako we środę stokfisz, po szczupaku w szafranie, i po zawiesistych klockach w oliwie pływających; ale nam biednym po śledziach i krupniku....

— A zkąd waćpan wiesz o moim obiedzie?

— Oj, Mości Dobrodzieju, gdyby nie te klocki, których i mnie się dostało, dalipan pióra w ręku utrzymałbym nie mógł: ale jakoś człowiek ma wszędzie przyjaciół.

(*) Brzuch tłusty, nie łatwo się uczy.

Prysłowie dawne.

— A najwięcej jak uważam, w kuchniach klasztornych — rozumiem.

— Jednakże mimo tych pożytków *a latcre*, głodny jestem i ja, i moi koledzy. Dla tego chciej Jegomość Dobrodziej, uraczyć nas po onegdajszemu, piwem i pirogami z klasztoru; ja sam ofiaruję moją fatygę, byle za assygnacją pańską.

'— No, no, proszę się nieodrywać od pióra, a poszłę Macieja po suchary i piwo.

— *Vivat r,aster mecenas!*—wykrzyknął pan Rafał, i zaczął znowu swoje: »*Mieniać oto.*«

— Ale gdzież pan Ludwik?—zapytał znowu Skarbnik, zajrzawszy za przepierzenie, gdzie była kwatery synowca i nie widząc go tam przy stoliku.

— Poszedł zapewne na wieczerzę do stryjenki swojej, i jeszcze nie wrócił.

— O: ten ptaszek nie dostanie defektu z *sedentarii*,—rzekł Skarbnik, kręcąc głową i wchodząc za przepierzenie.

Musiał jednak, mrucał sobie, napisać manifest, do którego, w sprawie rodziców jego, a zatem tak dobrze jak jego własnej, zostawiłem należyłą informację... A! grezmoli tu coś przecie.... obaczemy.... *Coram actis*.... (*). Aha—*Coram actis*.... do cudnej *Elżuni*.... Co u licha? czy sfixował się....

Ciekawiej zatem biorąc się do czytania, rozmaicie glozowanego arkusza, przetaił na nowo okulary i syllabizował.

Do cudnej Elżuni, Starościańki Eapinowskiej.

„Oczy twe—nie są oczy—ale słońce właśnie (**)

„Świejące—w których blasku każdy ogień gaśnie!

(*) Przed aktami—zwyczajne zaczęcie manifestów.

(**) Z dawnego rękopisu.

„Usta twe—nie są usta—lecz koral rumiany,
 „Którego farbą zmysł nasz zostaje związany!
 „Piersi twe—nie są piersi—lecz niebo surowe,
 „Których kształt, wolę naszą zabiera w okowę.
 „Tak oczy, usta, piersi, rozumem i wolą:
 „Blaskiem, farbą, i kształtem—serce me niewolą."

— Iso! niema co powiedzieć, symetrycznie wszystko przebrał.... Manifest regularny... *Coram uctis* panny Starościanki zanoszący się...—W czas konkury, kiedy proces na stole trybunalskim. Kara Boska! usadzili się na krew naszą. Ojciec, a raczej mamunia pani Staroscina Dobrodzika chce zabrać zaścianek, a córka samego dziedzica!.. Otóż to dlaczego niema panicz ochoty do *patrocynii*... amory mu w głowie... a niechby się zresztą i żenił.... wilkiem nie orać... *ultimis Mai*: lat dwadzieścia cztery podobno kończy. Jeżeli jest wzajemna sympatya....

Taki przerywany prowadząc monolog, gmerał bez ustanku Skarbnik w papierach synowca, i na każdym prawie szpargale znajdował to cyfry *Elzuni*, to dwa serca strzałą przebite z podpisem:

„Serce moje i twoje—
 „Złącz Boże oboje—

To dwie ręce ściśnięte w parolu z podpisem:

„Parol dany
 „Bez odmiany."

to jakieś pozawijane kwiatki zeschłe, wstążeczki.—Pomedytowawszy nad każdą rzeczą, kręcił głową, kładł Każdą na swoim miejscu, i dalszą kontynuował kwerendę. Odsunął nakoniee szufladkę z pod lusterka i napadł na bilecik szpilką, zamiast pieczętki zaszpilony i zapisany: »Do rąk Wielmożnej *Lulskiej Stolnikowej, cioci Dobrodziki*.«—A to co znowu?—rzekł.—Co 'tu robi listek do mojej klientki?.... Ciocia! czyjaż ona ciocia? atak jest —tak! Starościnę i Stolnikową rodzą dwie siostry Kościeleckie z Ko-

rony; a więc pani Dulcka jest ciocią progeniturze Starosty.... *Sequitur sine'dubio*, że w tym bilecie jest *arcanum spei* mojego pana synowca.

Przewracał Skarbnik bilet w rękę, jakby się lękając ukłócia szpilki. Z uczciwego względu szanowania cudzych listów, namyślał się czy ma go czytać.... ho! ho! jaka pieczęci szeptął znowu sam do siebie, bo ten nałóg djalogowania z sobą, a nawet stosownej przy niem gestykulacyi, wraził mu się i został, od planowanych w samotności ważnych a wątpliwych indyktów i replik. Ani *Niesiecki*, ani *Kuropatnicki*, o takim herbie nie wspominają.... Starosta pieczętuje się *Rawiczem*, *Panna na j\iedzunedziu*, i przystoi *inter nos loquendo* nieborakowi, którego żona za nos wodzi, taki herbowny klejnot.... Ale zresztę cóż mam robić? powinienem strzedz jakby źrenicę w oku powierzonego mnie chłopca.... odszpilił więc bilet i czytał z cicha.

»Nie uwierzysz kochana ciociu, jakeś nas zmar-twiła uwiadomieniem, że nas odwiedzić nie możesz; »tak wiele miałam do pomówienia i do *poradzenia* »się z ciocią.«...

Poradzenia się—przekasowała, i znowu napisa-ła... to już i wiemy co się święci... a do tego roz-pytam się u Stolnikowej: »Miałaś ciocia Dobrodzika »zabrać z sobą, i przywieść tu, Helusię Dowiatównę, »a tak bardzobym wesoło ten czas przepędziła. Ro-»dzice moi rozpoczęli jakiś proceder z państwami Do-»wiatami: nie bywają teraz u siebie, i w kościele na-»wet nie witają się, i z ukosa na siebie poglądują. »To obraza Boska ciocio Dobrodziko, bardzo mnie to »martwi; niech ciocia perswaduje panu Skarbnikowi »Dowiatowi, aby się starał pogodzić tę kłótnię. On »mądry człowiek, to wynajdzie na to jakiś sposób®..
Dziękuję Pannie Starościance Dobrodzice za tę o mnie opinię.

»Mama osobno pisze do cioci, a ja osobno.®

Rozumiem—to jest mama o tym listku nie wie.

sA choć się gniewam na ciocię, jednak upiekłam sa-
»ma, i oddałam mamie dla przesłania cioci, babkę
sdo kawy, i proszę w zdrowiu jeść, i zaprosić na nią
•moją kochane Iielusię i całą jej rodzinę®....

Jednakowoż mnie nie prosili—a pan Ludwik pe-
wnie babkę konsumował.

»Rączki cioci Dobrodziki całuję «

E. S.

Al?. »Proszę cioci pomodlić się w piątek u Pana
Jezusa Antokolskiego, na moją *intencję*.«

Intencja zdaje mi się zrozumiana i przykładowa!!!
*y/byś Panom Chrześcijańskim pokój i zgodę dać
raczył!*

Uśmiechając się Skarbnik, zaszpił bilet i włożył
do szufladki; potem zdjawszy z nosa i przecierając
okulary, mrucał ktoś wie? Może taka wola Pana
Boga — trzeba wziąć panicza na konfessatę....
Spojrzał na zegarek, mam jeszcze porę — poradźmy
się w tym, a razem i w drugiej okoliczności xiędza
brata. .. A więc lisim krokiem aby nie przerywać pi-
szącym, szedł pan Skarbnik przez pierwszą izbę.
Postrzegłszy wymykającego się, dyktujący pan Ba-
fał, i lękając się aby nie zapomniał obietnicy, krzy-
knął jakby w kontynuacyi pozwu: »w prośbach *antę
wmnia!* komportacyi *in instanti sub poenis per So-
mali infamiae* pół kopy pirogów i dzban piwa, *sole-
miter* przyrzeczonych.«

Skarbnik stanął, uśmiechnął się, i ręką dał znak
zgody.

V.

Xiąłz Ambroży.

Nałóg i Sumnienie-

Tegoż samego wieczora szedł pan Skarbnik przez ciemne kurytarze antokolskiego klasztoru, a przed nim Maciej z latarką w jednej ręce, a z cynowym dzbanem w drugiej. Doszedłszy do celi brata, wziął latarkę, odprawił Macieja po piwo i po pirogi do szafarza, a sam zapukał do drzwi.

— *IngreLe!* odezwał się głos nosowy wewnątrz. Wszedł zatem pan Franciszek do celi X. Ambrożego.

— *Salve!* — rzekł ten składając szybko i usuwając od siebie wielką xięgę którą czytał, a również szybko otwierając brewiarz i kładąc go przed sobą.—

Pan Skarbnik poznał Statut, lecz jakby tego nie dostrzegł, skrapiał się tymczasem pobożnie wodą święconą, z kropielniczki cynowej u drzwi zawieszanej.

— Czemuż tak późno? — zapytał zakłopotany nieco X, Ambroży.

— Ósma *praecise* — odpowiedział Skarbnik, wskazując na własny braterski zegar ścienny.

— Niechaj sobie, ale zawsze *quid vis?* bo byś bez interesu tak późno się nie włóczył; może nowy suplement do szkatuły swojej przynosisz?

— Nie, Mości Dobrodzieju, coraz to trudniej o te suplementa. Przychodzę jak zwyczajnie zasięgnąć mądrej rady brata dobrodzieja.

— Byle nie w processach! bo z temi [*ora* z mojej
 eeli już mi nie raz wadpan napędziłeś grzechu i
 : pokuty, wyzywając na jurystowskie porady, i ku-
 sząc dawnym nałogiem. Oznajmuję nawet waćpanu,
 że prokuratorstwa mego zrzekam się, i myślę udać
 3 się na peregrynację *ad terram infidelium*, dla wy-
 kupna podług naszej reguły chrześcijan z niewoli
 pogańskiej.... Jedna tu jeszcze tylko sprawka mała
 klasztoru naszego, o plac nad Wilją.... Ale wyrze-
 kam się i tej.... wyrzekam się! O Chryste Jezu!—
 i; rzekł wznosząc oczy, ku figurze ukrzyżowanego nad
 łóżkiem rozpiętej, daj siły i stałość ku wytrwaniu
 ; w dobrem, na większą chwałę Twoją, a na zmaza-
 f nie grzechów moich.—

W tem chwilowem uniesieniu, postać i oblicze X.
 I Ambrożego wyraziściej się objawiły, i przy bładem
 I ognisku świecy, zaleciwo rozsuwającym pociemek celi,
 I wysoki i wyschły mnich, białym habitem obleczony,
 z krwawym krzyżem na piersiach, ze wzrokiem go-
 rejącym pod Wysokiem, nagiem, a chmurnem czołem,
 z twarzą pargaminową, a jednak w swojej całości
 znakomitą, i upartej a wiekiem nie złamanej energii,
 noszącą piętno; ławoby zastanowił każdego, ktoby
 nań w tej chwili spojrział. Lecz stojący naprzeciw
 w zimnym kontraście jurysta, znał i nie raz był
 świadkiem, tych uniesień brata, i wiedział, że burza
 nagle i przechodzi; a lubo często się-ponawia,
 w przerwach jednak zapomniana, nie powściąga od-
 zywającego się również często i łatwo, pochopu do
 (prawnictwa za młodu weń wkorzonego. Dla tego
 zapytał niespodzianie.

— Tak brat dobrodziej rozumie dawność ziemską
 względem óbligów?

— Co to za pytanie aplikantskie?

— Ja też Mości Dobrodzieju, — odpowiadał pokor-
 nie pan Skarbnik — uważam siebie aplikantem bra-
 ta, i weneruję go nie tylko jako starszego wiekiem
 i powagą stanu, ale jako wyższego bez komparacyi,

w nauce praw naszych, i mojego dawnego mecenasa...

— *Mirabilia* prawisz panie Franciszku! — przerwa? xiądz — przestań! dość waćpan jesteś *peritus* i *perfectus*, w swoim rzemiośle, a bodaj *discipulus supra magistrum*. Co do twojego, nie wiem dla czego zadanego mnie pytania, bo zapowna nie bez celu, to dotą i chwała Bogu rzadkie u nas przykłady, aby prowadzono kontrawersye o obligi, gdy podpis nie* wyparty, gdy dług lub pożyczka jest rzeczywistą. Poczciwość i rzetelność od form prawnych nie zależy; a chociaż jak wiesz dobrze, liczne konstytucye opisują walutę i terminu obiatty obligów: ale któż na nie patrzy? Pożyczka, na kalendarzu zapisana tak bywała u ojców naszych święta, jakby najwarowniejszym zapisem umocowana. A zatem krótko mówiąc, kto zaprzecza, choćby najdawniejszemu obligowi, nie tylko własnemu, ale choćby i przodka swojego, powodem dawności, czy jakim innym wykrętem, kręcie! jest mospanie, i kwita. Mniemam, że takiej sprawy nie podjąłeś się bronić.

— Owszem przeciwnie — i cieszy mnie zdanie brata dobrodzieja, bo mam właśnie konwinkować za dług na który karta przed półtorasta z górą laty wydana, dotąd *sine ullo fructu* leżała.

— Przed półtorasta laty; od kogo i komu! — zapytał porywczo mnich.

— Od Korsaka, *quondam* fundatora XX. Karmelitów Głębockich, niejakiej pannie Maryannie Sulistrowskiej, a zapisanemi na funkcją dobrami ewinkowanej. *Qui possit bona, possit et opera* (*), to wiadomo (**).

— A czyż ta panna Maryanna Sulistrowska żyje matuzalowe lata, i teraz swoje kapitały zbierać postanowiła?

(*) Kto posięga dobra, posięga i ciężary na nich.

(**) Prawdziwe.

— Nie, *Reverendissime!* ale właścicielem *per mam haeredidatis* tego obligu jest dziś JW. Aloizy Sulistrowski Pisarz Wielki W. X. L. dziedzic Sze-metowszezyzny *et alias*. Policzywszy zatem procenta i rekambia, wygranej na Karmelitach około mil-jona: a od każdego tysiąca czerwonych złotych, de-kretem trybunalskim, zrealizować się mających, mam sobie zaręczanych *inter nos loquendo*, takichże sto,

W miarę słów Skarbnika, twarz Xiędza się czer-wieniła. Milczał jeszcze chwil kilka, choć tamten przestał mówić, i odpowiedzi zdawał się oczekiwać. Nakoniec wybuchnął: — Przegrasz! — zawołał z za-pałem - przegrasz! i powinienes przegrać! albo przez całe życie przeklinać będziesz twoje, od tysiąca, sto dukatów. Kapturem głowę nakryjesz, pokutować bę-dziesz, abyś na Sądzie Ostatecznym, duszy twojej w kontrawersyach z djabłem nie przegrał!... a ze zbiorów twoich *tertius haeres non gaudebit* (*).

— Nie rozumiem Jegomości Dobrodzieja. Tylko co mi dowodziłeś, że naprzeciw żadnemu długowi choć-by przodków, dawnością bronić się uczciwość nie dozwala; a teraz w takiejże samej sprawie ie, wróżysz mi przegranę, nie tylko w Trybunale Litewskim, ale jeszcze i w trybunale mającym się kiedyś odbyć *post fata*. *Inter nos loquendo* (**) powtarzam że nie rozumiem brata dobrodzieja...

— Posłuchaj mnie panie Franciszku—rzekł uspo-kojony nieco xiędz, — a poznasz że nie darmo grozę ci przegraną, zwłaszcza w tym ostatnim trybunale. Przypomnij sobie, jakieście się dziwili mojej nagłej imprezie, wstąpienia do zakonu. Aplikowałeś się waćpan. a raczej byłeś już dependentem przy mnie, i sam mię prosiłeś, abym został czem byłem, to jest ezóm waćpan teraz jesteś: mecenasem trybunalskim i plenipotentem najpierwszych naszych dygnitarzy i

(*) Trzeci potomek cieszyć się nie będzie.

(**) Między nami mówiąc.

magnatów. Ale ani tobie, ani komukolwiek nie dałem się namówić, bo był głos inny tu (pokazał na serce) który mię gwałtem w kaptur ciągnął; a głos ten ustawnie mi nad uchem szeptał: zgrzeszyłeś! zgrzeszyłeś! pokutuj! pokutuj!.... Nie było rady, sam to znałem, że zgrzeszyłem. Jedna minuta, jedna zła rada, i zgryzota gorzka, i pokuta na całe życie!... Oj! panie Franciszku strzeż się! strzeż! na śiizkiej jesteś drodze.

— Ależ proszę brata dobrodzieja o jaśniejszą przestrożę. Czego mam się strzedz? jaka to chwila i rada tak fatalną była dla brata?—

Xiądz chodził szerokim krokiem i w milczeniu po celi. — Czy waśc spowiednik?— odezwał się nakoniec.

— Jam nie spowiednik, prawda, i nie mam prawa do tajemnie brata, i nie teolog; ale przecież osądzić mogę, że brat nie będziesz wolny na sumnieniu, jeżeli nieostrzeżesz mnie jako bliźniego choćby, a tem bardziej swego rodzzonego, o grzechu, jak wnosić mogę ciężkim, za który sam pokutujesz, a w który mi, zakrywając przepaść, wpaść dozwalas. To *materya gravis* Mości Dobrodzieju, *inter nos loquendo*.~

Słowa te zdawały się robić niejakię wrażenie na xiędzu; bo często przenikliwie oczy zwraca! na brata i wzdychał głęboko... a tak wzruszony, przemierzywszy jeszcze w milczeniu razy kilkanaście celę, stanął i rzekł znowu.

— Aie przegrasz panie Franciszku! przegrasz potwarzam! i narazisz na szwank swoją reputacyę. Bo najprzód pewny jestem, że oblig niema prawnej waluty, stosownej do konstytucyi, tysiąc....

— Zapomniałeś *Reverendissime* coś dopieruteńko w tej materyi powiedział, — przerwał Skarbnik.— Oblig jest zwyczajny, na blankiecie zapisany, we śrzedzinie piórwszy pieczętarz *totum tenorem rei* wypisał, dalsi tylko wzmiankę; a kilką latami od funclacyi Karmelitańskiej dawniejszy.

— Nic to nie dowodzi, bo za cóżby pobożny funda-

tor poświęcał na chwałę Bożą dobra onerowane? Dla czegożby właścicielka kapitału, żyjąca zapewne jeszcze, lub jej successorowie, przy samem przejściu dóbr Korsakowskich do Karmelitów nie manifestowali się przynajmniej, lub później przez lat tyle milczeli? Dla czego? powiedziałbym, Najjaśniejszy Trybunale, a tu w zapomnieniu się kaptur z głowy na plecy odrzucił, dla czego JW. Sulistrowski nie dedukuje swojej procedencji od tejże Maryanny Sulistrowskiej, i nie udowodni jakim sposobem ma *jus ad rem* której dochodzi? Od tak dalekiej daty, ileż to konfiagrat w kraju naszym 4joni%z«zyJo archiwów publicznych, a tem bardziej *prioatorum*? Któż zaręczy, że licznie rozrodzona, a wielce szlachetna rodzina Korsaków, takowym nie uległa?... a w nich że się nie potraciły dowody opłaty, lub układów jakichkolwiek eliberujących ich fortunę? Jakiż *lumen* w takich wątpliwościach oświeci ciebie Najjaśniejszy Trybunale? Jakąż racją? jakim argumentem justyfikować będziecie wasz wyrok sędziowie, mający ująć chleb sługom Bożym a *salvę* duszy Korsaka w czyscu będącej?..

Skarbnik pokręcił głową, poczuł bowiem, że ta racya ostatnia, trafiłaby sędziom w codzienne za dusze zmarłe modlitewki, a zatem najtrudniejszą byłaby do zwalczenia.

To sędziowie, mówił bez zastanowienia się orator, to z waszem własnem zbawieniem sprawa! Tu na potępienie własnej waszej duszy napisać możecie dekret. Oto przed wami na stole waszym sądowym w oczy wasze, woła na was, sam niesłusznie osądzony Chrystus: *O Judices! judicium vestrum judicavero!* (*).

Skarbnik dopiął czego żądał i oczekiwał: xiądz mu rozświecił interes z najważniejszego punktu widzenia go, przerwał więc: — ale *Reverendissime* na co ta replika, kiedy produktu jeszcze nie ma. Odbędzie ją

(*) O sędziowie! wasze wyroki Ja sądzić będę.

i plenipotent Karmelitów w swoim miejscu i czasie.—•

Postrzegł się xiądz Ambroży; odstąpił nagle od stolika, przy którym jak przy trybunalskich kratkach perorował, "narzucił kaptur na głowę, i jakby z podziwienia żegnając się, rzekł: »*Deus adjutor meus*. U tak tak, po co mi ta replika? a choć rzeczy słusznej dowodziłem, ale dla czegoż po adwokacku? Oh bieda moja! bieda! Idź waćpap precz! Waćpan mnie zawsze na tę nieszczęśliwą procedurę naprowadzisz! Wasan jesteś teniator!... z wasana łaski ja codzień odnawiając *vota* moje, codzień staję się relapsem!!! Wasan, wasan za to odpowiesz Panu Bogu, — mówił żywo i dotkliwie xiądz-

— x4le bracie dobrodzieju, któż cię na te indukta nawodzi? Jeżeli szukam rady w experiencyi i mądrości brata dobrodzieja, zdaje mi się, że to nie jest grzechem. A właśnie chcąc grzechu uniknąć, prosiłem i proszę brata, abyś mię oświecił i z tej ślizkiej drogi, o którejś namienił, sprowadził.... bo ja jej nie widzę. Cóż należy do sumnienia mego, zła czy dobra sprawa pana Sulistrowskiego? *Instancya* jej na sumnieniu aktora. *Eweni* na sumnieniu sędziów: a patron broni każdej. —

Chodził znowu zamyślony xiądz po celi; kilka razy stawał przed bratem, jakby miał coś powiedzieć, i znowu zmieniał zdanie. Wewnętrzna sprzeczką miotła nim.... nakoniec zdeterminował się, usiadł na jednym stołku: — usiądź,—rzekł podsuwając drugi bratu —i posłuchaj krótkiej, ale najważniejszej życia mego historyk Byłem, jak to wiesz dobrze, plenipotentem wielu panów litewskich; z jednym z nich odbywając peregrynaeye po różnych stronach Litwy, zajechaliśmy w Słonimskie i trafiliśmy na fest do *Żyroivic*. Obraz tam słynący szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; assistowaliśmy więc nabożeństwu. Przy mszach śpiewają tam pieśń o cudach tej przeczystej Dziewicy.

— Ja umiem tę pieśń i mówię ją często na chwałę Bożą—rzekł Skarbnik.

— No, to wiesz, że tam jest taki rym:

„Tu Pan Tryzna
 „Cuda wyzna
 „Byteń na Zakon daje!"

Siedziałem ja w drugiej ławie za moim pryncypałem; *Byteń!* wielka fortuna! pomyślałem. Kiedyż to Tryzna tę fundacją uczynił? Szepnąłem więc na ucho Panu mojemu. (Och! bodajbym natenczas oniemiał): ^wypadałoby obaczyć w metrykach litewskich, kiedy »Tryzna oddał Byteń do Żyrowic? a nuż po konstytucyi?...« (*). Moj JYV. Dygnitarz obejrzał się na mnie, kiwnął głową, i dalej się modlił. A mnie w ten moment targnęło za serce, i jakby także szepnęło na ucho: »grzeszniku! w domu własnym Boga-Rodzicy, myślisz o jej *spoliacyi!*!<.< Ale już było po czasie. Znałem mego pryncypała, że nie zaśpi gruszki w popiele; przyszedł żal i skrucza. Nuż ja modlić się, nuż płakać rzewnie. Obejrzał się znowu n : mnie mój pryncypał; zrozumiał widać przyczynę łez moich i uśmiechnął się, co mi jeszcze gorzej dopiekło. Jakoż krótko mówiąc, zajrzał on do metryk litewskich, do których fundacja wpisana była, i znalazłszy ją *de nova radice* erygowaną, zabrał Byteń kadukiem.

»Wkrótce sprzykrzył on sobie moje *protestacye* i *molestacye*, a zatem podziękował mi za attencyę w jego interesach; ofiarował mi nawet znaczną gratyfikacyę, do której jak do gorącego żelaza i ręki nie dotknąłem.

»Od tego fatalnego momentu, na żaden obraz Najświętszej Panny Maryi oczu podnieść nie mogłem, nie mogłem spokojnie zmówić: *Sub tuum praesidium*.

(*) W drugiej połowie siedemnastego wieku, stanęła konstytuoya, zakazująca zapisywania dóbr ziemnych na fundusze duchowne przez testamenta.

Szkaplerze moje nawet mię piekły na piersiach. Męczyłem się we dnie i w nocy.... Myślałem o restylueyi klasztorowi, łatwiejszej memu pryncypałowi, bo antenaty jego nie jeden dom Boży bogato uposażyli. Ale ja, cóż mogłem czynić za kilkaset chat odebranych z mojej łaski? Naturalnie, spowiadałem się i ochotnie przyjmowałem ciężkie pokuty, posty, i peregrynacye dalekie; a lubo świątobliwi kapłani i spowiednicy, kazali mi ufać w miłosierdziu Bożem, wszelakoż n i konfessyołu nawet, rozgrzeszony, ale nieuspokojony odchodziłem.

— Nakoniec Bóg mi zdarzył jednego mądrego teologa *Societatis Jesu*, którego w tych moich *obsydiach* poradziłem się; on mi rzekł: najprzód porzuć bez powrotu rzemiosło, które cię na tę fatalną radę naprowadziło. Pismo ś. mówi, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi do królestwa niebieskiego; otoż bodaj i adwokatowi toż samo, a może i trudniej jeszcze. A za restytucyę, poświęć Bogu i dodaj na usługi samego siebie. Więcej uczynić nie możesz, zwłaszcza gdy to uczynisz sercem ochotnem i skruszonym. .Psie miałem co odpowiedzieć na taką radę, bo już to było ostatnie *refugium* dla mojej biednej głowy.

— Pamiętasz wasan, jak nagle mimo wasze prośby, odrzekłem się *patrocinii* i wstąpiłem do zakonu. Psie mogłem wstąpić do XX. Bazyliańców, choć to rzeczywiście moja posługa im się należała, bo już mi pożno było uczyć się liturgii greckiej; więc Panu Jezusowi antokolskiemu złożyłem moje *votum*, i w jego świętej opiece znalazłem nakoniec spokojność, a odżegnałem się *tandem* od tego nieszczęśliwego *Bytenia*, któryby mnie na świecie prześladował do ostatniej mojej godziny....

— Pierwszy raz przed tobą świeckim człowiekiem odkryłem tę moją tajemnicę, i przyczynę obleczenia się w habit, który jednakże za pomocą Bożą... nie jest mi ciężkim. Wszakże, bracie mój panie Franci-

szku, — mówił dalej wzruszonym glosom: »*Felix-tjurni faeiunt aliena pcricuLa cautum!*« (*) i *sal sa-jrienti!*— Skarbnik stal zamyślony.

— Zresztą, nie przychodź do mnie, — mówił X. Ambroży — po *consilia* patrońskie, jak to często czynie zwykłeś, luboś sam zawołany prawnik, i rad żadnych nie potrzebujesz; bo ja każdą taką między nami konwersacyę, ciężkim zawsze *miserere* odkupiam. Nie żałuję ja mojego ciała, ani oszczędzam sobie tego narzędzia, które pod krzyżem widzisz, a wisiała tam dyscyplina; Chrystus Pan więcej cierpiał dla naszego zbawienia ... ale na cóż mię naprowadzasz na myśli i mowy których się zarzekłem?

— Ależ bracie dobrodzieju, — odpowiedział Skarbnik— *inter nos loquendo*, jesteś prokuratorem *Cuusarum* swego klasztoru, więc musisz często obaczyć się z tą xięgą—i wskazał na statut.

— To co innego mospanie! to co innego, to właśnie jest moja, choć wcale niedostateczna *restytucya* funduszom na chwałę Bożą poświęconym, że je bronię; ale do spraw świeckich, wara mi się mięszać; a przecież mię wasan wciągasz.

— Hędę ostróżniejszym Mości Dobrodzieju, będę ostróżniejszym. Wszakże i teraz nawiasem tylko chciałem poradzić się brata, a tymczasem daleko zasziśmy. Nie o to jednak rzecz idzie; przyszedłem ja pomówić z bratem dobrodziejem w interesie familijnym. Wiadomy bratu proces pana Stefana brata naszego ze Starostą Kapinowskim, sądem naszym od Dowiatoyszczynny, o zaścianek nad Wilją...

— Czy znów proces?—przerwał xiądz — zatykam uszy!

— Ale bo widzi brat, że wyniknąć mogą *cyrkumstaneye*, któreby ten proces na kombinacji.... a kombinacye.... na kobiercu zakończyły.

— Cedzisz mi coś jak przez zęby, czy nie mydlisz

(*) Szczęśliwy, kto z cudzego doświadczenia korzysta.

tylko żenić się panie Franciszku? w takim razie powiedziałbym, że *kognicyjjią* sprawę kończysz, a rozwodową zaczynasz, i przenosisz *forum* z trybunału do konsystorza.—

Skarbnik tak się zmarszczył, i machnął ręką, że xiądz zgadł od razu, że nie trafił na tor. A wtem rozległ się po korytarzu dzwonek na *silentium*... Xiądz machnął podobnie ręką na brata i na drzwi razem, a sam odskoczył raczej niż odszedł ku obrazowi Zbawiciela, ukląkł przed nim, i rozkrzyżbawwszy ręce modlić się począł.

Skarbnik stał w milczeniu, nie wiedząc co sobie poradzić? *Silentium* bowiem przerwało główny jego interes. Nakoniec odważył się powiedzieć: proszę brata dobrodzieja, przyjsć jutro po obiedzie do braterstwa podezaszowstwa, dla narady w interesie ważnym familijnym, »*Miserere mei domine, secundum miagnam misericordiam tuunn* (*), mówił xiądz, jakby nie słyszał Skarbnika, i mówiąc to zdejmował dyscyplinę z kołka. A en, pomyślał Skarbnik, gotów i mnie na ten bankiet zaprosić; zapalił więc cichuteńko świeczkę w latarce, i również cichutko wyniósł się za drzwi.

—33Kjcccc>

Vf.

Pan Ludwik Dowiat.

Lwrotka jedna szczęśliwa w piosnce wesołej Krasickiego zadcliniowała nas lepiej, niżeli wiele rozpraw i zdań, o naszym narodowym charakterze.

„Czuli, cnotni a ochotni!”

(») Zmiłuj się o Paue uade mną, podług wielkiego miłosierdzia Twego.

Te trzy przymiotniki, składają grunt naszego serca, przyczynę naszych publicznych czynów i błędów, a nawet naszego losu

Gdyby można wskrzesić całą generację naszą, przed ostatnim okresem naszego zepsucia i klęsk politycznych żyjącą, obaczylibyśmy towarzystwa i ludzi obyczajów *czułych, cnotnych a ochotnych*, to jest, prawdziwych naszych, nieskalanych rozmaitemi obczyznami, które nas po kolei zalewały.

Obaczylibyśmy to w istocie i na jawie, co dziś jak we śnie w dziejach, dokładniej w nielicznych ówczesnych pamiętnikach, i nakoniec w pismach niektórych wybranych autorów odtwarza się nam i przedstawia. To co tak miłą w nas wzbudza harmonię! tak nam składnie w serce wpada!!! bo znajduje w niem, niezatarte jeszcze zupełnie owe charakterystyki *czułości cnoty i ochoty*; to jest łatwowiernego pochopu ku wszystkiemu, który Bóg na niem, jako piętna naszej natury, i naszego przeznaczenia wrył.

W czasie o którym piszę, powszechna barwa narodowa, w łacińską dotąd, że tak powiem toż obleczone, ustępowała z placu, parta tak nazwaną *Augustowską* oświatą, której wartość dziś oszacować umiemy. Mocowała się ona jednak silnie, i nie łatwo dawała się wypędzać, zwłaszcza z serc i z zagród szlacheckich; gdzie religija jak poczciwa gospodyni, zapierała wrota przed cisnącą się gwałtem czeredą nowych nauk i nowych obyczajów. Ale wspaniałe bramy naszych magnatów, stały już dla nich otworem; tam one wkrótce samowładnie panując, kształciły modnych filozofów, zaprzaińców obyczajów, zwyczajów, języka i cnót naszych rodowitych. Atak, gdy Wojewodzice, Kasztelanice, Starościce zaczynali swe nauki przy cudzoziemcach od: **Au nom du pere, du fils, et du saint espriU* dla języka bardziej, niż dla pacierza paplane; to *podczaszyce, podstolice*, słowem, nie senatorskich krzesel, ale powiatowych *statlôu*> dziedzice, trzepali jeszcze z poczciwymi ojca-

mi swemi staroświeckie *Pater noster*, albo z matkami codzienne a serdeczne: »*Błogosła w Panie Boże, w komorze, iv oborze, na polu i iv gumnio*« (*) i błogosławił im Bóg wszędzie.

Psie tu miejsce długich w tej materii wywodów, tylekroć już, i w rozmaitym sposobie powtarzanych; potrzebowałem tych ogólnych słów kilku, jakby na tło do obrazu, na którym wśród innych, okazuje się przedniejsza figura mojej powieści, Pan *Ludwik Dowiat*; młodzieniec właśnie czuły, cnotny a ochotny, któremu podobni bodajby się i teraz rodzili !!!

Ej bo *formosus*, to był chłopiec! Jat dwadzieścia trzy. Wąsik mu się czarny wysypywał, płeć biała, rumieńczyk paniński, oko czarne, pełne i żywe; włos także kruczy, w lekkie pogięty kędziory, czoło gładkie, otwarte, a na całej twarzy dowcip, wesołość i swoboda młodzieńcza, ujmujące od razu serca.

Gdy wysmukłą i udatną swą kibić, w piękną opiętą i krótką po kolana, a złotemi na piersiach sznurami szamerowaną, ubrał węgierkę; litym pasikiem u stanu się ściągnął; krzywą, na takicli/e ze złota i jedwabiu tkanych paskach, zawiesił demeszkę; w dział jak ulany i skrzypiący trochę bóćik na nogę, a głowę błękitną axamitną czapeczką z karogańskirn drobnym jak ze srćbrnych perełek, baraneczkiem, na bakier wrzuconą, ustroił, i szedł lekkim krokiem po ulicy; rozkosz nań było patrzeć. I nie jedne miluchne pięknych ocząt spojrzenie, przeprowadzało go długo i daleko; za wzrokiem zaś nie dosłyszane jemu, ale za nim rzucone powtarzały się wykrzykniki: chłopiec jak malina! *Frysz* chłopiec !!!

Isie samą też jedną gładkością lica i figury, jednał ten panicz afekta sobie powszechne, a szczególnie niewieście. Proszę go było widzieć w tańcu, jak posuwistym i podskocznym krokiem *paryerując* swojej

(*) Dawny Złoty Ołtarzyk; modlitwa w codziennych potrzebach.

motyl, z wdziękiem i od serca podawał w przemianiu rękę; z jakim uśmiechem i cudnym ukłonikiem uderzał w dłonie do *odbijanego!* Jakie milutkie słówka wrzucał w uszko idącej obok niego dziewczycy, na które, żywszy rumieniec bywał odpowiedzią; albo i ładnej mężatce, karcącej napominkiein, śmiałość młodzieńca, a ściśnieniem rączki łagodzącej karę. Jako syn powszechnie znanej szlacheckiej rodziny, miał Pan Ludwik otwarte sobie drzwi w każdym, by najznakomitszym domie. Wszelkie więc publiki trybunalskie, assamble, kompanie i zabawy, nie obe szły się bez niego. I tern bardziej, że jakośmy widzieli wyżej próbkę jego talentu, był on jeszcze i poetą, a zatem nie jedną wieczorynkę, nowo-skoncypowaną piosenką uraczył; która na dobraną ze sta innych notę, wnet się kilkunastu głoąarni obojój płci odezwała, i rozweseliła towarzystwo, a chlubą, dziękami i uściskami osypała autora.

Wszystko to jednak nie do smaku było stryjaszkowi panu Skarbnikowi, który jak powiadał radby mu był te wiatry z głowy wypędził, a zwrócił go na drogę pewniejszej krescytywy. Ale zamykała mu zawsze usta, cała familijna płeć niewieścia. Mamma słyżąc sukcessa jedynaka, podsyłała mu talarzków. Stryjenka skorumpowana affektem i respektem, a często i koperczakiem synowczyka, broniła go stale i mężnie przeciw opressyi pana Skarbnika. Siostrzyczka Helusia kochająca braciszka i kochana nawzajem, patrzała nań jak na cudowny obrazek, chlubiła się nim jak drogim skarbem, i za każdą zaczepką, jak srocza, starego kruka zagłuszała i skubała. A nawet pani Podstolina Dulaska, obca familji, ale jej stała przyjaciółka, a klientka i pupilla Skarbnika, ujmowała się za swego syna chrzestnego: »bo »nie fircyk, mój łaskawco, mówiła ona, bo nie burda, »bo nie kostera; i choć młody, ale bogobojny.—Zna »jak szanować starszych. A że lubi zabwić się we »solo, że umie dać sobie *rum* wszędzie, to i dobrze

»mój łaskawco; uchodzi się piwko i będzie zeń zacny
•obywatel; upewniam mego łaskawcę!«

Nec hercules contra plurcs, a tern bardziej *mulieres* (*), odpowiadał na to wszystko Skarbnik, kiwał głową i ustępował.

Od niejakiego jednak czasu, wesołość i żywość pana Ludwika zmodyfikowały się bardzo: zakochał się nieborak! Sam nie' postrzegając, jak przywyknienie dziecinne do Elżuni Starościeianki Kapinowskiej, z którą w sąsiedztwie rósł i hodował się, dojrzało z wiekiem w miłość. Odmiana takąż sama, stała się bodaj i w sercu pięknej Elżuni. Ale cóż! kiedy rodzice obojga, jakby czekali ze swojemi rozterkami wzrostu i skłonności wzajemnych swych dzieci, właśnie teraz prawować się zaczęwszy, dawną sąsiedzką i stałą między sobą przyjaźń, zupełnie zerwali. Ztąd, zrzęcnoscie nawet częstego widywania się, coraz trudniejszymi zakochanym były. A lubo pan Ludwik nie tracąc serca i nadrabiając rezonem, ilekroć z Wilna do rodziców przybył, jechał do państwa Starościństwa, jakby ten proces najmniej doń nie należał; przecież zimne przyjęcie, szczególnież pani Starościnej, i smutna twarz Elżusi, zbijały go od razu z toru.

Koń jego w ręku masztalarza stał przed gankiem, lub się przeprowadzał po dziedzińcu, nie zaproszony niestety, jako niegdyś do stajni. Skonfundowany i milczący pan jego strzelał tylko okiem po tych samych kątach i pokojach, po których niedawno wesoło i poufale z Elżunią się uwijał," lub poglądał na nią, siedzącą ze spuszczoną głową nad krosienkami, i nie śmiejącą wznieść nań wzroku, w którym nie dawno na przybycie jego, radość i rokosz igrały.

Pani Starościna zapytywała go sucho, co słyhać w Wilnie? Pan Starosta ciągnąc powoli *knastr* z długiego cybucha, lubo mniej surowo z nim się obchodził,

(*) Ani Herkules przeciw wielu nie wydola, a tóra bardziej kobietom.

bo go lubii od dzieciństwa, ale akkomodując się humorowi żony, nie śmiał po dawnemu go traktować. Ledwo się odważał spojrzawszy na konia pana Ludwika, zapytać wiele' on ma lat? bo jako zawołany amator stadniny, tej ciekawości oprzeć się już nie mógł. Ale oboje nie dawali młodzieńcowi żadnego powodu przedłużenia odwiedzin, a nawet na skrócenie onych, pani Starościna znająca myśli i uczucia Ludwika, a podobno i córki, znalazła zawsze jakiś choć nie zręczny, pretext wyprawienia jej z pokoju.

Brał więc za czapkę gość natrętny... jeszcze chwilę zwlekał, a nuż nie zaproszą. Ani pół słowa!... po krótkim zatem pożegnaniu, dosiadał bieguna i wylaatywał jak z procy z domu, do którego by już i nie wrócił nigdy, gdyby Elżunia odchodząca za rozkazem mamy, nie rzuciła mu spojrzenia, po które chłopiec o sto milby pojechał, i na sto razy gorsze naraziłby się konfuzye. W takim to stanie serca i okoliczności, był Pan Ludwik Dowiat, gdy zamiast manifestu, napisał wierszyk do cudnej Elżuni.

VII.

Rada Familijna i Gość.

Nazajutrz po rozmowie w klasztorze, między dwóma braćmi, we *dworku* państwa Podczaszowstwa, uprzedzona zrana przez Skarbnika gospodyni, o mającej nastąpić wieczorem radzie familijnej i przjbyciu na nią X. Ambrożego, przygotowała kawę, której wielki imbryk stał przed ogniem na kominku, rzędem maleńkich garnuszczków ze śmietanką otoczony. Helusia krzątała się około stolika, ustawiając na nim małe z sa-

skiej porcelany filiżanki. Podczaszy na kanapie do-
trąwiai obiad, potuszając go piwkiem, poglądał na te
przygotowania, i naprzykrzał się synowiczce zmyśloną
swaczą rozmaitych swoich rówieśników i kondyscy-
pulów szkolnych.

Ze słów Skarbnika zapowiadających to zebranie,
razem ze wzmianką o panu Ludwiku, przenikliwe a
interesowane kobiety, zgadywały, że ta rada o nim
toczyć się będzie, świadome zaś były tajemnicy je-
go serca, której on przed ukochaną siostrzyczką nie
tylko nie krył, ale owszem troski swe, cierpienia i
uczucia, rad przed nią na osobności wylewając, ulgę
niejaką i pociechę znajdował. Tem bardziej, że smu-
tne te i tkliwe skargi jego, przez usta Helusi trafia-
ły zwykle do Elżuni, i wracały doń zawsze, przez
to same powiernictwo, lecz miłą nadzieją owinięte.
Stryjenka pod wielkim sekretem, wiedziała o wszyst-
kiem od Helenki; a tak obie życzliwy a serdeczny
biorąc udział w losie Ludwika, ciekawemi były, co
też o nim stryjowie radzić mają?

Poeiągniem kabałę na dzisiejsze... nim przyjdą....
szepnęła na ucho Helusia stryjence.

Podezaszyna uśmiechając się skinęła głową i po-
głaskała twarzyczkę synowicy.

Helusia więc wyjęła ze stolika małą xiążeczkę, czę-
stem widać użyciem starą, odkryła pierwszą jej kar-
tkę, i na kółko numerami napełnione rzucając ziarno
pszenicy: »ofo *na jego*» rzekła.

Podezaszyna stojąc obok, również ciekawie śledzi-
ła liczbę na której ziarno się zatrzymało....

— *Ośmdziesiąt siedm!*—szepnęły obie.—

— No czytajcież głośno co tam wypadło z waszej
kabały—odezwał się Podczaszy, a zakłopotwały się ko-
biety, bo im się zdawało, że jegomość drzemał i nic
nie słyszał.—Przeczytały więc taką wróżbę:

„W kaidój życia kouwunktarze,
„Upadają tylko tchórze!"

— Wybornie! — wykrzyknęła nieuważna Helusia; bo Ludwiś nie tchórz!—

— A! to na konto Ludwika, ciągnęłyście kabałę?— przerwał znowu Podczaszy—to co innego. Ja rozumiałem, że Helusia dla siebie przeniczkę sieje.—

— At, wasan sam nie wiesz co gadasz — odrzekła żona. Teraz rzuć na nią Helusiu:—

Helusia więc rzuciła powtórnie też same ziarnko.

Trzydzieści ośm! liczba parzysta, to wypadnie kabała kobieca, mówiła szukając numeru—jest:

„0! ty podporo ludzkiego narodu! (*)

„Więcej dwudziestu będzie twego ptodu ”

— Ach! Jezus Marya Józef! obie krzyknęły.—

— No, mówił śmiejący się Podczaszy, to się rozumie *circiter*; a może licząc i z wnukami; zawsze jednak winszuję błogosławieństwa Boskiego tej, na którą tę kabałę ciągniecie.—

— Jak to będzie, to będzie, rzekła Podczaszyna, zawsze jednak kabała dobrze wypadła; bo Ludwikowi każe być stałym, a Elżuni wróży małżeństwo. Jeszcze raz dla Elżuni!—

— Jakiej znowu Elżuni? — zapytał Podczaszy.— Uprzedził odpowiedź na to pytanie, wchodzący zamasyto i z szyrmem gość niespodziewany.

— A! pana Purucznika Dobrodzieja! — ozwali się wszyscy — jakże dawno widzianego?—

— Nogi weneruję Podczaszowstwa Dobrodziejów! Przed godziną przybyłem, i wnet pośpieszam do moich łaskawców — rzekł kłaniając się damom, a uściśkając gospodarza, pan Porucznik *Stelnicki*, gracki

(*) Z dawnej kabaty.

i czerstwy wddwczyk po (rzęch żonach; które, traktując wojskowo i peregrynując z komendą, w rozmaitych stronach kraju zaszłubiał.—

Mógł on mieć lat ze sześćdziesiąt, ale daleko młodszym się wydawał. Nosił się z żołnierską, z węgierską i z polską, a zawsze pięknie i schludnie. W kuntuszu czy w taratatce, zawsze suta szlifa błyszczała mu na ramieniu. A chociaż *szarżę* swą porucznikowską sprzedał jakiemuś paniczowi (boć to było prawnie i wolno), znak ten jednak, a razem całą energię, otwartą prawnomówność i wesołość, a nawet postać i minę gracką a mężną, do wysokiej figury jego wielce przypadającą, z dawnej swej professyi zachował.

Nie gadaj mu do trzeciego, skoro szło o honor własny, lub krzywdę przyjaciela. Ale bez zaczepki, spokojny to był, poczciwy i wyborny towarzysz. Owszem po staroświecku i po szlachecku, każdego rad był zubowiązać, obdarować, pocieszyć i wspomódz nawet; byle nigdzie z twarzą zasępioną i zmarszczoną się nie spotkał, bo tego passyami nie cierpiał.

— Nogi weneruję Podczaszowstwa Dobrodziejów moich, powtórzył, i zwracając powitanie do Helenki—• a... moja Helusieczko! Moja gołąbeczko! Jak długi do stopek twych się ścielę. A kiedyż nasze wesele?—

— Zdaje się panie Poruczniku, odezwała się z uśmiechem Podezaszyna, że powinienbyś być syt konkursów małżeńskich.—

— Mościa Dobrodziko!

Noga się piąta

Będzie żona piąta!

powiada przysłowie. Ale ja z piątej na wieki się kwituję. Czwartej zaś nie odstąpię; a tą, nie inna być musi, jak piękna Helusia; mój aniołek, mój buziaczek . . . I całował czule rączki śmiejącej się i wrywającej się Helusi—

— Gracz do fartuszka! — mówił kręcąc głową pan Podczaszy.

— Choć stary, ale jary! — mówiła kręcąc głową Podezaszyna.—

— Cóż słyhać na wsi?—zapytała jeszcze ona przerywając konkury gościa.—

— Wszystko dobrze Mościa Dobrodziko, wszystko dobrze. Braterstwo państwa, a rodzice mojego aniołka, zdrowi i przesyłają ukłony i pozdrowienie. Zawczora nocowałem w Dowiatowszczyźnie, a wczora jadłem obiad u Starościństwa Kapinowieckieh. Włoczyłem się w Grodzieńskim, opatrując to tam to ówdzie stadniny i dobierając czwórki. Trudno, coraz trudniej u nas o koniki. Jednakowoż przyprowadziłem cztery kasztany brudne, ogony i grzywy konopiate, co nie wstyd i Wojewodzie jakiemu zaprządz by do karocy, i cztery kuce siwe, dla jakiego panicza na harcówkę, Ale oh! niema i mieć nie będę takich, jak moja niegdyś czwórka porcenelo-strokatych.... Starosta chciał handlu.... ale... ale... krótko mówiąc... nie miał przydatku, a moje konie narowiste bestye, na papier nie idą.—

— Gdzież stanąłeś kochany Poruczniku; po staremu u nas kwatery.—

— Nie, Mościa Dobrodziko, *pro kac sola vice*, to jest ten raz proszę mi darować, stanąłem w mieście; przybywam na dłuższy termin: doczekam tu zapust, a może i włączobnego. Gospodarkę zdałem synowcowi, bo nie lubię siedzieć jak pustelnik, i kłócić się codzień z ekonomem, nie przywykłem do subordynacyi wojskowej. Zimę więc przebędę tu w mitem towarzystwie moich przyjaciół w mieście, a na wiosnę pojedę po przyjaciółach na wsi....—

W tem wszedł pan Skarbnik, a za nim wkrótce i xiądz Prokurator; tak, że pan Stelnicki z kolei, jednego po drugim witał.

— No, rzekł ulokowawszy się na kanapie X. Ambroży, i popijając smakowitą kawkę, gdy i wszyscy toż samo czynili.—No panie Skarbniku, na jakież tu mnie familijne consilium zaprosiłeś? *Indukuj negotium*; mówiąc Boże odpuść, waszym patrońskim językiem.... byle tylko nie proces, bo waćpan wiesz...—

— A jeżeli Ichmość Dobrodzieje zebraliście się na jakąś poradę, więc ja mogę tu być niepotrzebnym, mówił powstając i biorąc za czapkę Porucznik.—

— I owszem, odpowiedział, przytrzymując go Skarbnik, w czas Bóg nam zdarzył tak szanownego gościa, którego doświadczenie *in his et similibus*, może nam być pożyteczne, a o przyjaźni którego dla domu naszego nie wątpimy.—

— A, jeżeli na cokolwiek przydać się mogę, to służę — rzekł siadając na nowo Stelnicki.—

— *Inter nos loquendo* kochani bracia, mówił zatem poważnie pan Skarbnik; *ultima spes, et haeres* (*), naszego szlacheckiego domu, jest nasz pan Ludwik...—

— Ale... bratowo dobrodziko... zastanowił się tu i patrzył to na bratową, to na? siostrzenicę.—

Zrozumiała Podczaszymi myśl jego podejrzliwą.— Bądź brat dobrodziej spokojny.—rzekła, umiemy my, choć kobiety, być w potrzebie dyskretne.—

— Otoż właśnie i potrzeba, a po przestrodze— ufam!—

— Miałem tedy nadzieję — mówił dalej Skarbnik, że jako ją, po najstarszym *luminarzu* naszego roduństwa, który teraz świeci w kościele Bożym, (a tu wzajemne między bracią nastąpiły ukłony) odziedziczyłem, gdy nie talenta i *ścięćie*, to przynajmniej ochotę i pilną aplikację do patrocynfi, a z czego za pomocą Bożą, coś* się i na starość, lubo maluczko, bardzo maluczko, uzbierało.... i... —

(X. Prokurator uśmiechnął się),

(*) Ostatnia nadzieja, i dziedzic.

i domowi naszemu nie ubyło reputacji; tak i pan Ludwik po mnie nie odstąpi drogi tejże samej, dziedzicząc zaufanie powszechne, którego bez chłuby, *inter nos loquendo*, nie skąpo używam, i którego dotąd chwala Bogu nie zawiodłem. Ale *homo proponit, Deus disponit* z pana Ludwika nie będzie ani jurysta, ani patron Szerokoby o tem podyszkurować można, ale byłoby to napróżno, bo już nie czas panicza brać w rezę, tem bardziej, że mu w głowie i w sercu inne imprezy i myśli brodzą.

Dośledzilem ja wczóra *insperate* inteneyow i inklinacyow jego.

Pani Podezaszyna i Helenka, spojrzwały na siebie przenikliwie.

— Jeżeli pocziwe i zacne, to panie Boże błogosław, odezwał się X. Prokurator. Niech się żenił nie pożałujesz, mówią ludzie, za młodu ożeniwszy się i rano wstawszy.—

— Pocziwe i zacne, ani słowa, ale poczęte w nader trudnych i niewczesnych konjunkturach... lubo ile miarkować mogłem, nie są one bez wzajemnej rekognicyi.. —

— Mów otwarcie Panie bracie — rzekł znowu X. Prokurator, na co te zagadki? —

— *Inter nos loquendo*, pan Ludwik, gorącym jak widać afektem miłuje pannę *Elżbietę* Starościankę Kapinowską Miarkujcież teraz jak to pogodzie, z zaciętym procesem, który rodzice jej, a raczej rnamuma, z ojet m jego rozpoczęła Bez tego procesu nawet, wątpiłbym o szczęśliwych w tej mierze sukcesach, a cóż dopiero? —

Wszyscy pokręcili głową, uznając trudność interesu.

— Możesz to tylk'>, at sobie amory, rzekł Stelnicki. Młodzi obops hodowali się prawie razem w sąsiedztwie, na jrdnem polu, to się jakoś i przyzwyczaiło. Ale teraz gdy się rzadko widują, gdy ten proces granicz II\, założył i między niemi ciężką gra-

nicę; mój kochany Ludwiś.... a zna się chłopak na koniach, moich porceleno-strokatych odchwalić się nie mógł; o toż teraz, mieszkając w mieście, nie jedną pięknieszą obaczy od panny Starościanki, i klin klinem z serca wybije.—

— O tem wąpię — rzekła Podezaszyna; to o czem brat *insperate* się dowiedział, my z Helusią od dawna wiemy. Postrzedz mogliśmy wszyscy, i brat do brodziej zapewne, jak się ten biedny chłopiec odmienił, jak stracił humor i wesołość, jak wybladł....—

— Ja to tylko wiem — przerwał Skarbnik, że stracił do reszty ochotę do pracy, a manifesta pisze tylko *Coram actis* panny Starościanki.—

— Nie trudno nam było dojść przyczyny tej jego zmiany, mówiła dalej Podezaszyna; a więc bardzo dobrze, że brat do brodziej przedsięwziął wynaleść, jakakolwiek w tem *salwę*, bo to zdrowie jego zniszczyć może; a zakładać na tem nadzieję, że czas, albo nowy przedmiot uleczy go, to próżno. Gdyby zas jeszcze broń Boże, Starościankę za kogokolwiek wydać chciano, jużby było po nim... Helusia chli pała na te słowa stryjenki.—

— Prawdę mówiąc — rzekł Porucznik,—dziewczy na ładna, i posiada prawdziwie pięć *P.*, jak to panowie wiecie w starym łacińskim wierszu, a którego ja wyuczyłem się na pamięć, przymierzając go zawsze do moich narzeczonych:

„*Ducere quam rellis, habeat P. quinque piiella—*
„*Sit Pia, Pulchra, Pitdica, Prudens et Pecuniosa!*” (*)

(*) Na przetłómaczenie dosłowne tego łacińskiego dwuwiersza, potrzebaby dobrać pięć przymiotów niewieścich, od litery *P.* zaczynających się; ja cztery tylko w języku naszym znaleźć zdołałem: ale i tych ada mi się wystarczy do szczęścia zamierzającego żenić się czytelnika, jeżeli mu Bóg żonę z niemi zdarzy.

„Dziewczyzna, którą masz pojąć niech ma pięć *P.*

„Niech będzie *pobożna, piękna, poczciwa, potażna, rostopna.*

O tym ostatnim przymiocie panny Starościanki wątpi kościół Boży, aie gdy pierwsze cztery, które ja ledwo pojedynczo w moich trzech nieboszczkach Joneczkach, i to dobrze szukając, znaleźć mogłem, Ełżunia równie jako i mój oto anioleczek, który darmo swoje oczki płaczem psuje, bez kwestyi posiada; toć nie żal i pomyśleć o niej. A choćby i spaść, to przynajmniej z dobrego konia, jak to ludzie powiadają.

— Ale bracie panie Skarbniku, zbierając tu *Consilium* familijne, zapomniałeś najgłówniejszej figury, to jest samego Ludwisia. Jego trzeba wprzód wziąć na ścisłą konfessatę, a potem coś postanowić,— rzekł X. Ambroży.

— Nie zapomniałem Mości Dobrodzieju, jest on tu podle w moim *dworka*, dałem mu tam umyślnie maleńką robotę drabowania starych mantyków; bo przewidywałem potrzebę jego tu obecności; lecz chciałem pierwej oznajomić braci z rzeczą i przygotować ich animadwersyę; teraz możemy po niego posłać.—

Jakoż za chwil kilka wszedł pan Ludwik.

Zadziwiła go zaraz na progu uroczysta mina trzech stryjasków, a smutna i płaczliwa siostry. Przemknęło mu po myśli, że tu iść może o wydanie jej za pana Stelnickiego, którego tu niespodzianie znajdował; i postanowił wnet, jako brat starszy, stanąć w obronie Helusi, jeżeliby ją zmuszać chciano. Przywitawszy więc uniżenie wszystkich, zbliżył się do niej i zapytał z cicha: — Cóż ci jest siostrze?—

Helenka milczała, a stryjaski poglądali na siebie zachęcając się wzajemnie oczami i rozmaitemi gestami do zaczęcia.

— *Inter nos loquendo*,—przemówił szeptem Skarbnik do Prokuratora, — Jegomości Dobrodziejowi wypada zacząć, jako głowie familji.

— Wszak go nie do zakonu namawiać mamy, — odpowiedział niecierpliwie, i również z cicha xiądz, dodając: — panie Podczaszy, tyś żonaty, więc gadaj 0 stanie, w którym od tylu lat żyjesz.

— Hem!... tak... tak..., — szepnął Podczaszy; narzeczcie tajemniczo na lichu Skarbnikowi rzekł: — A czy nie możnaby tego na jutro odłożyć?...

— Moi kochani'stryjowie, — odezwał się nakoniec Ludwik, — widzę, że tu coś układacie, żeście się tu nie na darmo zebrali; przywołaliście i mnie, raczcie więc objawić o co idzie?

— Idzie, — odezwał się Stelnicki, przełamując pierwsze lody stryjowskich upominków, — idzie o ożenie nie wasana.

— O moje ożenie? — powtórzył zdziwiony młodzieniec, — komuż i skąd to przyszło do głowy?

— Zkąd to przyszło, Bóg cię wie, panie synowcze — rzekł X. Prokurator, — ale przyszło samemu tobie; bo brat pan Skarbnik dośledziwszy, jak powiada, twoich inklinacyi ku pannie Starościance Kapinowieckiej....

— Ach! ja nieszczęśliwy! — przerwał nagle i zbłądł pan Ludwik.

— Trafili w sedno — przebaknął Porucznik.

— Bóg z tobą mój Ludwiku! — mówił powstawszy i zbliżając się doń X. Ambroży; wszyscy niespokojni, toż samo uczynili. — Bóg z tobą! nie ma w tem żadnej winy, ani obrazy Bożkiej. Stan małżeński jest także świętym sakramentem. Rodzice twoi już podeszli, radziby cię zapewne widzieć w postanowieniu; my wszyscy cieszylibyśmy się twym losem, i odrodzeniem się z ciebie szlacheckiego naszego imienia.... Jeżeli więc szczerze serce twe skłoniłeś ku tej czarnej pannie; próbujmy! a o ile z nas będzie, wszyscy ci pomożemy.

— Nie wyłączając i mnie od tego, — rzekł Porucznik, i uścisnął Ludwika. Ale ten milczał, oczu łzą zasłanych podnieść nie mógł. Sam nie wiedział co

mu się w głowie dzieje, jakim sposobem Skarbnik odkrył jego tajemnicę, co miał odpowiedzieć, co przedsięwziąć?...

— Kochany mój Ludwiczku, — rzekła Podeszasyzna przerywając powszechne milczenie, i gładząc go do brotliwie po twarzy: — porzuć te żale, ja wiem, że ty kochasz Elżunię, i że ona.... ciebie kocha....

" — Ach! moja stryjenko, zkąd ta pewność? i na co ją tu wspominać?... — A patrzył w oczy stryjen-ce pragnąc bodaj od niej powtórzenia tych wyrazów, i dowodu na nie.

—No, no, już my z Helusią wiemy to lepiej od ciebie. Wszakże to nie żadna *wexa* na pannę Starościankę; i pewna jestem, że w takim zamiarze, nie okaże ona ressentymetu dla ciebie. Z rodzicami jej tylko, a najbardziej z matką będzie rzecz trudna, zwłaszcza przy terażniejszej z niemi twoich rodziców scyssyi. Już w tym moja kobieca głowa nie da wam rady.

— Ale moja bywała głowa doradzi — rzekł Porucznik, — jeżeli jej posłuchacie. Oho! nie takie rzeczy opierały się o nią! —

Wszyscy go więc otoczyli ciekawie, prócz Ludwika, który stał smutny i zadumany przy ścianie.

— Oto tak. Oj! nie masz moich porcenelo-strokatech. Szkoda i wielka szkoda!

— Mniejsza tam o waćpana, poreenelo-strokate, — przerwał zniecierpliwiony xiądz; — radź wolej co masz radzić.

— A mój Dobrodzieju, bez tego ferworu, ja i na moich siwych kucach, tegoż samego dokazę wprawdzie, ale łatwiej byłoby z tamtymi. Jedźmy natychmiast panie Ludwiku, przez noc do Dowiatowszczyzny; ja jutro rano niby mimo jazdem, i dla handlu koni, pojedę do Starościństwa; ty dasz mi do Elżuni strzelisty list, zaklinając, aby się na moje propozycje zgodziła. Jeżeli cię kocha prawdziwie, zgodzi się; natenczas powracam do Dowiatowszczyzny, kujem

konie hakami naprzód, podjeżdżamy w nocy.... i Jego-
mość Dobrodziej czekaj na nas po jutrze rano ze
stulą i agendką w swojej zakrystyi. Pogoń za tro-
pem naszym w pięć pogoni, a ja dostawię państwo
młodych na kobierzec. Byle dobra wola Elżuni, za
pomocą Boską rękę, że się wszystko uda; bom ja
w takich rzeczach *peritus et promptus*, trzecią moją
żonę uwoziłem.

— A niechże nas Bóg broni od takiego zenienia
naszego synowca! — rzekł żegnając się X. Proku-
rator.

— To rapt, *inter nos loquendo*—to wieża *in fun-
do* — dodał Skarbnik.

— At prawisz! wieża *in fundo!* kogożby tam Sta-
rostowie wsadzili? z zięciem i własną córkę. Wia-
domo co nastąpi, pogniewają się i przebaczą. Ale je-
żeli moja rada wam się nie podoba, to radźcie ina-
czej, byle skuteczniej, o czern wąpię.

— Kochani stryjowie, — odezwał się, jakby ocu-
cony ze swego milczenia, sam Ludwik. — Napróżno-
bym zaprzeczał i tał przed wami, przywiązanie moje
do Starościanki. I gdyby moje uszczęśliwienie od
niej tylko zależało, możebym — tak przynajmniej
stryjenka mówi...

— Mówię, mówię, bo dobrze znam serce i sympa-
tię ku tobie Elżusi.

— Mógłbym i ja, — rzekł Skarbnik — zacytować
na to niektóre dowody *in scriptis*...

— Dość tego kochani stryjaskowie moi, — przer-
wał żywo młodzieniec; — jakkolwiek to jest, dziś
próżnemi byłyby moje wszelkie o jej rękę starania.
Bóg jej inny, szczęśliwszy zapewne los przeznaczył,
gdy widocznie coraz nowe między nami stawi zapo-
ry. Niech się dzieje Jego święta wola.

— Nieboraczek!... biednińki!... — smutnie odezwa-
ła się Podezaszyna.

— Ponieważ zaś, — mówił dalej Ludwik — jako
sprawiedliwie uważa stryj, nie mam żadnej ochoty,

aui powołania do jurysprudencji; więc postanowiłem zaciągnąć się do wojska, i oddalić się z tych stron, abym i siebie, i... drugich nie dręczył.

— Jedynak do wojska! piękna *impreza!*—zawołał milczący dotąd Podczaszy; — a rodzice starzy przy kim zostaną? a my także starzy, którzy ciebie za syna mamy, co pocniem?

— Dalibóg radźcie wasaństwo, — dodała wzruszona do łez Podezaszyna, obracając się do mężczyzn. — Radźcie, bo chłopiec z rozpaczy gotów na wszystko.

Helenka także płakała.

— Cóż to złego wojskowość Mościa Dobrodziko?— rzekł pan Porucznik. Owszem, młodemu ten stan najbardziej przystoi. Stryjaszkowie i rodzice łatwo dadzą sposób panu Ludwikowi, kupienia szarży, na przykład porucznikowskiej; a przyczepiwszy szlifę, chłopiec jeszcze cudniejszym będzie, i nie tylko Starościankę, ale i Kasztelanę jaką do Dowiatowszczyzny przywiezie.—

— Ja opowiem fchrościom, jak zaczynając moją służbę od towarzysza....—

— Zaczekaj Poruczniku z *narracją* swoją, przerwał Skarbnik; skończmy pierwej cośmy wzięli na rozagę, a potem chętnie słuchać będziemy pańskiej ciekawej historyi. Mnie się zdaje, mości xiężę bracie Dobrodzieju, że nim pan Ludwik swoją żołnierkę wyszykuje...—

— Przepraszam stryjaszka, przerwał ten, ja najmniej nie myślę odwlekać mego postanowienia.—

— Wszelkie postanowienie, odpowiedział Skarbnik, uczynione bez namysłu, wątpliwe wróży *ewenta*; a tem bardziej postanowienie, jakby z rozpaczy, do której *inter nos loijuendo*, ja nie widzę powodu.—

— I w całym życiu ludzkim, odezwał się X. Ambroży, choć ten świat padołem płaczu nazywamy, ani momentu przeznaczonego na rozpacz dla człowieka, nie ma; bo to byłby moment przeznaczony dla

najcięższego grzechu, to jest wątpliwości o dobroci i miłosierdziu Boskiem. A więc tego grzesznego wyrazu, tu i wspominać nie należało waćpanu panie bracie; bo to ni w pięć, ni w dziewięć.—

— Dla tego też ja dodałem *jakoby*, czego nic uważałeś *Reverendissime*, a ten wyraz modyfikuje wszystko.—

— Masz tobie! prawdziwy adwokat. No, słuchamy dalej twoich *Consiliów*.—

— Otóż życzylbym poprobować szczęścia, i propozycyę naszą względem ręki panny Starościanki dla pana Ludwika, oświadczyć jej rodzicom.—

Na ten niespodziany projekt, twarz Ludwika błysnęła promieniem, i wnet znowu się zasępiła.—Nie, kochany, stryju, mówił on; nie, to byłoby napróżno. Jeżeli nie dawno jeszcze mogłem sobie roić jakie nadzieje to ten nieszczęśliwy proces, zniweczył je zupełnie.—

— Proces! prawda; ale wszakże nie my go zaczęliśmy. Upodobał się panu Staroście...—

— Mów Starościnej, przerwał Stelnicki.—

— Mniejsza oto, może i obojgu. Zaścianek od wieków nasz, w pięknej bardzo pozycyi nad Willą, i tuż przy wiosce Starosty, a intratny; bo przy corocznej defluitacyi drzewa i zboża po rzece, znaczny dochód jest tam ze sprzedaży gorzałki i rozmaitych wiktuałów, więc go sobie chcą przywłaszczyć, i imaginujcie sobie państwo.... —

— Zaczekaj Skarbniku Dobrodzieju, przerwał mu Porucznik z narracyą swoją, wetując temiż samemi wyrazami, za przerwanie własnej, skończmy pierwiej cośmy wzięli na rozważę, a potem chętnie słuchać będziemy, pańskiej ciekawej historyi.—

Uśmiechnęli się oba bez gniewu.

— Prawdę mówisz Poruczniku: otoż chciałem powiedzieć, że czyniąc tę propozycyę Starościnej, postawimy ją jakoby na rozstannych drogach do wybrania.—

— *Jakoby* — powtórzył X. Ambroży.—

— A tak *lleverendissime*, jakoby na rozstannych drogach i *inter nos loquendo*, w krytycznej z własnym sumnieniem *kontrawersyi*. Wybieraj Mościa Starościno albo niesłuszny proceder, albo słuszne, pocziwe, i podług jej własnego wyboru postanowienie córeczki, których *notandum* jest kilka, a posagów *pasz*. Idzie więc tylko, aby im to w dobitnej konkluzyi na oczy postawie. Starosta, wiemy, że kocha po rodzicielsku swoją pierworodną, i gdyby nie wysoki animusz pani Starościnej, siłą którego *inter nos loquendo* kredensuje mężowi: a przytem jakaś ochota do procesów, za którymi imość po subeliach i trybunałach uwija się, wmawiając każdemu szerokie swe wpływy w Warszawie, z kąd kiedy niekiedy, przywozi z okienkami przywileje na *stalla* powiatowe, ale nigdy przecież obiecanie starostwa: nakoniec gdyby nie nadzieja jej, że wysoką parantelą, zastąpi córce posag, lub że ten posag wygraniem procesami zwiększy, z samym panem Starostą byłaby rzecz łatwiejsza. Uczciwie urodzonemu szlachcicowi, sąsiadowi, dziedzicowi dobrej substancyi, a expektantowi sukcesyi *post fata*, *inter nos loquendo*, daj Boże nie rychłe, stryjaszków, nie odmówiłby on ręki panny Elżbiety; przekonawszy się zwłaszcza o wzajemnej serc inklinacyi, dowodzącej przeznaczenia Boskiego... Moznaby jeszcze jakoby *a latere* rzucić myśl, że posagiem *ad interim*, będzie kassata tylko procesu o zaścianek. Nic na tem Pan Ludwik nie straci, bo *nullus dat qui non habet* (*), a właśnie Starościństwo jest w takiej kategorii.—

— *Sapienlissime argumentatum!*—rzekł X. Ambroży, nie pozostaje więc nic więcej, jak abyś sam się udał do Starosty, i wszystko to im obojgu z należytych rozbiorem przełożył.—

— Wertowałem to ja w głowie, przez całą noc

(*) Nikt nie daje, kto nie ma.

Reverendissime, odpowiedział Skarbnik, rozważając wszystko *pro et contra*, i skonkludowałem? że innie tam jechać nie wypada. Ja bronię u sądu sprawy brata, przeszliśmy przez *subselie*, gdzie się nie dałem pokonać. Przychodzimy teraz do trybunału; Starościna wie, że i tu ją najtężej oppugnować będę, i przy sprawiedliwości mam w Bogu nadzieję, że jej szyki połamię. Więc przybycie moje nie będzie jej miłe, i propozyeya z ust moich, tern trudniej akceptowaną być może.—

— A zatem przypada użyć obcej osoby — odezwał się Podczaszy.—

— I to nie: przed obcą osobą irność zadrze nosa, i skonfundować gotowa i swata, i swatanego.—

— Dajcie temu pokój kochani stryjowie, odezwał się przysłuchujący się w milczeniu Ludwik; po co się samym bezskutecznie narażać, i po co zasmucać i udrećzać tę, dla której... lękam się bowiem...—

— Czego się lękać? — przerwała żywo stryjenka; najgorzej będzie, kiedy się będziesz lękać. Czytaj, co dziś nam z Helosią wypadło z kabały o tobie — i to mówiąc, znalazła wnet w książeczce wierszyk wyżej przepisany, i pokazała Ludwikowi.—

— *W każdej życia konjunkturze*, czytał on uśmiechając się: »*Upadają tylko tchórze*.«—

— A widzisz, i na Elżunię ciągnęłyśmy...—

^—A moja mościa bratowo, rzekł X. Ambroży; cóż to za zgorszenie sama czynisz, i synowicy wma-wiasz! Kabały, czary, i wszelkie takie gusła, 'są wy-klęte od Kościoła Hożego: to sidła, to pastki, które szatan na łatwowierne dusze zastawia; wstydz się waćpani, i nie mieszaj do pocziwych zamiarów i rad naszych, takich nieczystych influencyi, od których abym was ochronił — dawaj imość. — Wyrwał książeczkę z rąk bratowej i cisnął na kominek. Płomień chwycił papier, i buchnął słupem w górę. Patrz waćpani, rzekł, porywczó podprowadzając ją do komin-ka: oto tak dusze w czyscu gorą za czary i gusła.

A tu koło kominka pewnie szatan tańczy teraz, chcąc wyrwać z ognia, ulubioną waćpani xiążeczkę, ale nie dokaże tego, bo ją ręka kapłańska tam potępiła.—

Podezaszyna z przestraczem cofnęła się, i lubo mężczyźni rozśmieli się na ten gorący napominek X. Ambrożego, u Podczaszynej jednak oczy łzami zasły, a Helusia drżąca za brata się schowała.

— Proszę Imości i obowiązuje, pójść w niedzielę z panną Heleną do spowiedzi, i być na kazaniu; bo tam, gdzie idzie o zbawienie duszy, żartów nie ma. A teraz panie Skarbniku, twoje *conclusum* słuchamy.—

— Moje *conclusum Rererendissime*, jest takie: abyś Jegomość Dobrodziej, podjął się tego poselstwa, i albo połączył tam dwie propozycje w jedno, lub je *separatim* traktował, jak będzie wypadło.

— Przed zbliżeniem się ostatecznej decyzji w procesie, właśnie jest czas zagajenia kombinacji: a jeżeli pierwsza odrzuconą zostanie, abyś wsparł ją drugą, z której pierwsza *se ipso* wypłynie, i w niej się zawrze.

— Słowa pokoju w ustach brata Dobrodzieja jako kapłana, najprzyzwoitszemi będą; a jeżeliby Staroscina na argumenta prawne wpadła, znajdzie *inter nos loquendo* adwersarza....

— Czy znowu chcesz mnie na drogę potępienia prowadzić?—przerwał porywczo xiądz — zapomniawsz!—

— A Mości Dobrodzieju, odpowiedział z powagą Skarbnik; pogodzić zawziętą kłótnię między dwiema familiami, i jeszcze familie te skojarzyć sakramentem; spełniwszy taki uczynek, powiedzieć śmiało można *Laus tibi Christe!* a sposoby ku temu, ja zostawuję zupełnie wysokiej mądrości i experyencyi brata dobrodzieja. *Licet* zatem *sperare*, że dla tak prawdziwej zasługi przed Bogiem i ludźmi, i dla dobra własnej krwi, brat swej fatygi i łaski nie pożałujesz.—

X. Ambroży uspokoił się, i rozpogodził zmarszczo-

ne czoło, a po jakimś rozmyśle, obrócił się do Ludwika i zapytał:

— Powiedźże waćpan, czy *inklinacye* waćpana do panny Starościanki są prawdziwe? i czy żądasz, abyśmy o jej rękę dla ciebie krok niejaki uczynili?

— Kochany stryjasku, rzeki rumieniący się młodzieniec; tać nie będę przed wami, którzy tak szczerze moim losem zatrudnić się chcecie, że podług mojego serca, byłbym najszczęśliwszym w posiadaniu ręki nadobnej tej i najlepszej dziewczyny. Że ona sama... namyślającemu się, jak się dalej wyrazić? dopomógł Porucznik.—

— Kocha ciebie. Co?—

Ludwik na ten wyraz spłonął na nowo.

— Gdyby i tak było, mówił dalej, smutnem ruszeniem głowy, wydając boleść wewnętrzną, cóż po tem? gdy widocznie przeznaczenie naprzeciw nas, gdy pewny jestem, że rodzice jej na to się nie zgodzą; a nawet moi własni, czyliż dozwolą kroku, w którymby przeciwny ich znaleźli zręczność ponieważ dla szlaheckiego naszego imienia.—

— Przeznaczenie — jest to nie co innego, tylko wola Boska, moje dziecię, rzeki X. Ambroży; a pocziwym zamiarom Bóg dopomaga. Bez woli rodziców twoich, naturalnie, że nic rozpocząć nie będziemy. *Spem<nvać* zaś nami, Starościństwo nie ma powodu i nie może; a nie widzę żadnej konfuzyi w rekuzie, której częstokroć i najszlachetniejsi kawalerowie uniknąć nie mogą; zresztą będę wiedział jak te rzeczy prowadzić.

— Posłuchajcie jeszcze raz mnie starego... tfu! co chciałem mówić — dobrze, że Ilelusia w alkierzu, dawnego a prawdziwego swego przyjaciela. Jam nie obcy obu familiom, i chciałem z całego serca widzieć obie w pokoju i jedności, jak dawniej bywało; a temu pocziwemu chłopcowi chciałbym także usłużyć. A zatem jeżeli wola, oliaruję się w sekundy X. Prokuratorowi: dość będzie samej jednej kobiety na

głowę Jegomości Dobrodzieja, i gdy ją będziesz kruszyć, ja tymczasem ze Starostą mocować się będę.

— Prosiemy, i owszem prosiemy kochanego Porucznika.— A ja, dodał X. Ambroży nadewszystkich.

— Jutro zatem rano, czwórką moich siwych.— Oj! nie ma porceleno-strokatych! zajeżdżam * gdzie rozkażecie, i zabieram ciebie *Reverendissime*. Za godzin trzy będziemy w Dowiatowszczyźnie; a ztarn-tąd po obiedzie z błogosławieństwem rodzicielskiem, ruszym gdzie nas daj Boże *fortunne fata* poprowadzą; zaś w propozycyach mądrze sobie i ostrożnie poczynając, albo zejdziemy do bliższych *exwisceracyi*, albo zrejterujemy się gładko. Oj! bo ja szczwany lis!—

— Cieszę się z towarzystwa i z życzliwości Porucznika dobrodzieja, rzekł X. Ambroży, a zwłaszcza gdy wyrozumiewam że rzecz tę z ostrożną delikatnością ze swej strony prowadzić masz, bo i ja takimże krokiem postępować będę. Gdy więc tym sposobem skonkludowano radę, wszyscy zabierali się do odejścia; lecz że już zmierzch po krótkim dniu zimowym zapadał, przeto Podczaszowstwo, zatrzymali wszystkich na wieczerzę.—

⋮

VIII.

Bywalec — Śpiewaki.

—fmajnujeie sobie Państwo, rzekł Porucznik; trzecią moją żoneczkę wykradałem w Borysowskim, gdym tam *lufę* na regiment mój wybierał. Ba! wszystko się ułożyło jak najlepiej; całą zimę polo-

wałem z ojcem panienki na niedźwiedzie i losie, bo to puszcze tam głębokie, i zwierza grubego gwałt. Wdowiec to był, i przypadliśmy sobie do humoru; ale też i córeczka jego przypadła mi do humoru; bo to fertyczne, i impetyczne było dziecko, a nie miałem jeszcze takiej. L powolnemi już mi się naprzykrzyło; inłodać to jeszcze, myślałem; jak ją wezmę po swojemu, uchodzi się, a zostanie wrodzona wesołość, -> 7. którą milej żyć, jak ze zmkłą cieciorką', co wiecznie piszczy i głowę suszy.

— Więc j*. krótko mówiąc, w konkury! Tatunio poznał od razu i interes. »Daj waść pokój, rzekł raz »do mnie, tym zalotom do mojej Ewusi; ja jej za »iebie nie wydam, bo ty już rycerz z regimentu »Działyńskiego" (*), a ona kozak dziewczyna; jej trze- »ba rzeźwego młokosa, a ty wdowiec i jeszcze po- »dwojny. Kiedy już tak chcesz żonki, weź jaką pod- »żyłą kwokę, wdowę jak sam, to się łatwiej z sobą »pogodzicie.« Po kilku dniach, gdy widział, że perory jego nic nie pomagają, ani mnie, ani córce, więc znowu do mnie: »Jedź Waść do sta djablów!—rzekł; lafę fjuż wybrałeś, po co siedzisz? ja chleba nie żałuję, »ale bałamucisz mnie córkę, a prawdę mówiąc, ona »ciebie bałamuci; i jej i ciebiebym żałował, gdybyście »się pobrali. I to jeszcze masz wiedzieć, że posagu »nie dam, bo pieniędzy nie mam, chyba kilka skór »niedźwiedzich na małżeńskie łoże.« Zacząłem więc wybierać się w drogę, ale pomyślałem, zaczekaj tatu- leńku, dowiodę ja tobie, że nie z komendy Działyń- skiego !!! O posagu pogadamy później; zresztą przed każdym moim szlubem śpiewałem ja jedną piosnkę:

„Fraszka, fraszka, sto tysięcy!
„Dobre dziewcze warte więcej," (**)

(*) Hyla dawniej powszechna opinia w przysłowie zamieniona, ie w tym regimencie same byli niedołągi,

(**) Dawna piosnka.

choć po szlubie inaczej się pomyślało. Otoż, czy przez prawdziwy dla mnie afekt, czy chcąc wyrwać się z domu rodzica, bo jak to mówią, dziewczyna każda za okno patrzy; słowem, że Ewusia łatwiuteńko zgodziła się na propozycję moją uwiezienia jej.

Urządziłem wszystko ładem, wyjechałem z domu tatuni pożegnawszy go solennie, a następnej nocy % dobranym przyjacielem, podjeżdżamy tęgą czwórką karych, jak dziś pamiętam, i stajemy o kroków kilkaset od bramy, a sami piechotą, podchodzimy jak wilki po owieczkę, aż pod okna Ewusi...

Stuk! stuk! otwiera się okienko, i gołąbka w mojem ręku!... Drży jednak trochę, ale to nic—dobra nasza. Podprowadzamy ją—biegniemy... już jesteśmy w pól dziedzińca.... byle za bramę... już tylko kilkanaście kroków.... gdy nagle!...

Zamilkł Porucznik, i wziął szczyptę tabaki od Podczaszego, i zażywał ją od niechcenia, prowadząc z uśmiechem oczy po zainteresowanych słuchaczach.

— Cóż się stało dla Boga? — rzekła niespokojfia Podezaszyna.—

— Ot jak Imość Dobrodzika ciekawa! zgadnijcież Państwo?—

— Nagłe zapewne psy wypadły — rzekł Podczaszy i wasanu poły oberwały; ludzie się rozbudzili, zdrada się odkryła. Jaka potem konsekwencja, szczególnie dla córki, ła'wo się domyśleć.—

— Trafiłeś jak kulą w płot, Podczaszy Dobrodzieju.—

— A więc cóż się stało?—odezwali się wszyscy —

— Nagle.... Stój!—

— Ach! Jezus Marya, Józef! — krzyknęły kobiety, gdy Porucznik jak z pistoleletu to słowo wypalił.—

— Stójcie! powtórzył ten Herod. Stójcie! Na co tak spieszno panie Komendancie regimentu Działyńskiego? Tym mnie, przyznam się do żywego dojadł:— Wypijcie kawę, nie zdrowo na czczo wyjeżdżać, i

ruszajcie potem z Panem Bogiem (*). Ja tu pomyśle, abym pustelniczego życia nie pędził. Nie będzie córki, będzie żona, i nadzieja w Bogu będą dziatki, którym dom rodzicielski jak tobie Ewusiu swędzić nie będzie. Z Panem Bogiem zatem, z Panem Bogiem!— Xiądz czeka w kaplicy po drodze, wiem o tem dobrze.—Ależ trzymaj się dobrze panie zięciu; ostrzegałem waści i teraz ostrzegam. Pilnuj żoneczki, jak lisa na przesmyku; bo *sblito morc*, złodzieja, lepszy złodziej okrada*, a jeszcze oficera z regimentu Działyńskiego. Cha! cha! cha! Bywajcie zdrowi!

—Mało mnie djabli ze złości nie wzięli; staliśmy wszyscy jak powarzeni. Pierwsza Ewusia odezwała się:—Czegóż czekamy? Czy kawy, na którą nas zaprasza? Jedźmy! to i pojechaliśmy. Mimojazdem w kaplicy wzięliśmy szlub, i oparliśmy się aż na Ukrainie, bo tam stała moja Pińska brygada. A tulo jak powiedział, tak i zrobił: ożenił się i ma dzieci jak bobu; bo i dotąd z łaski Boga żyje. Ale co gorsza, że i moje *futurum* wyprorokował. Ewusia kochana wypróbowała peregrynacyi *insperate* rozpoczynanych, w rok potem wymknęła się i ode mnie z młodym doktorem, który jej wmówił i nauczył jakiejś nowomodnej choroby, nazywającej się *Spazmy* (**). Chwała Bogu, że ona u nas szlachty nie grassuje, bo powiadają, że nasze wielkie panie, już na nie chorować zaczynają.

— Jakaż to choroba? widać kobieca — zapytała Podezaszyna.

— Oj Mościa Dobrodziko, to szatan wstępuje w kobietę.

— W Imie Ojca i Syna! To nie choroba, to dopuszczenie Boże, to opętanie; a wszakże ja sama wi-

(*) Prawdziwe.

(**) Właśnie czas téj powieści, przyda na period spazmowania kobiet w Polsce, była to modna choroba.

działam, nie tylko baby, ale dziadów nawiedzonych.

— Chciałem powiedzieć sensem pana Skarbnika, *jakoby* wstępuje szatan w kobietę. Najprzód tedy 'zacyna ona złować, najmniej przez trzy dni i trzy noce; potem poziewać, potem śmiać się i płakać razem, a potem Boże odpuść, jak nawiedzona, różne dokazywać łamańce: kurczy się, wyciąga się, przewraca oczy...

•— Jakież na to lekarstwo?—przerwała niecierpliwie Podezaszyna.

— Lekarstwo! lekarstwo! ja próbowałem jednego.

— Jakiegoż?

— Przypomniawszy, że nawiedzonych, leczą paskiem Św. Antoniego, odpiąłem paski od mojej karabeli i chorej Ewusi... tu pokazał wyrazisty gest.

— *Inter nos loquendo, medicamentum grave!*—, rzekł Skarbnik kręcąc głową.

— I pomogło Mości Dobrodzieje; serdecznie pomogło! jak ręką ujął. Tylko, że moja pacjentka nieupodobawszy widać takiej medycyny, wołała kurację swego pana doktora, i dla tego z nim uciekła, wybrawszy sposobną porę. mojej nieobecności przy komendzie. Wyrekuperowałem ją ją wprawdzie; a pan doktor musiał potem długo sam się leczyć, nim się wylizał z mojej od spazmów kuracyi, do której zamiast pasków od karabeli, użyłem boćkowskiego arkanum...

— *Medicamentum graińssime!*—rzekł znowu uśmiechając się Skarbnik, i za nim wszyscy. — Lecz już odtąd, mówił dalej Stelnicki, Bóg nam w pożyciu nie szczęścił, i wkrótce na wieki nas rozdzielił. Umarła: tylko nie ze spazmów, ale z gorączki, grasującej tam natenczas śmiertelnie. Wieczny jej pokój mospanie!—

Zamilkł Porucznik, pokiwał głową, i zarwał opowiadanie, bo wrzekorno ani siebie, ani słuchaczów, rozczulać nie chciał.

Tymczasem znicz chłół zupełnie; płomień zatem na kominie, nowemi zażywiono drewkami, a cała kompania na stołkach i zedelkach, obok siebie przed ogniem osiadając, uformowała półkole, a raczej obraz na tle cieumem izby, małym tylko jednej świeczki płomykiem wątpliwie z tyłu rozwidnionej, a z przodu jaskrawem od komina oblanej światłem. Na niem to grono różnaitością twarzy, wieku i wyrazu wybitne, interesowne dla malarza dałoby wzory.

Mnich surowego oblicza, z czerwonym krzyżem na białym habicie, zajmował środek obrazu. Obok matrona, jakby z wiejskich malowideł *Teniera* zdjęta; w strojnym bławatnym kapturku, i bławatnym półsalopkiem okryta; z licem łagodnej, prosto-dusznej a poczciwej niewiasty, takiej właśnie jakimi babki i prababki nasze bywały. Z drugiej strony czerstwy, ze łbem wygolonym weteran, zawieszistego pokręcał wąsa, i żywe jeszcze oko, zwracał na opowiadacza, którego rycerska postawa znana już nam, a rzeźwa i dziarska, rozweselała posępny układ ogółu, upięknionego jeszcze dwiema ładnemi młodemi twarzami, wyglądadającemi z cienia z za starszych.... Wnet jednak poważne te rozplomieniły się oblicza, gdy Helusia z wdzięcznym uśmiechem, podniosła każdemu tackę z pełnemi lumpeczkami.

— Lipczyk moje Dobrodzieje, dalibógże kowieński stary lipczyk! — wykrzyknął Porucznik, i smakując z roskoszą, sam jeden dalszą prowadził konwersację.

— Dla czego Imość Dobrodzika—mówił obracając się do gospodyni, tak mocno oppugnujesz zamiar Ludwisia, zaciągnięcia się pod chorągiew Marsa?

— Jakiego to Marsa? — zapytała Podezaszyna.

— Ej Mościa Dobrodziko, to był bożek pogański; ale to się rozumie przez allegoryę," a znaczy po prostu żołnierkę. Więc cóż to złego? — pytałem już i

teraz pytam? Dwadzieścia siedm lat traktowałem wojskowo,' a cóż mi złego się stało? Służyłem ojczyźnie z honorem, i jeszcze za moją szarżę kilkanaście tysięcy schwyliłem. Zwiedziłem cały nasz kraj, jak szeroki i długi; a nawet trzy razy żeniłem się, nigdy od kobietek nie doznając ressentymetu; i jak mnie widzicie panowie, bynajmniej nie postarzałem, bo trud Mościa Dobrodziko i praca, hartują człowieka.

— A wojna broń Boże? — rzekła Podezaszyna.

— Wojna! Ej gdzież tam ta wojna! Nie "słysząc dzięki Bogu o wojnie, a gdyby i zdarzyła się, to Mościa Dobrodziko, człek strzela a Pan Bóg kule nosi. Można i za piecem umrzeć bez wojny. Oddalenia zaś od krewnych i familii obawiać się nic należy: bo u nas po całym kraju zda się jedna rodzina; a gdziekolwiek godny i zacnej krwi szlachcic zajedzie, to go wszędzie *apertis manibus* przyjmą. W Koronie, czy w Litwie, na Ukrainie czy na Rusi, jak zaczną wyprowadzać antenatów; a liczyć kto z kogo rodził się, kto gdzie bywał, kto gdzie, i komu jaką *salwę* uczynił? Kto z kim do szkół chodził, albo u dworu służył, albo sejmikował, albo jaką wyprawę robił: to jak po nitce dojdzie się, że alboś w domu koiligata, albo wnuka czy prawnuka przyjaciela nadziada twego. A ztąd wraz i komitywa i przyjaźń, i człek jak u siebie, choć o sto mil od gniazda.

Imainujcie sobie Państwo moje, jedno zdarzenie. Po sukcesyą tam jakąś spadła na moją drugą żonę *de domo* Zabłockę, musiałem niegdyś pojechać w Witebskie; pierwszy raz na życiu tam zawędrowałem. Wybrałem się zwyczajnie po żołniersku, bez wielkich bagażów i ekwipażów; trójka koni, bryczka z płóciennem pudłem; wyrostek rzeźwy i trzeźwy, szabla, gwintówka, i para pistoletów. Ot i wszystko — przy

tem sakiewka z małym zapasem, bo ją sukcesyą naładować miałem, i patent oficerski za nadrą.

Mil z pięćdziesiąt i więcej tak odbywszy zbliżałem się już do celu, i zajechałem na nocleg do miasteczka, jak dziś pamiętam, *Czasznik*; gdzie i... umarłem!

— Co to się ma znaczyć? — zawołała cała kompania.—

— A cóż to tak dziwnego Ichmościom, że umarłem? zwyczajnie jak człowiek! Dziwniejsza zda mi się, że zmartwychwstałem, i że żyję zdrów i wesół, do usług Państwa Dobrodziejów, i tego mojego aniołeczka, który nam tak smacznego lipczyku dolewa,—

— Któż cię wskrzesił?—zapytał X. Ambroży.—

— Kto mię wskrzesił? Dziadulek mego pradiadulka!—

— Co tam bałamucisz, kochany Poruczniku?—odezwał się Podczaszy; opowiedz nam wolej całą historię porządnie.—

— A jakże Ichmość chcecie? Czy od końca Idąc do początku? Czy od początku do końca? to jest: czy od śmierci do zmartwychwstania, czy od rezurekcyi cofając się do śmierci?

— Idź jaką chcesz drogą, byle *zrozumiełtnie*— odpowiedział Podczaszy.—

— IS^To, a na czemże stanąłem?—

— Stanąłeś na noclegu w Czasznikacb.—

— A tak; jak na nieszczęście trafiłem tam na *Szabas*, i zjadłem całego szczupaka, którego bogaty żydzisko w karczmie, dla siebie i swoich gości przygotował. Odpędziłem i gości i gospodarza od misy; uciekli krzycząc: — *A Kanfederat! A Eanfederat!* — A ja nad nią zasiadłem i zrepetowałem całą. iNioszczędzałem wprawdzie i flaszki, z wyborną szabasową wódeczką, której także Izraelici odrzekli się; ale musieli niedowiarki urzec mnie, bo nieustannie szeptali coś poglądając z daleka. To też w nocy, zaraz, rozchorowałem się okrutnie i wkrótce umarłem zapewne, bo nie wiem co się ze mną stało....—

— Zapewne wpadłeś w malignę, i straciłeś przytomność—rzekł znowu Podczaszy.—

— [Sie przeczę — pewnie jednak, że nie byłem na tym świecie— A gdy zmartwychwstałem i otworzyłem oczy, to znowu rozumiałem żem w raju. Oto i macie krótki rozdział historii mojej aż do rezurekcji.—

Obaczyłem się więc w komnacie bardzo pięknej, na miękkich pierzynach, i otoczony kilką osobami, na których twarzach jakąś życzliwość ku mnie od razu poznałem.

— Bądź dobrej myśli panie Poruczniku — rzekł jeden z nich — choroba się przesiliła, będziesz zdrów, i bądź spokojny o siebie, bo jesteś w domu przyjaciela.—

— Niechże wiem — rzekłem, komu życie wynienem?—

— Bogu najpierwej — odpowiedział tenże sam jegomość, i Jemu składaj dzięki; a gdy się obmożesz, dowiesz się reszty. Teraz; słuchaj pilnie tego pana, jest to doktor który cię ratował i nieutrudzaj niczem myśli, ani głowy.—

Jakoż doktor ten dawał mi rozmaite kordyały, skutkiem których i za pomocą Bożą, we dni kilka mogłem już siedzieć na łóżku, i codzień mi sił przybywało.

Natenczas wszedł do mnie—Pan Józef Szczyt, w jego to bowiem domu w się znajdowałem; człek jeszcze młody, ale Pan zacny *dere, et nomine*. Z wielką xięgą w ręku, i nie dozwalając mi fadygi na podziękowanie mu, albowiem warto mi było za jego dobrodziejstwa i do nóg mu się rzucić, zapytał mię, jakich jestem Stelnickich? i'jakiego herbu?

— Ród nasz — rzekłem z Korony, z województwa Sandomirskiego, herbu Róża. Ojciec, mój przeniósł się do Litwy, ale mamy tam jeszcze familię. —

— Tak właśnie, tak. Chwała Bogu! »*Ex palatina-tu Sandmiriensi, Stemmatis Rosae*« powtarzał

pan Szczyt rozpatrując się w xiędze, i zapytał jeszcze.—

— Czy umiesz po łacinie panie Poruczniku?—

— *Intelligo* — odpowiedziałem.—

— Więc słuchaj: »*Anno domini millesimo.i*—

— A gadaj po polsku Poruczniku dobrodzieju—
, przerwała Podezaszyna.—

— Kiedy Imość dobrodzika każe, to i owszem, bo dla mnie* wszystko jedno; ja po łacinie jak rzepę gryzę.

Uśmiechnęli się mężczyźni, że prośba Podczaszynej w samą chwilę dogodną dla chluby Porucznika przypadła.

— Czytał zatem pan Szczyt — rzekł dalej Porucznik, w tej wielkiej xiędze, sławnej pamięci przodka swego, Mikołaja Szczyta. Wojskiego Potockiego, i walecznego niegdyś obrońcy Połocka, do swych sukcesorów perorę, tak zapisaną: którą ja *praeter propter* pamiętam, i teraz przewertnąję Ichmościom po polsku:

"Ktokolwiek z następców, i choćby najodleglejszych potomków moich *Szczytów*, będziesz czytał »to moje pismo; wiedz i pamiętaj, że gdy w roku ir,63 (*), nie folgując zdrowiu memu, ani krwi »w obronie Połocka, zostałem wzięty w niewolę, i "zaprorowadzony na Moskwę do Cara Jegomości Iwana »Groźnego, gdzie przez lat dziesięć (**) zostawałem, »obok ze mną walczący namiestnik chorągwi mojej "Justyn Stelnicki, również w niewolę był wzięty, i »przez cały czasie mną tam zostając wszelkimi po- »sługami i staraniem w chorobach i niedostatkach, »nieraz mi zdrowie i życie ratował. A gdy po powrocie »z Moskwy, miał dążyć do swej rodziny w województwo Sandomierskie, zginął tu na pojedynku, "Z racyi jaką poniżej opiszę. Tak więc Bóg mi nie "dozwilił wynagrodzić mu i zawdzięczyć jako chcia-

(*) Historyczne. (**) Z podania domowego.

»łem, za jego dla ranie usługi i życzliwość. Nie za-
 »pominając zatem aż do zgonu mego, o jego duszy, i
 »na pamiątkę w miejscu, gdzie był śmiertelnie ugo-
 dzony, wymurowawszy slup (*), gdy widzę, że i
 »sam wkrótce ten świat pożegnać muszę, zapisuję
 »więc w tę księgę, w której całe życie moje, A wszel-
 akie onego ewenta wiernie opisałem, i tę okoliczność;
 ^zaklinając wnuków, i potomków moich w najdal-
 szej descendencyi, aby najprzód w ofiarach i mo-
 »dłach za moją duszę, (na co i legacyę czynię stałą),
 »nie rozłączali nigdy mego imienia od imienia *Justy-*
ma. A nadto, jeżeli zdarzy się któremu z nich spo-
 tkać się z jakimkolwiek Stelnickim z *województwa*
»Sandomierskiego rodem, *herbu Róża*; a tem bar-
 »dziej z potomkiem *Justyna*; niechże pamięta, że
 »jest w obowiązku czynić mu wszelkie pomoce i *sal-*
owy, jakichby jego stan i położenie wymagały. Owszem
 »niech mu opowie tę historję, aby dobro sobie
 ^świadczone, mógł uważać jakby successyę po swym
 »przodku *Justynie*. A każdego z moich potomków,
 »któryby w zdarzeniu nie spełnił ohotnie tej mojej
 »woli, na Sąd straszny zapozrywam.«

— Zaczne panisko! — rzekli słuchacze, zaczne pa-
 nisko!—

— Tak, dodał Skarbnik—zaczne panisko! Lecz
 nie mniemajcie Ichmość, aby to był u nas przykład
 jedyny. Ja, który z obowiązku professyi mojej, dra-
 buję często archiwa, rozmaitych i najznakomitszych
 imion w Litwie, nie rzadko spotykam się z podobne-
 mi zapisami wdzięczności, i przekazami onej na po-
 tomki, oraz z takimi zapozry na sąd straszny.—

— Bo to trybunał nad trybunały mospanie!—rzekł
 •X. Ambroży; i tak jest jak powiada brat pan Skar-
 bnik. W niejednym domu znajdziesz podobne księgi
 familijnych pamiątek. Za młodu gdym służył *patro-*
cynii, Boże mi odpuść! równie jak dziś on, naczy-

{*} Który i teraz się znajduje.

talem się takowych foliałów, i nie raz w nich widziałem oczewiste dowody poczciwości przodków naszych. A w każdym prawie testamencie, przeczytasz, to sumienne restytucye, to szczere wyznania prawdy, aż do ostatniej chwili życia tajonej, to przejednania pokorne a chrześcijańskie, które nie jedną krzywdę wynagrodziły, nie jednej kłótni położyły koniec, i nie jedną zasługę, jak twego przodka, poruczniku dobrodzieju wynagrodziły. Oj! bo poczciwi byli przodkowie nasi! Daj Boże i nam być takimi.

Po tej dygressyi pana Skarbnika i xiędza Ambrozo: Porucznik kończył opowiadanie.

W domu jeszcze od rodziców słyszałem ja, co właśnie i panu Szczytowi powiedziałem, że jeden z naszych antenatów, poszedł kiedyś na wojnę moskiewską, i z niej nie wrócił.

— Otoż jesteś tuż przy jego grobie— odpowiedział mi pan Szczyt, i gdy ©zdrowiejesz, pomodlim się razem za jego duszę. Co do ciebie panie Poruczniku, przejeżdżając przez *Czaśniki*, znalazłem cię w malignie w karczmie, i dowiedziawszy się o nazwisku, poczułem, że Bóg mi nastrocza zręczność wypłacenia potomkowi długo naddziada mego, i wypełnienia woli jego, którą *sacro sancte* szanujemy. — Przywiozłem więc cię tutaj do mojego domu, który odtąd za własny uważaj, i rozkazuj mi służyć sobie w czem zażadasz.

— Zadne panisko!—powtórzyli słuchacze dla prawnuka, co pierwej rzekli dla naddziada. Zadne panisko!

— A widzisz Imość Dobrodzika — mówił Porucznik obracając się do Podczaszynej; że gdyby mój antenata nie traktował wojskowo, i nie peregrynował po świecie, ja umarłbym u żyda za piecem. A gdybym ja w jego tropy nie poszedł, nie poznałbym pana Józefa Szczyta, który mię i z grobu dźwignął, i nie jedną potem wyświadczył łaskę. Konkluduję więc, że stan wojskowy, młodemu, * jak nie może

być lepiej, przypada, i że Ludwiś na szerokim świecie, nie długoby tęsknił po Elżuni.—

Wśród tej długiej legendy pana Porucznika, raz i drugi napełniały się lampeczki; zajęci słuchaniem, jakby nie postrzegali rączki Helusi, kilkakrotnie przed każdym nachylającej gąsiorka.... Gdy z daleka słyszeć się dały na ulicy, jakieś huczne głosy.

— Co to takiego?—zapytano się wzajemnie —

— Chwilę posłuchawszy, zerwał się Porucznik i wykrzyknął: — Jak mi Bóg miły, to śpiewaki gdzieś tu blisko pod jakąś kamienicą. Brawo! Niechże nam pomogą weselić się przy lipczyku; i wyleciał za drzwi, nie uważając na mrukliwe protestacye X. Ambrożego.—

Po chwili usłyszano gromadę na dziedzińcu, i głos Porucznika: — No Wiara! Bo katże was wie po pociemku, kto wy jesteście? Cokolwiek wesołego i żołnierskiego, obaczycie, że i we dworach także same talary, jak i po kamienicach. Potem uradowany wpadł do kompanii; a pod oknem dziesięcią przynajmniej głosami, zgodnie dobranemi, notą skocznego marsza zabrzmiała piosenka.

*

„Mości Xiąże, co to masz za huzary (*)
 „Ze swe życie hazardują broniąc wiary?
 „Marsz huzary! brońcie wiary!
 „Marsz, marsz, pod *Rzeszowo* na Tatary.

*

(*) Jaka to rozprawa pod *Rzeszowem* dała powód do tój piosenki, nie mam podania. W młodości mojej jednak, słyszałem śpiewaną od tych, którzy się jej od wieczornych miejskich śpiewaków kiedyś nauczyli.

„Kiedy szli huzary z pod *Rzeszowa*
 „Spotkała ich zdrada Murzynowa,
 „Zdrajca Murzyn! Judaszów syn!
 „Juz był na śmierć osądzony jako poganin.

*

„I jui go prowadzą na szubienicę,
 „Wtśm zdrajca na głowę kładnie szlafmycę:
 „I znikł psubrat chybił go kat!
 „A wziął go czart—jako był wart!—

— Ależ dyszkant! Ależ dyszkant! — powtarzał Porucznik, amator jak widać śpiewu, i wesoły towarzyszył nic jednego choru.—

Pan Ludwik uśmiechnął się, bo poznał, że to jego kolega pan Rafał, na te aplauzy zasługuje.

— No chłopcy! jeszcze cokolwiek takiegoż — zawołał znowu Porucznik oddzierając przymarzłe okno, od którego pani Podezaszyna bojąc się reumatyzmu, odstąpiła nagle.

Więc nowa pieśń zabrzmiała.

*

„Powstań Czarnecki! przetrzyj swe powieki!
 Bo gdy nie powstaniesz
 Bo gdy nie powstaniesz
 Zaginiem na wieki!

*

„Tuz, tuż, nad nami los pełen ohydy!
 „Na nasze Tatry.
 „Bieży Lew z wiatry,
 „Z za szumnój Bałtydy!

*

„Powstań Czarnecki i dobywaj szabli
 „A wnet minie bieda
 „Heretyka Szweda
 „Wezmą wszyscy djabli! (*)

— Fe! fe! fu! — krzyknął X. Ambroży zrywając się od stolika; lipczykiem bodaj do surowszej gorliwości pobudzony — fe! filmie wiecznego nieprzyjaciela naszego! *ScanchEpn!* I podskoczywszy do okienka, słuchajcie wy urwisze! — rzekł groźnie; kiedy macie beczeć, to już lepiejby było, gdybyście cokolwiek ku zbawieniu naszemu zaśpiewali, niżeli wspominać szatana, który was ku swawoli, i takiej nocnej włóczędze kusi; a nie, to idźcie do stu djabłów.... Aj! fe! fe! fe! cóżem powiedział? — wrzasnął uderzając się po gębie xiądz, i wśród powszechnego śmiechu, usiadł skonfundowany przed kominem.—

Tymczasem na tę apostrofę, rumor jakby narada, wszczęła się między śpiewakami i wkrótce usłyszano:

*
 „Któż to zważy, kto zmiarkuje?
 „Chydrość ludzką spenetruje?
 „Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
 „Oj biedaż niedola!

*
 „Być poczciwym—to obiuda?
 „Być wesołym—to prokuda. (**)
 „Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
 „Oj biedaż niedola!

(*) Pieśń ta jest oczywiście z czasów plądrowania po tym kraju Karola XII. który zamiast Czarneckiego, znalazł pod Połtawą mściciela swoich tu zbytków. Do mojej pamięci równażę jako i pićrwszą doszła drogą.

(**) Prokuda—pokusa.

„Być rozumnym i to szkodzi
 „A któż tam światu dogodzi?
 „Oj biedaz to, to. Oj biedaz to, to.
 „Oj bicdaż niedola!

*

„W Tobie Panie ufność moja
 „Niech się dzieje wola Twoja!
 „Nadziejaż to, to. Nadziejaż to, to.
 „Nadzieja Bóg moja!" (*)

— O to co Innego — rzekł X. Ambroży, gdy śpiew ucichł, i dobył z pod szkaplerza woreczek, z którego wyjmował rozmałą monetę, pilnie każdą oglądając przy świecy, i nazad do woreczka chował... A tymczasem Porucznik dobył z kieszeni długi ze złota i jedwabiu utkany, złotemi także obrączkami przedzielony *Tuitam* (**), i przez pomyłkę niby z jednego końca, z półtory kopy pięknych wysypawszy czerwieńców, na których czole wykocił się sporysz, odsypał je nazad; a potem z drugiego, z mnóstwa monety, wybrałszy holenderskiego talara, uwinął go w szpargał papieru, zapalił i rzucił przez okno śpiewakom, dodając uprzejmie: — Dobranoc Mości panowie! Więc X. Ambroży obaczywszy hojność Porucznika, wszystko przebrakowaną swoją monetę wsypał do woreczka, i utopił za szkaplerzem. — »*Gratias agamus, Vestrae dominationi!*« (***) — odezwał się głos basowy[^] zapewne promotora choru, pana organisty dominikańskiego, i tenże zaintonował na podziękowanie jakby za talara, modną naticzas i nową, a powszechnie aż do bliższych nam czasów ulubioną piosnkę, Studenta z Krakowiaków:

(*) Mogę najsumienniejsz oświadczyć, że wszystkie te trzy piosenki, są z kantyczek dawnych śpiewaków wileńskich.

(**) Tak zwano kieskę, długą, w którój obu końcach sypana pieniądze, rozdzielając iloto od srobra.

(***; Dziękujemy waszćj wielmożności.

„Świat srogi! Świat przewrotny!
 Wszystko na opak idzie!
 Kto nie wart, pan stokrotny,
 A człek poczciwy w biedzie!

Lecz rozum górę bierze,
 Tym sobie iycie słodzę,
 I ja porosnę w pierze,
 Choć dziś bez butów chodzę." etc.

Przepisywać całej nie będziemy, bo zapewne większa część czytelników naszych, nie raz ją, i z większem może upodobaniem, niżeli włoskich krzyków, słuchała.—

— Nie prostej kondycyi ludzie — rzekł pan Podczaszy — umieją po łacinie.—

— At, jakiś urwisz uciekłszy z *imfimy*, zapisał się do cechu miastowych włóczęgów, i kilką słowami od *notalingwy* (*) w głowie pozostałemi, przechwala się—rzekł X. Ambroży.—

— Nie zawsze tak jest, xiężę bracie dobrodzieju— odpowiedział Podczaszy; znam dziś kilku zacnych obywateli, zuakomitej nawet substancyi, którzy z chudopachołskiej grządki, dostawszy się do Wilna, ledwo w paupery Jezuickie wcisnąć się mogli. Ci dostając eodzień z ich kuchni, dwa garnuszki z porcyjką chleba, i kąt jakiś u któregokolwiek miłosiernego *Patra*, zarabiali na kapotki i bóty, śpiewając jak dzisiejsi wieczorem, pod oknami bogaczów, i święte i światowe piosenki; bez obrazy jednak Boskiej. i bez zgorszenia ludzkiego, a z pożytkiem dla siebie. We dnie zaś, uczyli się jak najpilniej, wyprzedzali paniczów i wychodzili na ludzi.—

Bo gdy tak sobie wbił który gwałtem rozum do

(*) *Notalingwa*. Znaczek studencki, który dawano takiemu, który w klasie po polsku, a nie po łacinie odezwał się.

głowy, łatwo się potem znalazła dlań na świecie droga do fortuny:

»Disce puer latine, ego te faciam Mościpanie.« () powiedział tam jakiś panisko do ubogiego studenta, i nie na jednym to się ziściło: — *Wiscebat pauper latine*, i za pomocą Boską, wyszedł potem na *Mościpana*. A któż wie? może i między dzisiejszemi śpiewakami jest który, dziś biedak,,a kiedyś Jaśnie Wielmożny!—

— Oj bywa tak, bywa—rzekł Porucznik; a na co daleko szukać? Juźcić bliżej zda się od *paupera* do *Mościpana*, jak od *Mości pana* do *Najjaśniejszego Pana*; a przecież wiedzieć Ich mość Dobrodzieje musicie ten *akumen*.

„0 co za dziwne cuda Boskiej Opatrzności (**)

„Wnuk na tronie—Ojciec w krześle — a dziad Podstarości!”

Rozmowę tę poważny obrót brać zaczynającą, przerwała wieczerza, do której mimo usilne przynuki gospodarstwa, X. Ambroży się nie dotknął.

— Posądziłem.... Posądziłem — mówił z cicha jakby sam siebie reflektując on; odsunął z niechęcią lampeczkę z lipcem i zachmurzył wieczerzę, co jednak nie ujęło apetytu, ni pragnienia panu Porucznikowi, lubo jego jowialność przygasiło.

Po wieczerzy, Ludwik wzięwszy latarkę, prowadził stryjaska do klasztoru; a Porucznik dokończywszy z Podczaszym drugiego gąsiorka, wyszedł w wybornym humorze, przyśpiewując na ulicy:

„Świat srogi! Świat przewrotny!

„Wszystko na opak idzie!

Jakoż i sam, jeżeli nie zupełnie na opak, to przynajmniej nie prostej trzymał się drogi.

(*) Ucz się chłopcze po łacinie, a ja cię zrobię Mościpanem.

(**) Wierszyk podrzucony niegdyś Stanisławowi Augustowi — który przeczytawszy powiedział: „Prawda.”

IX.

P o d r ó ż ,

Nazajutrz rano, mroziak wygładził ulice w mieście, i szlaki za miastem. Z jednej kamienicy zza Ostrej Bramy wybiegła kłusem, czwórka tęgich siwych kuców, do sari po parę zaprzężonych. Mosiężne blachy na szyjach ich błyszcząły przed słońcem i migały zajęczkiem po oczach przechodzącym; także sprzążki, cyfry i guziki, gęsto po szorach osadzone, dawały poznać, że właściciel tego zaprzęgu był znawcą i amatorem stajennego moderunku. Jakoż takim był w rzeczy samej pan Porucznik, który w sutej delii z siwych baranków, z czapką axamitną karmazynową na głowie, której wierzch zwisły na bakier srebrnym kutasem powiewał, siedział na saniach z miną tęgą, bunczuezną i poważną razem, czując wrzekomo ważność poselstwa, na które się puszczał.

Na lewym dyszlowym siedział rzeźwo, i pędził siwaki zręczny chłopak, wywijając biczem i trzaskając zeń na cztery wiatry. Miał on na sobie kurtkę zieloną, opuszystą wilczurą okładaną, a po niej przez piersi i plecy, jak wąż się przewijał sznur jedwabny, na którym u boku pocztarska wisiała trąbka; przepasany zaś był sze'rokim rzemiennym pasem, w ładunki i różne kalitki uprowadowanym. Na głowie kaszkiecik lakierowany, z kitką piór różnofarbnych, nie ogrzewał mu wprawdzie uszu, lecz go krew młoda, i konna harcówka grzały.

Gdy przejechali Ostrą Bramę, nad którą właśnie msza* ś. odprawiała się. — *Piętrzę! Stój* — zawołał Porucznik — konie się wryły — wysiadł, zmówił kilka pacierzy i ruszył dalej. Mijając Ratusz i rynek, dziś placem zwany — *Piętrzę! otrąb się* — zawołał — *Otrąb się!* Wnet chłopak zwinął bicz, wbił go, jak ułan lance w przygotowaną pętlę u strzemięcia, a chwycił trąbkę, i zabrzmiał na niej nótę pocztarską, w tonach z oktawy na oktawę przeskakujących, a jakby echem tylko powiązanych, którą odegrawszy, prześpiewał ułożone do niej słowa w re?ytatywach na strój i głos dźwięczny trąbki naprowadzanych:

„Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie
I w Mińsku,
I w Pińsku,
I w Gdańsku,
I w Brańsku!
Wszędzie nas poznali
Pieniądzy nie dali!" (*).

— Vi ha hot!

Przechodzący zatrzymywali się, patrząc z upodobaniem na tę gracką szlichtadę, a mieszkańcy na piętrach, przez szybki wytykali głowy. Piotr biczem przedłużał huczno i kończył swoją piosenkę.

Przebiegłszy tak wzdłuż całe miasto, za Zamkową bramą, zawrócił się na Antokol, i zbliżając się do *dworku* pana Podczaszego — *Piętrzę!* — zawołał znowu Porucznik — *Piętrzę!—daj dymu!*—

Piotr wyrwał z pasa, rzeczywiście tylko dla dymu i huk, prochem nabity pistolet, i palnął po nad gtowy końskie.... Oswojona ze strzałem czwórka, zestrzygła tylko uszami; przechodzący stanęli w zadziwieniu, a Porucznik pokręcił węża i poprawił cza-

{*} Zwyczajna z owych czasów pocztarska piosenka.

pkę. — Szalonego animuszu człowiek ten, mówili oni mijając go z pośpiechem.

Po krótkim pożegnaniu się z Podczaszowstwem, uściskawszy i ucałowawszy rączkę *Ilusi* na szczęśliwą drogę, Porucznik zajechał przed klasztor antokolskich XX. Trynitarzy.

X. Ambroży był w kościele, tam więc udał się Porucznik, i znalazł go przed ołtarzem ze mszą; zasiadł więc do ławki, i co pamiętał z łacińskich i polskich modlitevek, trzepał jedną po drugiej.

Ale innej gorliwości, innego zagłębienia się w duchu, i pokornego wzywania opieki Chrystusa Nazareńskiego, przed którego wizerunkiem święta dopełniała się ofiara, były modlitwy młodzieńca, klęczącego u kratak. W sercu jego, to nadzieja, to bojaźń przeważały; ale jedną i drugą zdawał on na wolę tego, który przeznaczeniem ludzką włada; błagając go tylko, by w tych przedsięwziętych zamiarach, obronił raczył od smutków i zmartwień, drogie mu wszystkie osoby, a szczególnie tę... Czytelnik zgadnie zapewne, kto był modlący się młodzieńiec, i za kogo się modlił.

Po mszy, w celi X. Prokuratora czekało podróży śniadanie; przy którym obecny Ludwik, prosił i zaklinał naprzemian, to stryja, to Porucznika, aby wyrozumiawszy najprzód wolę rodziców jego, jak najostrożniej u Starościństwa, interes ten traktowali; i aby raczej zupełnie go zaniechali, niżeliby mieli narazić się na głośną rekuzę, a tem samem i na niepowrótne zerwanie wszystkich jego nadziei, osnowywać się jedynie mogących, na pojednaniu kiedyś obu domów.

Prawdziwą także przyczyną tego czułego zaklęcia, było i to, że znając on wzajemność Elżuni dla siebie, drżał o jej spokojność i zdrowie, gdyby rzeczy ostatecznie niefortunnie wzięły obrót. Wolał zatem, i bardzo naturalnie, dalszą dla obojgu miłość i niepewność, przy której zawszeby się trzymała nadzie-

ja, jako przy wszelkich usiłowaniach ludzkich; ni-
żeli miłość i rozpacz. Posłowie uręczali zatem, że
mając niby na pierwszym celu pogodzenie procesu,
wtenczas tylko napomkną dalsze projekta, gdy z pier-
wszej traktacyi wyrozumieją, skłonności i dobrą
wolę rodziców Elżuni.

— Jednakże to sęk tylko Mości Dobrodzieju —
rzekł pomyśliwszy Porucznik, — że któż wie co lep-
sze i skuteczniejsze? I co na przodzie? to jest: czy
za zgodą w procesie, poszłoby wesele? Czy za wese-
lem poszłaby łatwo zgoda? Dwa mamy lekarstwa,
ale nie wiedzieć którego wprzód użyć?

— Subtelnie rzeczy bierzesz kochany Poruczniku—
odpowiedział xiądz, — i to mnie bardzo cieszy; bo
przekonywam się, że z równą mądrością i na miej-
scu certować będziesz. Tymczasem jedźmy, a Lud-
wisiu bądź dobrej myśli. Śmierć a żona od Boga
przeznaczona; więc pierwszej nikt nieuniknie, a dru-
gą każdemu *digitus Dei* (*) ukaże, choć się każde-
mu zdaje, że sam wybiera.

— Zostawuję sobie Mości Xiężę Prokuratorze Do-
brodzieju na sanie— rzekł Porucznik,— podanie
pod wysoką animadwersyę i teologię pańską, *dubia*
moje, co do predestynacyi stanu małżeńskiego; bo
kto miał trzy żony,...

— Ten jest predestynowanym — przerwał uśmie-
chając się xiądz, — aby na tym świecie czyścić od-
był.— Siadajmy na sanie.

Pokręcił głową Porucznik, i mówił do siebie: ha!
od razu mnie skonwinkował— ale pogadamy je-
dnak—to koncept, ale nie dowod.—Ludwik 'poże-
gnał odjeżdżających.

Ruszają: *-Piętrze!* — *otrąb się!* Piotr zatem uciął
powtórnie dętego i wokalnego kuranta, którego nie-

(*) Palec Boiy.

cierpliwie dosłuchawszy X. Ambroży, rzeki po ukończeniu.

— Wiesz co szanowny Poruczniku: ponieważ wiesz z sobą zakonnika, któremu *cum clangore* jeździć nie wolno, ani wypada, a zatem niech ten wrzask będzie już ostatnim.

— A ponieważ mój dobrodzieju—odrzekł Porucznik, wiezie cię na swoim wozie żołnierz, któremu *clangor et rumor*, jest zawsze przyzwoitym i właściwym, więcbyś powinien uledz. Wszelako respektując wolę twoją, tylko we wrotach trąbić każę, i już od tego nie odstępę.

Ledwo ta kombinacya na której *volens nolens* musiał X. Ambroży przestać, nastąpiła, gdy furman potrzegłszy długi ciąg fur ze zbożem naprzeciw idący, zaczął krzyczeć »z drogi!* i klaskać z bicia. Obciążone wozy nie kwapiły się do zjazdu w głębokie śniegi! zniecierpliwiony więc Porucznik krzyknął:— *Piętrzę daj dymu!* Piotr palnął!—

— Jezus Marya, Józef!—wrzasnął xiądz; zerwał się i chciał z sań wyskoczyć. Co to ma znaczyć? kryminał! Czy zwarzjowałeś?—

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się Porucznik przytrzymując xiędza.— Siedz spokojnie mój Dobrodzieju, nie ma kryminału, to tylko doświadczony sposób uprzątnienia drogi—

Jakoż przelęknione i konie i chłopy, szybko z drogi spychać się poczęli: to wywracali się, to brnęli głęboko, a *Piotr* przypuściwszy czwórkę *chylęgo*, w mgnieniu oka wyminął wszystkich.— Xiądz złorzeczył w duchu swojej podróży, i zarzekał się drugiej z podobnym towarzyszem.

— No, a teraz mój Dobrodzieju — mówił Porucznik, rozwiąż mi Jegomość moje *dubia*, względem małżeńskiej predestynacyi.—

— Ej porzućmy to kochany Poruczniku, pogadajmy raczej o interesie, dla którego jedziemy.—

— Nie, nie, mój Dobrodzieju, chwała Bogu, że dopadłem zrzeczności, pomówienia z tak mądrą, a duchowną osobą.—

— Naprzykład, gdyś Jegomość powiedział, że *Digitus Dei* wybiera nam żony; więc *dubium* piórsze, dla czego tak mało dobrych, a tak wiele złych? *Experto crede* (*) *Reverendissime!* Trzy razy że-niłem się_____Cóż na to Jegomością Teologia?—

X. Ambroży nie był głębokim teologiem; do zakonu łatwy znalazł wstęp, jako człowiek już natenczas stałego wieku, umiejący dobrze po łacinie, i mający być pożytecznym zakonowi znajomością prawa krajowego. Co więc było nieodbitem dla duchownego i zakonnika, to on rychło i łatwo pojął; ale nie wymagano odeń nauki, nad którąby lat kilka jeszcze ślęczyć musiał.

Możeby mu i łatwiej teraz było zbyć Porucznika subtelnosciami teologicznymi, któreby musiał on szanować, dla tego samego, że ichby nie rozumiał; ale nie mając w głowie tej, zarozumiałych szkolarzów w trudnych zagadnieniach, broni, musiał konwinkować adwersarza jak mógł; a zatem bardziej jak niegdyś adwokat, niżeli jak teolog argumentować. Rzekł więc surowym tonem:—A kto Waćpana przymuszał dwa razy przynajmniej, nie licząc pierwszego ożenienia, głupstwa robić i brać żonkę po żonce, jak z pilnego interesu?—

— Kto przymuszał? Kto przymuszał? — *predestynacya* mój Dobrodzieju. — *Predestynacya!* Wszystkie trzy, jedna po drugiej były dla mnie przeznaczone.—

— Oto mi pięknie Waćpan tłumaczysz przeznaczenie Boskie! Bóg dał człowiekowi rozum i wolę. Jeżeli wola idzie za rozumem a rozum ulega ś. religii, to i

(*) Wierz doświadczonemu.

w każdym przedsięwzięciu wybór będzie dobry. Ale jeżeli wola samopas brodzi.... —

— To jak błędna owieczka — przerwał Porucznik, nie powinny trafić do celu mści Dobrodzieju. A przecież ja trafiłem trzy razy, prawdę mówiąc jak kulą w płot; ale zawsze żeniłem się sakramentalnie, a zatem *predestynacja* mnie prowadziła, i samopas nie brodziłem. Lubo iu drugie *dubium* zachodzi, dla czego mnie trzy żony przeznaczono, a drugiemu żadnej? Bo dajmy to, że jak Jegomość Dobrodziej powiedziałeś, dla mnie był czyściec na tym świecie za grzechy moje; to znowu *dubium*, czy w tej pokucie przy lada jakim pożyciu małżeńskim, więcej się nie nagrzeszyło, niż odpokutowało? a w takim razie *predestynacja* i *digitus Dei*.... —

— Co Waćpan wymawiasz? Co Waćpan pleciesz? — przerwał natarczywie xiądz: bo poznawszy, że spokojnem rozbieraniem kwestyów coraz nowych Porucznika, sam się zawikła w matnię i z konfuzyą wyjdzie z dysputy, postanowił nie przekonywać lecz gromić.—

— Zły duch cię opętał! — zawołał więc, obracając się twarz w twarz do Porucznika; twoje *dubia* o woli Boskiej względem przeznaczenia ludzkiego są *blasfema*; i w wielkie *dubium* podają sprawę twego zbawienia! Kacarz jesteś! W żołnierce to zapewne i w towarzystwie niedowiarków....—

— Towarzystwo! — przerwał wzajemnie oburzony Porucznik, towarzystwo xiężę Prokuratorze, to poczciwa szlachta (*), proszę ich nie szkalować....—

— Kacarz jesteś, powtarzam — krzyczał xiądz! — Twoje *dubia* to duby smalone! jesteś heretyk! a oże i farmazon!!!—

— *Piętrzę! otrąb się*—wrzasnął wtę Porucznik nagle i niespodzianie —

(*) Szlachta prawdziwa, stuząca w kawaleryi, nazywała się *towarzystwem*

— A to co?—zapytał zdziwiony xiądz.—

— *Mitigans*, mój Dobrodzieju — *mitigans*. Koniec dysputy *Reverendissime!* bywałem na jezuickich dysputach, i tam zwykle, zapalezywość dysputatorów przygłuszają trąby.—

— *Piętrzę daj dymu!*

Rozległ się strzał aż echo poszło po lesie, przez który czwórka biegła.

— A to *Reverendissime* rycerski *applauz*, tryumfu jegomości, boś mię przekrzyczał.—

X. Ambroży nic nie odpowiedział, obwinął się w niedźwiednię i siedział nieco obrażony; co postrzegłszy Porucznik starał się go rozdobruchać, i w dobrej już komitywie do Dowiatowszczyzny przybyli.

X.

Starościństwo Kapinowieccy — Proces.

Pan Starosta Kapinowiecki nie był to pan wielki, ale też nie był i prosty sobie szlachcic. Imię jego liczyło się do znakomitszych w Litwie; takich, z którymi i wysoka arystokracja kolligacić się bez ubliżenia sobie mogła, i kolligaciła się nieraz, gdy inne względy majątku, lub osobistego znaczenia, zbliżały pół-panka do pana.

Kolligacya ta następowała zwykle przez rękę senatorskiej córki, którą oddając szlachcicowi, pewni być mogli rodzice dostatniego jej mienia w domu męzowskim, i jeszcze nadto poszanowania od męża, a preponderencyi między jego rodziną, do której mi-trę lub inny wysoki zaszczyt wniosła.

Takim sposobem i Sapieżanka została Starościna Kapinowska. I lubo wychowana w Warszawie, na wielkim świecie, szła jednak śmiało za wieśniaka w głąb Litwy, bo poznała po spokojnym, a nawet w młodości już ociężałym przyszłym swym mężu, że będzie samowładną panią domu i jego samego: i że odwiedzinom by najczęstszym Warszawy, którą serdecznie lubiła, mąż nie tylko sprzeciwić się nie będzie, ale i towarzyszyć nie zechce.

Małżeństwo to nawet nie przyszło nigdy nie tylko do skutku, ale ani do propozycji, gdyby potrzeba było młodemu podróżować do Warszawy, i tam zalotne około panienki ponosić fatygi. Lecz bliskość dóbr na Litwie jednej i drugiej rodziny, ułatwiła znajomość i swachę, zwłaszcza, że osierocony niedawno, po śmierci ojca ze Starościca Starosta, zgadzał się zupełnie z wolą swej matki pragnącej widzieć syna już trzydziestoletniego w postanowieniu. Nie ożeniłby się pewnie on sam bez jej rozkazu, lub po jej śmierci; a panna Kasztelanka zgadzała się wrzekomo z wolą, a w rzeczy samej z radami rodziców, przedstawujących swobodną i szczęśliwą jej przyszłość, za bogatym łatwego charakteru mężem. Przy pomocy zatem wspólnych przyjaciół, rychło nastąpiło wesele.

Lecz młoda Starościna nie mogła odrzec się Warszawy, ani zapomnieć świetnych balów i assambłów, młodego natenczas także dworu Stanisława Augusta, na którym urodą między najpiękniejszymi jaśniała. Tkwiały jej w pamięci słodkie zalotnego Króla słowa, któremi ją i jej podobne dziewice, a tkliwsze jeszcze i słodsze, któremi ładne mężatki osypywał; a do których, bardziej zapewne z próżności niż z zepsucia, wysoką wartość przywiązywała.—Co rok zatem prawie odwiedzała ona stolicę, i po kilka miesięcy, szczególnie zimowych, tam przebywała; podobając sobie w hołdach powszechnych, składanych jej wdziękom i życiu wytwornem, naśladowaniem prze-

pych i zbytki panów, otaczających natenczas dwór Monarchy sybaryty.

Pan Starosta zaś mieszkał w domu i przywykł łatwo do częstych odjazdów swej połowicy; przed każdą tylko podróżą, gdy przez okno patrzył* na przeprowadzane przez dziedziniec konie swoje do pojenia, wzdychał głęboko, i kręcąc głową mrucał pod nosem:— »Oj koniki moje, koniki! Oj karoszki moje, skaroszki! Oj bieda wam, bieda! Oj Warszawa, Warszawa!«

Ponieważ każdy, by najograniczeńszych żądz człowiek, musi wszelako mieć w sobie, niektóre panujące nad inne; toć i Pan Starosta lubił *konie*, *winko* i *fajkę*. Dla tego ubolewał nad końmi przed każdą podróżą, a pocieszał się butelką, fajką i nadzieją, że z oddaleniem się żony, dom zostanie cichym i spokojnym; ustaną kompanie i bankiety, któremi Imość rozweselała swój pobyt na wsi. On zaś będzie mógł obszedłszy zrana stajnie, wieczorem ciągnąć */master*, popijając węgrzyna, słuchać bajek o upiorach i strachach, rozpowiadanych i powtarzanych stokrotnie, przez dwóch starych ojcowskich hajduków obowiązanych dotrzymywać mu kompanii, aż do uśnięcia w łóżku; albo przez jakiego zwokowanego z bliskiej okolicy szlachcica, z *szecherezadowskim* talentem, za który furę zboża nazajutrz wywoził,

W takim stanie animuszu obojga małżonków łatwo zgadnąć, że rządy fortuny acz znakomitej, szły najgorzej. Pani Starościna zastawiała folwark po folwarku na koszt rezydencji w stolicy: a pan Starosta nie miewał się do niczego. Na uwagi zaś swoich hajduków, przywiązanych jak zwykle dawniej sług starych, do rodziny swych parów, odpowiadał z równem westchnieniem jak po koniach, tak i po folwarkach: — »*Stanie dość na nasz wiek*—A co panoczku zostanie dla dzieci? — pytali jeszcze poczciwie, Natenczas, patrząc na biegające około niego

dziatki, przywiązany do krwi swojej Starosta, ociera! rękawem oczy.... ale dodając sobie i sługom humoru, nie bójcie się mówił—imość z Warszawy drugie większe od Kapinowskiego przywiezie Starostwo..., A tymczasem powiedzcie mi waszeć bajkę o tych trzech braciach, co to było ich dwóch rozumnych, a trzeci dureń—albo o tym starym żołnierzu, co to z Panem Jezusem spotkał się . . . Oj! gdyby mnie Pan Jezus dał taką torbę jak jemu co to na zawołanie:—*»A do torby!**—wszystko musiało leżeć do niej i mieścić się, tobym jak on wpakował tam ze sto djabłów, i nie wypuścił dopóty, ażby mi każdy dał po tęgim koniu, i powiedział po jednej bajce.— Oho! djabli najwięcej i najlepiej wiedzieć muszą o upiorach... i śmiał się dobroduszny panisko.—

— A ja będąc Jegomościem—rzekł! któryś hajduk, i mając taką torbę, wsadziłbym do niej imość, żeby do Warszawy nie' jeździła.—

— Milcz wasze, co to do waszeci należy?—

Tak upłynęło lat kilkanaście, a trzeci miniony krzyżyk i kilkoro dziątek, zwyczajnym trybem ujęły wdzięków, a przyczyniły rozwagi Starościnnie. Miała ona nadzieję w ich edukacyi znaleźć jeszcze powód przeniesienia się zupełnego do Warszawy, ale obrachowawszy dochody, ze smutkiem dostrzegła, że pochłonięte krocie nie wrócą, a pozostałe tysiące, nie wystarczą na szerokie projekta. Natenczas nadzieje otrzymania bogatego starostwa, któremi tylko pocziwego męża ludziła, postanowiła ona rzeczywiście staraniem ziścić. Wybrała się więc znowu do stolicy, z chęcią przedsięwzięcia wszelkich środków, dla dopięcia zamiaru swego i podźwignienia upadającej fortuny.—

Związki familijne i osobista przyjaźń z wysokimi urzędnikami państwa, dobrze jej wróżyć zdawały się. Brakło jej zapewne zasług, jakie się na dworze rozwiązanego Monarchy, nie jednym bogatym starostwem opłaciły; ale takich mimo liczne pokusy, nigdy ona

na swe sumienie nie wzięła; chroniąc piękne imie rodu swego od plamy, a serce zalotne, lecz nie zepsute, od zgryzoty.

Nadszedł wszakże czas, gdy rozrzutnemu szafowaniu dóbr narodowych, nie jeden głos na sejmie, a bardziej jeszcze głos publiczny zawadzał. Pan Podkanclerzy Litewski, na którego protekcji Starościna najbardziej polegała, naglony przez nią kilkakrotnie, zapytał raz: —»Czy Pani się zdarzyło kiedy czytać ^przywileje na starostwa?«

— Nigdy — odpowiedziała z uśmiechem, oczekując z tego początku, jakiejś miłej niespodzianki.—

— Niechże Pani przeczyta — rzekł podając jej jakiś przywilej, i wskazując na wyrazy: »*Mając sobie ^zalecone przez panów rad naszych, wysokie me-y>rita w ojczyźnie urodzonego, etc.—* (*)

Starościna zrozumiała łatwo, że do poczciwego jej męża, trudno było choćby pozornie nawet, zastosować te słowa; a gdy wzajemnie wspominała przykłady obdarzanych bez zasług, lub co gorsza za niegodne *merita*, pan Podkanclerzy odpowiedział zimno i poważnie:—»To bywało, źle bywało — i nadal hyc »nie powinno.... bo taka jest wola Najjaśniejszego »Pana!«

Nie jeden z wysokich dygnitarzy, sam podobne ze Starościna mając widoki, nie kwapił się kompromitować własnych, pomagając cudzym; a tak spelzły na niczem, lub na bardzo wątplych oparły się nadziejach, wszystkie jej projekta.

Powróciła więc co domu z goryczą w sercu i z niejaką odrazą od ulubionej dotąd Warszawy, i jej wielkiego świata, który ją tak oszukał i zawiódł.

Lecz tając w sobie jak najskryciej uczucia i upokorzenie swoje, Starościna jeszcze głośniejszą chlubę ze swych wpływów w stolicy i związków rozwodziła. I

(*) Zwykły początek przywilejów.

w rzeczy samej, wpływy te, jeżeli nie były dość silne do osiągnięcia starostwa, nie zawodziły ją przecież, gdy szło o jakieś *instantiales* z góry, lub o otrzymanie czczych tytułów, których nieskąpem rozdawnictwem, jednano zwykle dworowi stronników po powiatach. Zaufana w taką przewagę swoją Starościna, broniła się najprzód dzielnie i energicznie od napastujących ją kredytorów; a z kolei idąc za radą jakiegoś "zagrzałego prawnika, obiecującego jej powrót folwarków przez procesa i preiensye do zastawników, a rozszerzenie onych przez graniczne spory, rozpoczęła ataki, w których nie raz list do urzędnika od Senatora, wojewody, lub ministra, przechylił sprawiedliwości szalę, i uczynił zadość nie tylko interesowi, ale i miłości własnej litygantki.

Dochowuje się jeszcze pamięć nie jednej takiej pani na Litwie, która w swoim czasie, mówiąc tamtoczasowym wyrazem: »*Trybunałami trzęsła*.« Synowica królewska, a żona jednego z magnatów litewskich, dawała tu przez czas niejaki, takiego możnowładztwa przykłady i wzory.

W takiej kolei Starościna rozpoczęła proces z sąsiedzkim i oddawna z sobą przyjaznym domem Dowiatów. Musimy zatem jeszcze i treść tego procesu opisać.

Jurysta Starościnej drabując dawne mantyki ich domu, i wyszukując w nich to dowodów, to powodów "co swych" prawniczych planów, wynalazł przedwieczny inwentarz, w którym między wsiami tego majątku, zapisany był i zaścianek nad Wilią położony, *Nadbrzeże* zwany, teraz do folwarku Dowiatów należuy. Majątek Starosty, później wprawdzie przez jego dziada nabyty, w opisanu przj nabyciu sporządzonym nie pokazywał i nie zawierał *Nadbrzeża*; lecz w prawie predażnem nałazły się wyrazy, z wy-

czajnej formy i rutyny takich dokumentów: z *wolnością rekuperowania awulsów*, do których pie-niacz uczepiwszy swą pretensję, zapytał Dowiatów za jakim prawem trzymają *Nadbrzeże*, awuls od majątku Starosty. Na nieszczęście, Dowiatowie któ-rych przodek pierwiej zapewne kupił zaścianek, ni-żeli dziad Starosty same *fundum*, nie znaleźli u sie-bie żadnych na to dokumentów, i okazali tylko oświadczenie po inkursyi w tym kraju nieprzyjaciel-skiej, do akt ziemskich zanesione: że Dowiatow-szczyzna uległa zupełnej konflągracie i pożodze i że dom mieszkalny, natenczas razem z całem *archiwum* spłonął. *Kwerendy* po xięgach sądowych, żadnych więcej nie przyniosły dowodów; może dla tego że w nieustannych zamieszkach krajowych, i publiczne akta równemuż w części podpadły zatraceniu: czy też, że, lubo prawa nasze dawne, każdą umowę wie-czystą, mieć chciały przyznaną, lecz zwyczaj często-kroć nieuległy prawu i na powszechnej dobrej wie-rze oparty, dozwalał zwłaszcza w opisach na rzecz mniejszego znaczenia i wartości, kontentować się tyl-ko *listem na przyznanie*, łatwo razem z samem prawem zaginąć mogącym. — Cóżkołwiek bądź jury-sta, nie widząc u Dowiatów, żadnych innych dowo-dów na dziedzictwo *Nadbrzeża* prócz oświadczenia i dawności posessyi, którą oni także za dowód wła-sności przekładali, ani na tern przestając, postanowił *rekuperować awuls* i pozwał Dowiatów o *Rehabi-cyą do Nadbrzeża* (*), i o kalkulacyę *de asse et grano* (**). Naliczając tym sposobem znakomitą sum-mę, z tyloletniego przychodu, choć kilkaset złotych tylko rocznej intraty.

Zerwata się więc dawna i wzajemna obu domów

(*) Termina prawne dawnego procesu, nie wyszły zapewne jeszcze tak dalece z powszechnej pamięci, abym je miał tłumaczyć.

grosza, i *miary*, to jest z pieniędzy i zboia.

przyjaźń, a wytoczyła się rozprawa w Ziemstwie wileńskim, nader niebezpieczna dla Dowiatów.

Obronę naturalnie wziął na siebie pan Skarbnik, a stojąc przy wyżej wspomnianem oświadczeniu i przy dawności ziemskiej; podawał jeszcze w imieniu brata, jako terażniejszego dziedzica Dowiatowszezyzuy. przysięgę sobie na tem: że zaścianek *Nadbrzeże* przez antecessorów był prawnie kupiony i że papiery udowodniające to kupno, razem z domem spłonęły. I'rosił więc Sądu, o skasowanie pretensyi Starosty i ukaranie go jeszcze powrótem expensów prawnych.

Każda tu strona brała się na sposoby forsowania interesu; całe Wiłuo z ciekawością oczekiwało wyroku. Zdawało się wszystkim i najdoświadczeńszym jurystom, że po wyroku komportacyi dokumentów (*), który już był uprzedził terażniejszą rozprawę, nastąpić koniecznie musi oczewista decyzja, rozstrzygająca ostatecznie czyjem ma być *Nadbrzeże*.

Sala środkowa ustępną zwana, między izbami sądowemi Ziemstwa i Grodu wileńskiego, w domu niedawno jeszcze zbitym za zamkową bramą, napełniona więc była od kilku godzin palestrą i ciekawemi oczekującemi na woźnieńskie: »*po namowie!* a żywo rozprawiającemi, każdy podług swego widzimi się o przyszłym wyroku.

W tym tłumie dwie szczególnie osoby zajmowały wszystkich; to jest dwaj przeciwnicy w procesie. -Mzki, opasły, i zapyrzony plenipotent Starościnej, wzbudzający samą figurą swoją ochotę do uprzykrzo-

(*) Wyrok to bywał wstępny, obowiązujący prawujące się strony do złożenia na termin naznaczony pod przysięgą u sądu, wszelkich dowodów pisma i dokumentów, dla wzajemnego objaśnienia się stronom.

nym mu żartów i sprzeczek, jak niedźwiedź na czystym polu atakowany od zjadliwej zgrai kundłów, obracał się potężnym krokiem między ogarniającą go tłuszczą, a grzmiącym słowem i groźnym dąsaniem się rozpędzał kupiącą się nieustannie na nowo.— Przeciwnie Pan Skarbnik, siedział spokojniuteńki na zedlu przy ścianie, i tylko gdy przeciwnik powtórzy! kilkakrotnie główne słowa swej sprawy: »*Awulsa rekuperować! Awulsa rekuperować!*«— rzek! ma:

— To Waćpan widzę chcesz być większym potentatem od naszych Królów: bo z nich każdy przyrzeka w paktach konwentach, że *awulsa* od kraju oderwane, *rekuperować* będzie, a przecież żaden, *inter nos locfuendo*, tego nie dokazał. Trzeci jeszcze, również spokojny i niewzruszony, siedział na stołku u drzwi sądowych, w wytartym kuntuszu ze skrzyżowaneini na grzbiecie wylotami, i z szablą u boku *woźny*, nadstawiając ucha na dzwonek prezydencki, a surowym poglądem odrażając zbliżających się doń nieuważnie...

Dwie i trzy tak upłynęło godziny; znać było, że za drzwiami sądowymi trudno idą rzeczy. I nie dziw. Sędziowie byli jak w sieci, wątpliwością obustronnych dowodów, nie mogących sumnieniu ich dać wsparcia, i silnemi wpływami obustronnych także protektorów ogmatwani. A i tam były głowy nie lada!...

Otworzyła się nakoniec izba sądowa. Tłum się wtłoczył, a regent przy kratkach, czytał już przebiegając szybko, jak pędząca taradajka prolog wyroku, to jest treść procesu i wzajemne stron dowody; na co świadomi formy pisania dekretów nie dawali baczenia; lecz gdy wyraźniej i głośniej zawołał: *sJudicium...* Słowo to oniemiało wszystkich, i natężyło słuch i uwagę każdego. — *ojudicium* czytał powolniej i dobitniej regent: »jako w sprawie kognicyjnej, nie wchodząc teraz w oczewiste onej roz-

»poznanie, akta inkwizycyi *circa jure possessio-
mis* (*), przez Dowiatów zaścianku *Nadbrzeża*,
z wolnością obu stronom wyniesienia nowych pozwów
»o takowych aktów, *ad. rem procedenti* stoso-
awnych, determinuje.))

Na taki nieoczekiwany wyrok, słuchacze chwil
kilka z zadziwieniem patrzali sobie w oczy, a potem
wychodząc z izby, wesołe rozpoczęli sprzeczki, kto
wygrał, a kto przegrał? a zatem jaki los zakładów
o "trójniak i piwo?... Nakoniec opasły plenipotent *po-
wodu* ocierając bujną rosę na licu, wykrzyknął:—
tApelluję do Trybunału!«—A Pan Skarbnik ukłonił
się skromnie sądowni i mrużąc pod nosem: **Cir-
ca jure.... circa.... inter nos loquendo circa....
circa....* poszedł prosto do klasztoru antokolskiego.

I w takiej to właśnie przerwie procesu, przed
blizko następującą kadencyą trybunału, do którego
sprawa przez apollacyę się przeniosła, wynikł ja-
kośmy to widzieli projekt, za którym jechał X. Pro-
kurator z Rotmistrzem.

W Dowiatowszczyźnie poczciwi rodzice Ludwika,
rozpłakawszy się serdecznie, wszystko na wolę Bo-
ga i xiędza brata dobrodzieja oddali: a tak wkrótce
głos trąbki Porucznika, zabrzmiał na dziedzińcu
Starosty.

(*) O prawie posessyi.

XL

S w a ć b a.

—Pokój temu domowi! — rzekł X. Ambroży, wchodząc do wielkiej środkowej sali, obszernego domu Starosty, w której przy długim stole kobiercem nakrytym, siedział sam gospodarz, w szlafroku lekkim futerkiem podszytym, w suliatkach manszestrowych na nogach, a w szlafmocy na głowie, i ciągnął długim cybuchem tytuń z wielkiej aż na ziemi opartej lulki. W kącie na wielkim kominie palił się ogień rozweselał tę ogrzaną dwóma piecami salę; a służył jakby za zabawkę siedzącemu przy nim na niskim stołku, jednemu z dwóch starych hajduków koleją luzujących się przy Staroście, z funkcją podnaszania żaru do fajki i rozrywania pana nieustanną pofałą gawędką, lub usypiania go bajkami.

Sala obita była cała z dołu do góry, staroświekiem wypłowiałem już szpalerowem z niemieckich jakichciś fabryk, obiciem, kosztownem zapewne przed laty, wyrażającym polowanie na jelenia. Myśliwi to konni, to piesi, z rusznicami lub oszczepami w rękach, w długich czerwonych frakach lub surdutach, z fryzurami czy perukami na głowach, a harcapami na plecach, poustawiani byli sztywnie po gęstym lesie okrywającym wszystkie ściany sali, oczekując na jelenia, który gnany ogarami z za kredensu rącho wysadzał. A* że hajduki Starosty z Augustowskich czasów sami, saskiej też mody nigdy nieznoszoną nosili barwę; więc jednego siedzącego przed

kominem, wysokiego, chudego, także w długim niemieckiego kroju, a papuziego koloru z wytartym na kołnierzu galonem, surducie, na wielkie, jak holenderskie talary, guziki zapiętym; można było wziąć wśród tych fantastycznych figur za myśliwego, zesłego z obicia i odpoczywającego przy ogniu.

Starosta powitał uprzejmie gości. O procesie z Dowiatami wiedział on jakby nawiasem i często tęsknił do towarzystwa najbliższego sąsiada, którego lubił. Hajduki nawet jego, pamiętni dawniej obu domów przyjaźni i nie raz uraczeni w Dowiatowszczyźnie, nie cierpieli prawnika, który tę przyjaźń rozerwał. To ten poganin, mówili pomieszał wszystko! Za toż mu bawiącemu po kilka tygodni w domu Starosty po swojemu dokuczali: to omijając niby przez omyłkę z półmiskami, to stawiając mu w kwaterze zamiast piwa, dzban lury z drożdżami. A to wszystko uchodziło bezkarnie, bo Starosta niecierpiący także prawnika, skargi jego żartami zbywał.

— Niedomagam xiężę Prokuratorze dobrodzieju— rzekł on, niedomagam, ale dodajecie mi zdrowia przybyciem waszem. I ty kochany Poruczniku wielce łaskaw jesteś na starego przyjaciela. Brałem wczora dryakiew wenecką, onegdaj kupiłem jej cały słoik od węgrzynów. Ale prawdziwa: *z pod złotej bani, od Xięży Jezuitów*« jak oni mówili, choć nie mogli zainformować gdzie to ta złota bania? Mam nadzieję, że tym sposobem attacki mojej pedogry do majowej kuracyi zahamuję. Upewniał mię o tem i stary węgrzyn, zna się on, nie ma co mówić na medykamentach; ale łgarz wierutny we wszelkich innych materyach. Naprzykład: czy uwierzycie Wasaństwo? Śmiał mnie dowodzić i zaklinał się jak szalony, że w Ołomuńcu wszystkie dachy z poliwaney dachówki, jak u nas kafle na piecach? Nie prawdaż Łukasz?—

— łrawda — ale Jegomość zagadawszy się zapomniał, że konie gości przed gankiem — rzekł haj-

duk powitawszy uprzejmym ukłonem przybyłych i jakby przeprasząc za nieuwagę swego Pana.

—'Dobrześ powiedział—zawołał Starosta, każ Poruczniku odejść swoim siwcom, boś zapewne nie-mi przyjechał; tęgie kuce, a po trąbce miarkuję, że ekwipaż musi być twój a nie klasztorny; każ im óac owsa Łukaszu.—

— I warte tego Starosto dobrodzieju — odezwał się Porucznik, bo na* dziś z Wilna do domu pańskiego przywiozły; a jednakże gdzież oni przyszli do moich porceleno-strokatych, których Starosto gdybyś widział...—

— Znajdujemyż J W. Starościnę dobrodzikę?—przerwał xiądz, lękając się aby stajenna dla obu upodobana rozmowa, na długo nie zaszła.

— Jest moja żona, jest/ tam w pokojach.—

— Pozwoli tedy Starosta dobrodziej, że pójdę złożyć moje uszanowanie.—

Odszedł X. Prokurator, rzucając wyraziste spojrzenie na Porucznika, jakby hasto do dzieła, do którego i sam natęzał wszystkie myśli i zbierał w głowie przyzwoite i stosowne wyrazy. Hasło to, przypomniało wprawdzie cel podróży Porucznikowi, lecz sposób zaczęcia rzeczy, zależał od zręczności, której albo oczekiwać, albo oną rozumnie wywołać trzeba było.

Nie także to od razu — pomyślał on sobie, usiadając przy stole naprzeciw Starosty. — A my nie mogąc razem, musimy po kolei opowiadać dzieje tej podwójnej konferencji.

No, mój kochany Poruczniku — rzekł Starosta, tyś bywalec po świecie, i wieleś dziwów widywał; powiedz mi czy to być może, co ten węgryz* prawił, że w Ołomuńcu wszystkie dachy, biało polewane. U nas piec jeden kilkadziesiąt talarów kosztuje.

a wieleżby to kosztował dach? To już domy muszą być ze srebra i złota, jak w pałacu tej zaklętej xiężniczki, o której Łukasz umie bardzo ciekawą bajkę. Kiedy chcesz Poruczniku to on nam ją powie.

— Nie, nie, nie tego ja chcę Starosto dobrodzieju, przejechawszy się po mrozie, lubośmy się chwil kilka ogrzewali w Dowlatowszczyźnie, ale jednak nie zaszkodziłaby korroboracya niejaka żołądka.

— Rozumiem — rzekł Starosta — i lubo sam po dryakwi weneckiej nie mogę ci pomódz, bo i *Pedironlanus* (*) w rozdziale *opurgansach* powiada...—

— Niech go wszyscy djabli wezmą przerwał Porucznik—ja Pana upewniam, ja! że ogrzanie żołądka, ani przed *dryakwią*, ani po *dryakwi* szkodzić nie może; tylko trzeba wiedzieć jak i czern? Ja sam przyprawię truneczek, którego wazeczkę gdy wypijem, obaczysz Starosto, że odmłodniejesz, pedogra cię nie zaczepi, a swego *pedymontana*, łgarza gorszego od węgrzynów spalisz. — Każ tylko Pan przynieść czego mi potrzeba.

— A jeżeli tak zaręczasz Poruczniku, że mi twój trunek pójdzie na zdrowie, bo i *Pedymontanus* zaleca ogrzewać żołądek, to mów o co idzie.—

— A zatem Łukaszu przynieś mi głowę cukru.—

Łukasz i Starosta spojrzeli z zadziwieniem.

— Nie bójcie się, całej nie użyjem; powiedz kluźnicy, że tylko mój sposób przyprawy wymaga, aby głowa cukru była całą, a kawałki nie przydadzą się. *Item* cytryn dwie, choć to zima, ale zapas być musi. *Item* muszkatową gałkę, *Item* goździków dzieścięć. *Item* butelkę syropu i butelkę wina starego, jakiegokolwiek gatunku, można i węgrzyna; a wody tu na kominie przygrzejesz. Miarkuję *quantitatem*

(*) Xiążka lekarska doktora *Pedimoyitana*, drukowana w roku 1754 w Supraślu, długo była domową. Zawiera ona nie tylko przepisy lekarstw szczególniejsze, ale i rozmaite sekreta.

na trzy osoby, bo i xiądz Prokurator szklaneczki nie odmówi jak mi się zdaje, a jednakże okroić się może i dla starego sługi.... rozumiesz?.. Do tego waza, łyżka wazowa, noż wielki i szklanki.—

Ostatnią obietnicą skorumpowany Łukasz, poszedł ochotnie po te ingrediencye, a przybrawszy swego kolegę Mateusza, podobniuteńkiego jemu w figurze i stroju, wkrótce wszystko akuratnie dostawił.

— Ten trunek jak uważam — rzekł Starosta, będzie *pącz!*—

— He! *pącz* — co innego mój dobrodzieju! Syrop, woda, i cukier, zmięszaj — masz *pącz*, to nie sztuka! A po pierwszej szklaneczce mojego trunku, obaczysz Starosto, jakie ciepło i maceracya nastąpi w żołądku i w całym korpusie.—

Gdy wszystko stanęło na stole, Porucznik musnął się po czuprynie i pokręcił wazą; to zwyczajny wstęp jego do ważnego dzieła. Rozwinął potem głowę cukru, rozkroił cytryny, i zaczął niemi nacierać cukier krusząc nożem, przesiękły sokiem do wazy.

— Tego kordyału, kochany Starosto — mówił Porucznik nieprzestając roboty, nauczył mnie kozak.—

— Tak to kozak?—

— A tak. W czasie konsystencyi naszej pińskiej brygady na Ukrainie, codziennie prawie zdarzało zjeżdżać się z partyami kozackimi, strzegącemi granicy z tamtej strony; więc bywało jedziemy z sobą z daleka, przywitamy się grzecznie, i tak dalej; a przeciągnąwszy każdy po swojej ziemi jak zórawie, zawracamy się do siebie. Czasami damy sobie wzajemny parol, zjeżdżamy się, handlujemy konie, pijemy borysza, i jak się zdarzy w dobrej komitywie.

Otoż raz w późnej jesieni, spadł pierwszy śnieżek, i wyborna nadarzyła się poroszą. Wyjeżdżam tedy z półtora smyczeni strzemienoych chartów, i z kilku pocztowemi na lisy; a miałem deresza,, z którego bywało wilków harapuję....

— Wilków harapowałeś! A niechże cię kochany Poruczniku! — przerwał Starosta miłośnik koni, lubo żadnego na życiu nie dosiadł. Gdzież go podziałeś? —

— A wilcy go też i zjedii. — Ale to druga materia. — Czwałujem więc po polach tropiąc na upatrzonego, i podblizamy się do granicy.... Patrząc aż z tamtej strony jedzie na czarnej szkapie z chartami. i kilkunastu swojemi, Attaman jakiś, upatrując także zwierza— Ciągniemy więc obok, patrząc na siebie z ukosa.... on mnie z daleka nahajem kiwa.... a ja jemu figą trzęsę: »*Nie ważmiesz Lachu kota! unie ważmiesz!*« A ja jemu: *Hola! hola! Szeszku leganiego pola!* I palim obadwa z harapów—Wtem wymknął lis— i śmiga kitą po samej granicy, jakby demarkaeyę prowadził. Weźha! z obu stron.... charty się złączyły i kupą za nim. My za niemi Pannie! Deresz mój utulił uszy, rozciągnął się jak sarna, i puścił się jak wichur w zawiei, aż mi w uszach zaszumiało. Przytuliłem się mu do szyi, i myślę: diabła zjesz Attamanie, nim ty doskoczysz na swojej szkapie, lis będzie mój. Ale ta chuda szkapa jego, to był szatan Mosanie, nie koń. Spojrzę, aż on leci obok, jak żmija: ogon odsądził na wiatr, uszy naprzód jak dwie strzały, pianą jak śniegiem sieje, a grzywą śnieg po ziemi zamiata. Kozak na nim schylony do lęku, już mnie przesadza! Dereszku moje serce! — krzyknąłem ściskając go kolanami, trzymaj się! bo padniem na honorze — lecim ...

Starosta zajęty tem opowiadaniem, wstał z krzesła, i opierając się na poręczy patrzył niecierpliwie i z niewymownym interesem na Porucznika. Za nim dwaj starzy hajducy, wyciągnęli szyje, i wytrzeszczyli oczy; również jak ich Pan ciekawi, i również na powieści łakomi.

— Tuż, tuż, charty za zwierzem — lis het w bok, na jego stronę — a mój *Doskocz* łap go za kark, i trzęsiej jak kusznierz irchą —

— A harap! krzyczę—mój sobaka, mój lis!

— A harap! krzyczy kozak — moja ziemia, mój lis!

Osadziliśmy konie, ale ja za granicą, a Oll lisa już trzyma. Wnet jednak obracając się do mnie, — panie Poruczniku — rzekł — na *parol!*

— Zgoda *na parol*, i podaliśmy sobie ręce przez granicę. Pojechałem więc na pogrzebne do kwatery poczciwego Attamana; gdzie przez trzy dni handlując to psy, to konie, zapijaliśmy ten wyborny *krem-pulsus*, jak z niejednokrotnego potem doświadczenia poznałem *excitans confortans*, a razem po kilku zwłaszcza szklankach i *mitygans*.— Dolej teraz waru Łukaszu i wsep stłuczone aromata, to jest: godździki i muszkatową gałkę —

— No kochany Starosto, raczże spełnić z przyjacielem szklaneczkę. Skosztujcie i wy stare grzyby— rzekł podawszy szklanę Staroście, a czerpiąc hajdukom po łyżce wazowej.

— A co?

Hajduki pokręcili głowami smakując, i uniżenie ucisnęli kolana Porucznika.

Starosta pociągnawszy raz zakrztusił się; otarłszy potem jagody, wasy i łzawe oczy, pociągnął drugi raz i rzekł z przyciskiem: — A żeby nie zaszkodziło!...

Wtem zajaśniała radością twarz Porucznika, uderzył się po czole i pokręcił węża, bo wpadł na myśl, która go od razu, i bardzo naturalnie do przedmiotu poselstwa zbliżała. Czerpiąc więc i dla siebie kufel, a wychyliwszy go duszkiem:—Oj Starosto dobrodzieju!—rzekł i zatrzymał się, bo przypomniał instrukcyę Prokuratora, aby ostrożnie postępował w trakcyi. — Oj kochany Starosto! — powtórzył więc raz jeszcze, podając mu znowu szklanę, i sobie drugą dostając z wazy. — Dajże Boże, abyśmy co najprę-

dzej łyknęli gorąco a serdecznie na weselu Starościaneczki godnej córki pańskiej, a tak pięknej i milej, że dalibógże!.. .

Przejdźmy teraz do pokojów Starościnej, gdzie traktacye poważniejszym i delikatniejszym szły trybem.

Niespodziewane przybycie Prokuratora, zdziwiło wprawdzie Starościnę, ale wnet ona domyśliła się treści pićrwszego, że tak powiem rozdziału przyszłej z nim rozmowy; drugiego nie przeniknęła, a przynajmniej nie spodziewała się.

Po przywitaniu więc zimno, a grzecznie, usiedli oboje na kanapie w pierwszym pokoju. W drugim pod oknem Elżunia szyła w krosienkach; skromnym dygiem i rumieńcem odpowiedziawszy na pozdrowienie xiędza, wyszła.

— Rada jestem bardzo witając xiędza Prokuratora w naszym domu — rzekła Starościna: — zapewne odwiedziny braterstwa jego w Dowiatowszczyźnie i nam zdarzają ten honor.

— Tak jest mościa dobrodziko, zajeżdżaliśmy do Dowiatowszczyzny; aleśmy umyślnie z Wilna z panem Porucznikiem Stelnickim do JWW. Państwa wybrali się. Przybycie jednak ubogiego zakonnika nikomu honoru do domu wnieść nie może; ale wnieść może błogosławieństwo i pokój, dla którego i ja ufając w pomoc Boską, tu przybywam.

— Dziękuję bardzo za dobre intencye pańskie — odpowiedziała sucho Starościna.

X. Ambroży przykąsił sobie usta, bo musiał uczeptać się na nowo za słowa Starościnej i ciągnąć ją na swoją drogę, od której ona wyraźnie umknęła. A jednostajny sposób powtórzony, rzadko bywa zręcznym. — Intencye moje, rzekł więc są, jako i zawsze były najżyczliwsze dla domu JWW. państwa

dobrodziejów; bo i jakże inaczej byćby mogło? gdy od niepamiętnych czasów, rodziny nasze w sąsiedztwie i nieprzerwanej aż dotąd były przyjaźni. Gdy mościa dobrodziko ojcowie i dziadowie nasi, na jednym poln żyli i umierali, a nigdy między tego pola sobie nie.przeorali; więc nie możesz JW. Pani wątpić o moich *intencyach*.

— Ja też i nie wątpię— odpowiadała zawsze również sucho i jakby z dystrakcją Starościna. O czym się wątpi, za to się nie dziękuje.

— Raczze JW. Pani wierzyć, że powód przybycia tu mojego, z również życzliwych intericyi wypływa; a zatem na również łaskawą animadwersyę JW. Pani zasługuje—

— Mój mości xięże Prokuratorze— przerwała Starościna; — rozumiałam, że wizyta pańska, jest tylko w celu zrobienia nam przyjemności; gdy zaś uważam, że go powód jakiś inny, czy interjH tu sprowadza, więc w takim razie z moim mężem fiiówić jegomości dobrodziejowi należy; ja kobieta...

— A ja zakonnik mościa dobrodziko! obójgu narn zatem interesa, a tem bardziej procesa nie przystoją. Dla tego nie porzuciłbym mojej celi — mówił coraz żywiej Prokurator, powstając z kanapy, — gdyby szło o jakieś światowe okoliczności, lub broń Boże o pomoc dla mojej rodziny, w kłótniach i sądach. Ale gdy przeciwnie, idzie tu o uczynienie zgody i pokoju, to JW. pani jako kobieta, ja jako duchowny, najwłaściwiej wziąć to przedsię możemy; owszem powinniśmy; pamiętając na słowa Zbawiciela: *»Błogo sławieni pokój czyniący.«* Dla tego odsyłanie mnie do pana Starosty, rozumiem jako wyraźną niechęć pani do osiągnięcia tego błogosławieństwa.... a niechęć... daruj Jaśnie Wielmożna pani co powiem... na suranienu się zapisze...—

Tak ściśle a niespodziane natarcie, dało poznać Starościnnie, że trudna będzie rozprawa z przeciwnikiem, który dostojnością kapłańską, mógł karcić i

upokorzyć wyniosłą dumę pańską, jeżeliby się nią zasłaniać chciała, a pokruszyć mdłe i pospolite wykręty, jako i na samym wstępie, pokruszył one broń duchowną.

Wzajemnie X. Prokurator, po ciągłym rumieńcu Starościnej, postrzegł, że za gorąco wystąpił.

To uchybienie taktu xiędza, z właściwą kobietom przenikliwością pojęła wnet Starościna; więc odzyskując stłumioną rzeźwość myśli, rzekła z szydnym uśmiechem: — Prawdziwie xiężę Prokuratorze nie wiem jeszcze z pewnością, o co tu idzie; ale słowa pańskie dają mi bodaj prawo do innego ewangelicznego błogosławieństwa: »*biogostłauieni cierpliwi w duchuM*

X. Ambroży wzajemnie stłumiony, uklonił się pokornie Starościnnie, jakby na deprekacyę, a myśląc w sobie—trafiłem z kosą na kamień. — Niech wszelkie błogosławieństwa—rzekł więc,—spływają z nieba na dom IW. państwa dobrodziejów; i bodajby codziennie Bóg zdarzał JW. pani, takie sposobności jak dzisiejsza, uczynków zjednać mogących jej łaskę Boską i miłość iudzką. Przybywam tu bowiem, a raczej przybywamy, od brata mego i całej naszej rodziny, z pokorną prośbą o zgodę i kombinacyę w procesie; a przekonany jestem, i już JW. pani nie zaprzeczy temu powtórnie, że szczęśliwy skutek próśb naszych, od JW. pani zależy. Skłonił się więc do nich mościa Starościno dobrodziko i dozwol szczerzej z sobą rozmowy, która doprowadzić nas może, nie tylko do kombinacyi w procesie i do przywrócenia dawnej harmonji, ale jeszcze i do utwierdzenia jej, ścisłejszyrn_____za pomocą Bożą... węzłem —

Na te "ostatnie słowa, wymawiane tak właśnie jak je napisałem, z niejakiemi dyplomatycznemi przestankami; Starościna spojrziała przenikliwie w oczy X. Ambrożemu, —zastanowiła na nim wzrok przez czas niejaki może się mylę?— pomyślała narzeczcie. — Obaczemy dalej....

Po spójrzeniu tern Starościnej, X. Ambroży pomyśli! : Aha! zaczępiłem— Obaczemy dalej—

X. Prokurator, jak o tem wie już czytelnik, miał podwójną missyę: pierwszą otwartą, którą też otwarciem mógł opowiedzieć, drugą tajemną, o której dyplomatycznie miał wyrozumiewać. Dla tego postanowił zręcznie napomykać tylko i uderzać lekko i jakby nieumyślnie w tę delikatną strónekę, a chwycić najmniejsze jej echo. i jeżeliby nieharmonijnie i nie do zgody brzmiała, zerwać ją tak, aby urywków jej nawet, nie zostawić w ręku Starościnej.

— Zamiary pańskie — rzekła ona po niejakiem przerwie, — zapewne są dobre i szczere; mniemam także, że działasz pan dobrodziej i mówisz, wyrozumiawszy pierwej, a może i skłoniwszy brata?

— Bez wątpienia mościa dobrodziko.

— A więc zgoda bardzo łatwa: niech się zaścianek wraca do majątku, do którego jak widać kiedyś zapewne należeć musiał, a my odstępujemy dla świętego pokoju, i w dowodzie naszej... naszej... sąsiedzkiej... sąsiedzkiej... *intencyi*, kosztów prawnych, dość już znacznych...

Nie uszło uwagi xiędza, to dobieranie wyrazów Starościnej, i wybranie najobojętniejszego — to powtóre, pomyślał znowu — obaczemy dalej.

— Propozycya ta, mościa dobrodziko, jakkolwiek ciężka, zawsze mię jednak cieszy, bo jest niejakiem wstępem do traktacyi mogącej powoli doprowadzić nas do pożądanego celu. Zwycię tak bywa: *Omne principium grcwe*, to jest, każdy początek trudny. Nie wróżę wszakże mościa dobrodziko, aby propozycya ta przyjętą być mogła. Nie dla wartości zaścianku: bo chociaż intratny prawdę mówiąc i z samej *defluitacyi* nad Wilią, niemałą robi perceptę; wszakże synowiec nasz pan Ludwik, mając kiedyś Dowiatowszczyznę, folwark dostatni szlachecki, najmniej mościa dobrodziko ze sto tysięcy wartości; a jako *ultimus haeres*, to jest jedyny dziedzic po

wszystkich stryjach, upewniam JW. panię, że potroi tę wartość w gotowiznie

— Zapominasz się X. Prokuratorze — przerwała znowu Starościna,—bynajmniej nas nie interesuje sytuacja synowca pańskiego... i w żadnym sposobie interesować nigdy nie będzie — dodała z przyciskiem.

Bo trzech razy sztuka, pomyślał xiądz — a więc basta.

— Przepraszam XW. panię, ale zdaje mi się przeciwnie, że JW. pani mylnie jakoś zdajesz się stosować słowa moje ; bo ja nie zapomniałem się wcale namieniając o substancji tego, który z prawa natury, będzie właścicielem fortuny, do której i ten dyfferencyjny zaścianek należy. Fortuna zaś acz szlachecka, jednak taka, że ofiarą z niej jednego zaścianku ochotnieby on okupił spokojność i... i... dobre... dobre... sąsiedzkie *intencye* Państwa Dobrodziejów.—

Tu stary hajduk wniósł na tacy, wielką szklanicę kipiącego trunku; xiądz zmarszczył się i odsunął, hajduk pomaszzerował za drzwi, i nie możemy z pewnością zaręczyć, czy z pełną nazad wrócił?

— Inaczej mościa dobrodziko rzeczy się mają — mówił dalej X. Ambroży — z moim bratem; on bez sumiennego przekonania, że cudzą własność trzyma, zaścianku tego nie oida, a to przekonanie jest bodaj niepodobnem. Zresztą szlachcic oddający dobrowolnie i bez wyroku sądowego, bogatszemu od siebie panu, swoją odwieczną ojcowszczyznę, nie mógłby oczu między braćmi pokazać. Poszukaćby zatem należało innych środków modyfikujących....

— Nic, mój xiężę Prokuratorze, uwalniam pana od szukania innych jakichkolwiek środków — bo ja żadnych nie widzę, i pan to uznajesz że bez wyroku sądowego obejść się tu nie może. Nareszcie mamy plenipotentą, z którym panowie w każdym czasie i prawować się i traktować możecie, nieudając się wcale do mnie; tem bardziej,, że ja mam postano-

wienie jeszcze tej zimy odwieźć moją starszą córkę do babki do Warszawy i tam ją zostawić. A tak nim wrócę, zapewne dekret trybunalski wszyskiemu koniec położy.

— Ha! pomyśli! xiądz—na dobitkę kłamstwo... Podniósłszy więc czoło, i patrząc w oczy Starościnej:—Pani do Warszawy?—rzeki z powagą, i po niejakiem zastanowieniu, pokręcił głową.

Postrzegła Starościna, że trzymając dotąd przeciwnika na wodzy, usterknęła się na końcu; ujmując mu więc przewagi, jaką nieuważnie nad sobą nadała i kryjąc nagły rumieniec, który mimowolnie zadawał fałsz jej słowom, Starościna wstała i szła do drugiego pokoju.

Lecz za nią szedł i X. Ambroży, nie w celu jednak zawstydzenia kłamiącej, lub ponawiania subtelnie obleczonej, lecz wzajemnie pojętych propozycji; ale w nadziei, że traktując jeszcze otwarcie i bez ogródek o samym już tylko procesie, rozwinięciem niepewności wygranej na stronę Starościnej, skłonić ją potrafi do upamiętania. Zbierając się więc na wszelkie argumenta prawne,—jeszcze słów kilka mościa dobrodziko, — rzekł on, idąc za Starościna. Rozważyć należy.... Na tych wyrazach, które zwróciły Starościnej ku niemu, stanął na środku pokoju X. Prokurator i nagle zamilkł.

Po niejakej chwili milczenia, widząc Starościna, że on jakby oniemiały, oczy zwrócone na ścianę przeciwną i niewzruszone trzyma, rzuciła tamże spojrzenie.... i ujrzała przyczynę osłupienia xiędza, dla której on, zapomniał argumentów prawnych i całej treści swego posłannictwa.

Na ścianie był obraz — wielkiego rozmiaru malowidło. Stare, zaniedbane i pyłem okryte, nietknięte po przodkach Starosty dziedzictwo, starzejące się ra-

zem ze ścianami, na które kiedy weszło? i czyjej było ręki? właściciel nie wiedział, równie jak, kto j "kiedy same ściany budował? A jednak była to ręka znakomitego mistrza! Mimo pył i zaniedbanie, wyglądające zeń postacie i twarze, tak wybitnym wyrazem oznaczały treść całkowitą obrazu i uczucia jakim! każda, jakby natchnioną była. że obraz zastanawiał każdego, a X. Ambrożego silnem jakby uderzeniem, od razu zbił z tropu jurysty i zapomnianym kapturem nakrył.

Treścią malowidła było świątobliwe podanie, nie jednemu może czytelnikowi memu znajome. Był to targ i cudowne kupno przez braci Trynitarzkiego zakonu, statui Pana Jezusa Nazareńskiego, tego właśnie który się w ołtarzu antokolskiego kościoła znajduje, od Arabów czy Turków, słowem od jakichś muzułmańskich barbarzyńców. Dla czego i jakim sposobem w ich rękę się znajdował, chcąc wytłumaczyć, potrzebaby rozgmatwać dzieje, któregośkolwiek z miast na wschodzie, niejednokrotnie i naprzemian chrześcijańskim lub mahometańskim panom uległych, i w których nie raz kościoły w meczety i nawzajem meczety w kościoły się zamieniały.

Rozważyć należy—rzekł, jakośmy to wyżej powiedzieli, xiądz Ambroży do Starościnej—i w tejże chwili trafił wzrokiem na szalę, na której także wazyli i rozważali bracia jego duchowni, nie procesowe zatargi, ale grosz pokorą wyżebrany, dla odkupienia. nie intratnego kawałka ziemi, ale prostej figury Zbawiciela, którego w ubóstwie i poświęceniu się naśladować zaprzysięgli. Klęczący nad deską szali z jednej strony Trynitarz, sypał na nią pieniądze z worka, a oczy wzniesione i zwrócone na oblicze Chrystusa, jaśniały najżywszą wdzięcznością, uniesieniem i modłą; "bo jeden pieniądz na szalę rzucony, przechylił gwicht za sobą. Równernże uczuciem pałają oblicza kilku braci zakonnych wznoszących czoła i ręce ku niebu i gromady skrępowanych jeszcze wię-

źniów, którzy z niespokojnością wyglądali, azali zostanie złota na ich okup z niewoli.

Cud wyraźny napełnia zadziwieniem i trwogą chciwego Paszę i stojących za nim Muzułmanów. Jeden z nich, różniący się rysem i kolorem twarzy, zgryzotą i żalem miotany, po chrześcijańsku składa ręce do modlitwy, posuwa się ku kapłanom— chciałby się do nich* rzucić... wyznać cześć prawdziwemu Bogu,— lecz go bojaźń obecnych barbarzyńców wstrzymuje. Och! jakiż wyraz jego oblicza i oka!..

— To renegat! to renegat! poznał i wykrzyknął każdy, kto nań spójrzył. On z Trynitarzami uciecze i powróci do swojej wiary... do swojej ojczyzny!... (*)

Stał więc milczący i zadumany xiądz przed obrazem.— Starościna niepojmując dokładnie tego milczenia, patrzyła mu w oczy łzawą zachodzącą pomroką, i na twarz wzorującą się stopniami na podobieństwo uniesienia i uczucia braci jego z obrazu. A nakoniec jakby ich naśladowając, wznosił i on ręce w górę, a łzy mu potokiem toczyły się po licu....

Zdziwiona coraz bardziej starościna, i niepojmująca wewnętrznych udręczeń xiędza, do których obraz ten dał powód:—Co się to znaczy xiężę Prokuratorze?—zapytała—z kąd takie wzruszenie?—

Jakby nie słysząc słów tych xiądz Ambroży, zawołał głosem głębokiej modlitwy:—O Chryste Jezu, O Chryste Jezu!... i tu mi przestroga! i tu mi grzechu mojego przypomnienie! i tu mi wyrok pokuty! Panie! dajże mi siłę w postanowieniu spełnienia jej, i zaprzysiężonych obowiązków moich, na chwałę Twoją!.*..

— Nie rozumiem tego wszystkiego—przerwała Starościna wzruszając ramionami. Zdaje mi się xiężę Prokuratorze, że mi coś jeszcze o interesie mówić chciałeś—

— Żadnego pani — żadnego już interesu.... wszystkie zakończyłem na tym obrazie, on mi przypomniał

(*) Obraz ten -widziałem przed 1812 rokiem, potem jego szmaty-

główny interes mego powołania i życia, o którym niestety! zapomniałem, gdym dziś celę moją opuścił. A lubo Bogiem się świadczę, że czysty i sprawiedliwy zamiar mię tu sprowadził.... wszakże___nie tu miejsce zakonnika, mojej reguły zwłaszcza— Ot tam ono właściwe, gdzie ci pobożni bracia moi świętego doznali cudu, i miłosierdzia Boskiego.... Niech Bóg ku dobremu serca wasze skłania: nie kłóćcie się, nie prawujcie się, aby każdy grosz wasz pocziwie nabyty, lak był ważnym, jak ten, co tę szalę cudownie przychylił.—O Boże! daj miliony takich groszy, i dozwól tak ich użyć!...

Po tych wykrzyknieniach i modłach, X. Ambroży znowu wpadł w zadumanie, które wpatrującą się może raz pierwszy w ten obraz Starościny, obejmować zdawało się, gdy odgłos jakiegoś wrzasku, podobnego do chrapliwego śpiewu doszedł ich od sali w której Starostę z Porucznikiem nad wazą pączu zostawiliśmy.

— Cóż to ma znaczyć?—rzekła Starościna, i odrywając wzrok i uwagę od obrazu, odeszła spieszenie.

Xiądź wzruszony zrazu tym śpiewem, wrócił znowu do kontemplacyi ... wkrótce uderzył się mocno w piersi, jakby kończąc gorliwą wewnętrzną modlitwę.—Trzeba jechać, pomruknął nakoniec, trzeba jechać, i wyszedł innemi drzwiami, aby rozkazać zejść saniom

Przypomni sobie czytelnik, żeśmy zostawili Porucznika, gdy czerpiąc dla siebie i dla Starosty z wazy, schwytał myśl szczęśliwą, a wstępną do poselstwa swojego. Wprawdzie łatwo zawsze trafić od szklanki do wesela, jednakże przy pierwszych haustach, Porucznik powoli i ostrożnie, wedle układu z X. Ambrożym, pomykał się w interesie. Ale gdy

widział, że wszystkie jego *cyrkulokucye*, Starosta wprawdzie dobrem sercem i dobrym humorem przyjmuje, ale do czego zmierzają, pojąć nie może; i gdy większa połowa wazy gorącego trunku zaszumiła mu w głowie, mieszając w niej porządek ciężko układanych traktacyi, a przydając odwagi i energii:—po*djable pomyślał Oll sobie, mam się męczyć? Czy ja Jezuita? abym smażył te subtelne delikatesy"— *Ad rem* prosto i basta, rzekł zatem,

— Krótko mówiąc Starosto, będę ci swatać do pięknej Elżuni, chłopca wyśmienitego, zacnej familii, a nawet dobrze ci znajomego—pozwolisz? he?—

— Proszę, proszę, odpowiedział niedbale Starosta, któremu głowa coraz bardziej ciężyła, a oczy zmniejszały się i ćmiły.

— A więc staroświeckim obyczajem, rozpoczynam swaćbę. To mówiąc Porucznik, zawiązał serwetę białą na szyję i końce jej szeroko na piersiach rozpuścił, wziął w rękę pełną szklankę, odszedł do drzwi i huczno wrzasnął:

„Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Stanę sobie koto progu,
Pomodłę się Panu Bogu,
I nam jedną dasz
I nam jeduą. dasz! (*)

pociągnął ze szklanki na odpoczynek; a w tym drzwi się odemknęły i weszła Starościna.

— Co się to ma znaczyć mężu? — zapytała ona z uśmiechem poglądając na trefną figurę Porucznika.

(*) Obrzęd i piosnka w dawnych szlacheckich swaćbach używane.

Ten nie tracąc rozumu, i nie dając czasu Staroście do odpowiedzi, jeszcze huczniej ryknął:

„Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Stanę sobie koło progu,
Pomodłę się Panu Bogu,
To i będzie nasza,
To i będzie nasza!

I dopijając rzekł: — Za zdrowie Jaśnie Wielmożnej Starościej Dobrodziki... a przyszłej da Bóg teści pana Ludwika Dowiata, zacnego ze wszech miar kawalera, a pałającego gorącym afektem do godnej i ślicznej Starościaneczki...

Starościna spojrzała na Porueznika, wzrokiem, który czytelnik łatwo sobie wyobrazą, jeżeli kiedy widział ostro zagniewaną kobietę; a w którym złość i poniewierka tak wyraźnie się malowały, że gdyby oko Porucznika nie było przyćmione i łzawe od gorącego pączy, łatwoby go dojęła i rozgniewała. Lecz on niedostrzegając wzroku, pojął jednak zamiar Starościej, gdy się odwróciła i milcząc szła ku drzwiom, z których była wyszła.

— Dokąd mościa dobrodziko? — rzekł więc zachodząc jej drogę — dokąd i bez odpowiedzi nawet? Za co taka konfuzya i dla swata i dla swatanego?—

„Ożenił się równy z równą,
Pan Zamojski z Batorówną. (*)

— Pan Zamojski szlachcic, ożenił się z królewną Batorówną, a czemużby Pan Dowiata również szlach-

(*) Wierszyk może i z czasów sławnego ożenienia się Zamojskiego.

cic, nie mógł ożenić się mościa dobrodziko z panną Starościanką Kapinowiecką? Kochają się oboje jak gołąbki, wiem to i ręczę Itności Dobrodzice. Młodzi — Pan Bóg pobłogosławi. Doczekasz się Starościno pociechy z wnucząt. — Ej! dajże rączynę dawnemu przyjacielowi... i nieuważając na opór, wziął rękę* Starościnej i całował. A dalibógże pulchniutka i ładniutka jeszcze; choć ty ją łyżką jedz'....—

Starościna nie mogła się nie uśmiechnąć na takie żołnierskie koperczaki; odjęła jednak rękę, a odsuwawszy tak gorliwego swata, weszła szybko do drugiego pokoju, i drzwi za sobą zamknęła. Pogoniłby pewnie za nią rozochocony Porucznik: ale go wstrzymał wchodzący właśnie wśród tych zalecanek X. Ambroży. — Jedźmy, rzekł on.—

— A jedźmy, bo sprawa po djable; drzwi mnie Imość Dobrodzika przed nosem zamknęła . . . Jakże Starosto! czyiiż dozwolisz żonie— a — śpi nieboraczek: *t>Vixit et rescit!*« Chłysnął i zasnął! »Słowa są zapisane na szpuncie »od beczki pełnej anyżowego kordyałua— Przerwał kazanie po ternie xiądz, bo wziął mówcę za rękę i wyprowadził do sieni.—A wkrótce zabrzmiała trąbka i po niej:

Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie,
I w Pińsku i w Mińsku,
I w Gdańsku i w Brańsku,
Wszędzie nas poznali....
A żonki nie dali!

dokończył Porucznik!—

XII.

Okrzyczano, oczerniono nasze dawne prawnictwo. Wypadki pojedyncze niesprawiedliwości, intrygi, błędu lub przemożnych niekiedy na wyroki wpływów, złożono na karb powszechnego zepsucia. Zapomniano czynów mądrości, sumiennej uczciwości urzędników, nieskalanej ich cnoty i prawości, bo te były codzienne i powszednie, a rozsiano przeszłe aż do naszych czasów anegdoty, któremi pamięć ojców i dziadów, w najszlachetniejszej ich ozdobie, nieuważny dowcip niweczył.

Szlachcic ubogi, powiadają, nigdy z panem, sprawy nie doszedł ani wygrał. Chociaż możnaby łatwo wyszukać i przywieść mnóstwo przykładów na przeciwny dowód, wszelakoż ta pierwsza przychodzi w porównaniu uwaga, że przynajmniej dawniej pan, przechylając za sobą szalę sprawiedliwości, nigdy nie kładł na nią *zlota*.

Wkorzeniona konsyderacja dla możniejszych, związki ich szerokie, nadzieje (że tamtoczasowego użyję wyrazu) krescytywy, sejmikowe stosunki i tym podobne względy, determinowały wprawdzie niekiedy zdania sędziów, ale nigdy pieniądze! I choćby mię o przesadzone przywiązanie do dawnych czasów posądzić miano, powtórzyć śmiało mogę na przekór, bodajby nie na wstyd dzisiejszym—• nigdy pieniądze! ..

W ciągu dalszym tej powieści, zdarzy mi się zrzęczość opowiedzenia prawdziwych sądowniczych zdarzeń, związek z jej treścią mających. Posłuży to za

dowód, że nawet wyżej wskazanym przemożności względem, nie łatwo było łamać się z sumnieniem sędziów i zasłaniać im oblicze Zbawiciela, ze stołu sądowego na nich patrzące; że w gronie mężów wybranych, zawsze się znalazły mądre głowy i cnotliwe serca, których intryga by najtęższa wzruszyć nie mogła, i którzy piastowali" godnie opinię, zacność i dostojność całego sądownictwa i kolegów idących zwykle za ich zdaniem.

Świetnem było Wilno wkrótce po wypadkach, tu wyżej opowiedzianych. *Publicum* ze wszech stron zjeżdżało się do stolicy, na rozpoczęcie nowego Trybunału, i na ostatki karnawału, zwykle najżywsze i najweselsze. *Zapusty!* sam ten wyraz, po wsiach i w mieście, rozjaśniał stare i młode twarze nadzieją zabawy, ochoty, szалу nawet.... postem i pokutą potem wytrawić się mającego.

Ze wszech stron całej prowincyi zbierali się lityganci, po rozstrzygnięciu, często długo-letnich procesów, *ostateczne*: bo jak przysłowie niesło: »od *Trybunału do Boga apelacya*.i Ze wszech stron także zjeżdżali się mamunie z córeczkami, po rozstrzygnięciu, często długoletniego oczekiwania ich losu!... a tak, napełniało się miasto rozmaitą ludnością, rojącą się tłumnie po ulicach, lub w ciężkich karocach i kolaskach gęsto przewlekających się po nich. W ciemne szczególniej wieczory i nocy, Wilno, tak różne dziś od dawniejszego, wziętem natenczas byłoby mogło za jakieś fantastyczne ruiny wielkiego grodu w którym liczna a błędna w wędrówce karawana, stanęła noclegiem i wśród zgiełku \ zamięszania, tłum jej różno-barwny, wybierał dogodniejsze sobie i zajmował lokaty.

Dziś ze stałych punktów rzucane długie światła na ulice, posępnie wprawdzie, lecz wyraźnie rysują

miasto: natenczas w mieście pogrążonem w ciemnościach, każdy sam własne oświecał drogi, i dla tego smolne, ogniste, iskrzące się lonty, splatane w grube liny i na mocnych osadzone pałkach, przebiegały po ulicach jak meteory przed pojazdami panów, gęstym dymem i rozlatującym się na wszystkie strony zarzewiem, rozbijając nocną pomrokę.

Niekiedy kilka i kilkanaście takich ognisk postępowało na czele licznej, brnącej po kolana w rozblóconym śniegu bandy i huczne wykrzykującej wiwaty. Biada natenczas każdemu, ktoby się znalazł na drodze!... lub co gorsza, ktoby, jak naprzykład rónł nocny, śmiał zaprzeczać drogi. Pochodnia natychmiast stawała się razem bronią palną i sieczną, iskrami parząc oczy, a pałkami łby i grzbiety, niebezpieczniejszą zaiste od dzisiejszych rac kongrewskich, jub dawnych greckich ogniów.

Na ciemnych i krętych pomniejszych uliczkach, uwijały się gęsto latarki, zachodząc aż na dalekie przedmieścia, i jak błędne ogniki snując się między dworkami. Nakoniec rozlewało się z szynków gwarliwe i pijane mrówisko pospólstwa, omackiem około murów szukające bram swoich; aż powoli ustawały wszystkie blaski i wrzaski, a głuchą cichość i ciemność obejmującą gród uspiony, przerywały tylko, po każdym brzęcącym uderzeniu zegarów kościelnych, głosy stróżów nocnych, podobne do muzułmańskich Muezzynów, przyśpiewujące każdej godzinie:

„Mości panowie gospodarne,
 „Juz dwónasta na zegarze,
 „Strzeżcie ognia i złodzieja,
 „Macie Boga—dobrodzieja.”

XIII.

Wielka Reduta —Turek.

Gdyby kto chciał, jak to po wielu już wielkich miastach uczyniono, pisać historię ulic i niektórych domów Wilna; dzieje domu Mullerów na ulicy Niemieckiej, byłyby dziejami zabaw wyższego towarzystwa litewskiego, w rozmaitych czasach nader także rozmaitych. Byłby to ciąg obrazów interesujących bardzo/ bo przedstawujących z kolei obyczaje nasze w najpowabniejszej a razem najciekawszej ich barwie, *wesołości narodo wej* i w sposobie jakim jej używano. Jak dalece raz, była własną, prawdziwą, szczerą, powszechną; drugi raz, obcą, cudzoziemską, modną, obłudną; i jak naprzemian jedna drugą wypędzała z sali Mullerów. Ileż wizerunków pięknych kobiet, jaśniejących wdziękami w różnych epokach naszego miasta, zdołały tę galeryę! wieluż z nas samych dzisiaj starych, ujrzałoby tam siebie w kwiecie młodości naszćj i przypomniało uroczę jej godziny. Ileż nakoniec, historycznych nawet wspomnień, powiązałoby się ze szczególnymi wypadkami, objętemi nieraz ścianami tego domu!...

Reduta w sali Mullerów była jedyną zabawą publiczną w Wilnie w czasie aktu mojej powieści, i lubo świetne assamble i bale u panów zgromadzonych do miasta codzienne prawie nastęrczały sposobności zabaw, tańców⁷ i wesołych wieczorów; wszelakoż najczęściej tak się zdarzało i zwyczajem nie-

jako było, że cała kompania zebrana w domu któregoś z magnatów, po sutej wieczerzy, dobierała się i łączyła w motye i długim ciągiem sanek i karet oświeconych pochodniami, wlekła się na redutę. Motyant natenczas był obowiązany nie odstępować swojej *motyi*, to jest damy, której ochoczym #zy niechętnym naten wieczór był sługą, i po reducie odprowadzić ją do wschodów jej rezydencyi — szczęśliwy! jeżeli służba ta była mu po sercu! Na ostatnią więc wtorkową redutę, całe się gotowało miasto.

Pani Starościna z córką, od dwóch tygodni była w Wilnie. Pan Starosta leczył się w domu, medykamentami doktora *Pedymontanusa* z recydywy pedogry, której mu trunek rotmistrza napędził. Kilka już świetnych wyprawiła ona wieczorów, na których, niestety! Ludwik być nie mógł.

Straciwszy po fatalnej swaćbie, wszelką nadzieję, a nie mogąc na nieszczęście stracić i stiumić przywiązania i miłości, sechf młodzieniec i wędniał, jak kwiat spieką spalony.

Siostrzyczka jego Helusia, wprawdzie odwiedzała pannę Starościankę, nie uważając na fochy i kwaśne przyjęcie mamy. Serdeczne przyjaciółki od dzieciństwa, nie mające dla siebie wzajem żadnych tajemnic, powierzyłyby sobie zapewne swe myśli, uczucia i zmartwienia, i takiej chwili, za każdą swą wizytą szukała pilnie Helusia, chcąc przyjaciółce miłość i cierpienie brata przepowiedzieć, a choćby słówko pociechy mu odnieść; lecz baczne Starościnej oko, nigdy osobnej im nie dozwalało rozmowy i powodem niby bawienia gości, których dom jej zawsze był pełny, nigdy córce od boku swego oddalić się nie dozwalała. Po radośnych więc tylko powitaniach, i po łzach, które przy każdym pożegnaniu

zwilżały piękną źrenicę Elżusi, mogła ona sądzić, że serce jej przyjaciółki, ani w przyjaźni dla niej, ani w tkliwszych uczuciach dla brata, najmniej się nie zmieniło.

Raz jednak, gdy po czułym pożegnaniu, Helusia w przedpokoju ubierała się w futro, starościanka postrzegłszy matkę w żywej rozmowie z jednym z jaśnie wielmożnych gości, wybiegła za nią i ścisnąc ją czule: — »Ach! jeszcze choć jedną chwilkę z tobą!« rzekła. Korzystając Helena z tego niespodziewanego sam na sam, szybko i cicho mówiła jej: — »Moja ty droga! dziękuję ci; mama twoja pilnuje nas _____ nieszczęśliwy Ludwik! ach! jakże on »cię kocha! on umrze z rozpaczy!...«

— Ludwik! Ludwik! o mój Boże! powiedz mu, rzekła z westchnieniem — powiedz — łzy przecięły cichą mowę, doszepnięciem na ucho słów kilku kończoną, a przerwana głosem Starościnej wołającej córkę. Aby ukryć swe łzy i wzruszenia, Elżusia bocznymi drzwiami do głębszych wbiegła pokoiów; a Helena odeszła niosąc bratu ulgę, pociechę ba! czemuż nie nadzieję?

Przygotowanie się w mieście na ostatnią redutę, zależało najwięcej na tem, że towarzystwa przyjazne sobie, łączyły się w jedne grona i układały motye i maski: mężczyźni sporządzali stosowne, często znacznym kosztem ubiory, aby nie powstydzic motyi, które także strojnie i pięknie, wystąpić starały Się.

W innym czasie i humorze, Ludwik nie ustąpiłby nikomu, ani w dowcipnych wynalazkach i projektach do maskarady, ani w gustownym układzie własnego stroju; i nie jedna matka pozazdrościłaby wybranej przezeń motyi. Ale ów niedawno wesoły, śmiały, ładny i gracki chłopiec, stracił wszystkie swoje zalety, i prócz pocziwego a cierpiącego serca i młodości, nic mu prawie z dawnych ozdób i wdzięków nie zostało.

Rodzice i stryjowie ubolewali i lękali się o zdrowie jego. Helusia, czasem z niw razem popłakała w alkierzyku, a częściej cichą pogadanką o kochance, tak miłą zakochanemu, rozpogadzała" pochmurne jego czoło; i cała ta poczciwa rodzina głęboko dotknięta i zasmucona była, losem ukochanego ich wszystkich dziedzica. Pan Skarbnik nawet, widząc co się święci, lubo zrzędził i dowodził, że gdyby pan Ludwik pilnował statutu, nie prz\szłoby do'tych feralnych konsekwencji i negocjacji, które złym swoim skutkiem, dziś mu głowę suszą_____jednak patrząc na stan boleśny młodzieńca, którego kochał, o tyle przynajmniej, ile jurysta kochać może, często sam do siebie mawiał: *intra nos loquendo* źle z nim jest_____trzebaby coś poradzić— szedł potem do pani Dulskiej i ją na wzwiady do Starościnej porysował. Starościna przyjmując uprzejmie kuzynkę, po której kapitalik w spadku przewidywać mogła, najmniej się nie domyślała, że to był szpieg pana Skarbnika, przez którego wiedział on o stałej skłonności Starościanki dla synowca i stałej niechęci Starościnej dla ich obu.

Od czasu jednak ostatniej bytności siostry u Elżuni, humor Ludwika poprawił się nieco; bota przywiązana siostrzyczka, słówko wzięte do ucha z ust jej, prosto bratu do serca wrzuciła, a słówko to było, widać, talizmanem rzeźwiącym go z otrętwienia i troski.

Cały więc karnawał nudno schodził w Dowlatowskich dworkach; ale gdy humor ukochanego Łudwisia uległ zmianie na lepsze, to rozpogodziły się twarze i całej doń przywiązanej rodziny. ^ Stryjenka zaś, *in gratiam* tej pomyślnej okoliczności, postanowiła zakończyć przynajmniej, weselej zapusty i ostatni wieczór obejść suto i huczno, podwójnie uracząc rodzinę, przyjaciół i sąsiadów: to jest, dać smaczną wieszczkę przed północą, a po niej wyśmie-

nity postny z ryb i pirogów podkurek, zakończyć się mający sowitem płókanem zębów.

Ludwik wdzięczny stryjence za ten szczerzy wzgląd na stan jego", a nie myśląc wcale o publicznych zabawach, przyjął na siebie zaproszenie gości. Między temi, niepoślednie miał trzymać miejsce pan porucznik, i owszem na nim zakładano największą bachusowej ochoty i wesołości nadzieję. Do niego zatem naprzód, to jest trzema dniami przed ucztą, wyprawił się za Ostrą-bramę Ludwik, aby wszelkie zaproszenia uprzędzić.

— A witajże mi! witaj! kochany mój! dwa razy kochany!... bo i odemnie i od kogoś jeszcze— ale niech to będzie między nami. W czas przybywasz, dalibóg w czas! wołał, uśeiskając Ludwika porucznik.—Patrz w jakim jestem kłopotcie— trzech żydów mam na głowie, a oni mnie. Ja im rady dać nie mogę, a oni mnie. Otoż ty i mnie i im poradzisz.—

W rzeczy samej, na środku pokoju, około wielkiego stołu, na którym różne z jedwabnych materyi leżały żupany, kontusze, a nawet atłasy i gredytury w sztukach, stało rozmyślających z kredkami w rękach, trzech żydów.

— O cóż tu idzie? zapytał Ludwik.

— He, widzisz,— rzekł Porucznik — wszystko to ja twoje interesa robię. Ty śpisz, a twoja dola rośnie! bo niech mię djabli porwą, jeżelibym się wdał w tę biedę, gdyby nic moja życzliwość dla ciebie— a zatem, nadzieja pomyślniejszych ewentów ze starością.

Ludwik zdziwionym i niedowierzającym wzrokiem nań spojrzawszy: — kochany poruczniku, rzekł, cóż to znowu za zagadka? i jak niewcześnie onę wprowadzasz?—dodał wskazując na żydów.

— Ha! prawda, tylko co nic podrwilem głową. Do sieni łajdaki! i czekajcie. Otoż napomknąłem ci przyczynę, dla której po przybyciu do miasta starościnej, nie odmówiłem jej kilkakrotnej prośbie i odwiedziłem ją. Mityguje się widać baba, pomyśliem i pofolguje zamiarom naszym. Potem raz i drugi zaprosiła mig na obiad; poszedłem i upatrywałem zręczności i szczęśliwej godziny ku renowacyi *tandem* tego....

— Rozumiem, przerwał Ludwik z uśmiechem, bo poznał, że Porucznik chce usprawiedliwić się z wizyt swoich do starościnej, na którą, po powrocie ze śwaćby tak był obrażonym, że po razy kilka we dworku powtarzał: »noga moja w jej domu nie powstanie.))

— Rozumiem, przerwał zatem Ludwik, i dziękuję za dobrą wolę pańską dla mnie: mam jednak, zda mi się prawo, prosić cię kochany poruczniku, abyś odtąd zaniechał wszelkich już w tym względzie insynuacyi. Zostawmy to woli boskiej; a tymczasem, ot ja przychodzę w imieniu moich stryjowstwa i całej naszej rodziny zapraszać cię, abyś z nami, jako ze swemi prawdziwemi przyjaciółmi, ostatni wieczór zapustny przepędził. Kompanię będziemy mieć dobraną, przyjacielską, a poufałą; a zatem zabawimy się, da Bóg dobrze, mając zwłaszcza kochanego porucznika między nami.

— Otoż masz! a to jest półtora nieszczęścia! odpowiedział porucznik; nietylko muszę spendowac nie-małego grosza na babskie bałamuctwa, aie jeszcze tracę najmiłsze towarzystwo i szlacheckie pocziwe, a wesołe zapusty! Czemużeś mnie zawczora o tem nie powiedział!

— Wczora jeszcze stanął u nas projekt zabawy i mniemałem, że trzema dniami przychodząc uprzedzę wszelkie zaproszenia.

— Otoż to, że uprzedziła cię starościna, i skutkiem to jej woli, a danego przezemnie słowa, zna-

lazfeś mię w kłopotcie, w którym wzywam twej rady.

— Na ostatnią wielką redutę, mam być *Turkiem* i dla tego muszę oporządzić się po turecku; proszę więc tu znaleźć krawca, któryby cię na baszę wystroić potrafił? Nanieśli mi tu z tandetów i ze sklepów towarów szmat; a cóż, kiedy nie znają łajdaki tureckiego kroju.

— Zgaduję rzeki Ludwik, toć pani starościna będzie Turkinią, a porucznika w motyę sobie obrała.

— He! he! nie zgadłeś braciszku, nie! Starościny motyaszem będzie JW. deputat Lidzki, którego bodajby na króla Egipskiego fortraguje; a sama ma być jakąś królową bodaj Lampartyńską. Mnie Ludwisiu pozazdrościsz... moją motyą będzie Elżusia! Oj tak, tak! Elżusia. Ha! usmiechasz się Judaszu! a wiem co myślisz, że mnie powinna była przyswoić sobie mamunia, a ciebie dla córeczki! prawda, byłoby to właściwiej. Ale widzisz baba minister! oho! rozumiesz, że ona mię tak bardzo kocha, że aż z córką swata! nie, nie o tym Dawidzie, gra idzie. Ale trudny jej był wybór między młodzieżą, dobijającą się o honor służenia w motyę pannie starościance; bo prawdę mówiąc braciszku, masz rywalów bez liku. Aby więc nikogo nie obrazić, mnie dla Elżuni wybrała i kazała oporządzić się po turecku: a łatwiejby mi przyszło niosanie konia w rzed turecki ubrać, jak siebie samego w ich muzułmańskie szaty. Dajże więc mądrą radę panie Ludwiku; a za to, co każesz, wszystko z pod maski wyszepecę na uszko Elżusi.

Wiesz co? możeby jeszcze lepiej było, gdybyś sam byt na reducie w masce?... tylko, że cię mama wnet odgadnie, gdy się zbliżysz do córki.

— Idzie więc ci kochany poruczniku, rzekł Ludwik nie zważając na jego propozycye, o krawca, któryby ci turecki ubiór uszył.

— A tak, właśnie tak.

— Posyłajże wnet na Subocz ulicę po Benjamina,

on jest moim krawcem, a rocznym u pani Morawskiej*, antreprenerki naszego teatru. Szyje 011 garderobę teatralną, więc nieraz i tureckie ubiory szyl zapewne; a narszcie wziąć łatwo może na blajer: ale śpiesz się, bo nie jednemu mnie, też sama myśl przyjść może do głowy.

— A niechże cię uścisnę! wyśmienity projekt! to mi to głowa! Masz za to jeżeli chcesz, na cały dzień moje siwe kuce. Won faryzeusze! wrzasnął otworzywszy drzwi do sieni; nie potrzebuję was. Towary zatrzymuję, jutro przyjdźcie po nie; co odkroję, zapłacę.

Posłano natychmiast po Benjamina, który przybywszy, najdoskonalszą okazał znajomość rzeczy. Porucznik ukontentowany, nie targował się o zapłatę podwyższoną bardzo, powodem, że jak powiadał żyd, miał do ubrania sześciu samych turków, oprócz jasnego porucznika, dziesięciu hiszpanów, czterech murzynów i jednego dzikiego człowieka.

Wybrano zatem materye; porucznik zaklinał żyda, aby on ze wszystkich turków był najokazalszym, dodając na ostatnią konwikcyę:—słuchaj Barabaszu! albo ci zapłacę jak chcesz, albo cię zbiję na gorzkie jabłko.

Żyd zaklął się najuroczyściej, że jasny pan porucznik będzie kontent; a odchodząc i zabierając materye dodał:— »tylko turban do mnie nie należy, »a powinien być bardzo bogaty, od złota i dya-mentów.«

— No, no, rób swoje Zarobabelu, a nie frasuj się o resztę, rzekł porucznik do żyda, Lecz *gdy* ten wyszedł, obrócił się znowu do Ludwika:—Jednako-woż to sęk ten turban; czy nie dasz znowu jakiej rady.

— I owszem mam gotową; daj tylko złota i dya-mentów, jak krawiec radził, a siostra moja upnie ci i ubierze ten turban, do którego potrzebny ka- dłub, ja od kapelusznika dostarczę.

— Co? Helusia ubierze mi turban! A niechże mig szatan porwie, jeżeli jej za fatygę, rączek i nóżek nie ucałuję po tysiąc razy! Co do splendorów, najdzie się u szlachcica; a do tego, zbiorę po moich kumkach i przyjaciółkach, których mam chwała Bogu prawie na każdej ulicy, starych brylancików i dostarczę Helusi.

— Nakoniec, rzekł Ludwik, trzeba mieć krzywą tureckę karabelę u boku, i kindżał za pasem.

— No to już nie bieda, rzekł porucznik, sześciu Turków mógłbym uzbroić, bogatym orężem z mojej ściany: chodź i patrz!

W drugim pokoju na całej ścianie, szerokim kołniercem zawieszony, umieszczony był symetrycznie piękny, dobrany, a nawet kosztowny i liczny arsenał pana porucznika. Broni tureckiej zimnej i ognistej było niemało, równie jak wszelkiej innej, którą z upodobaniem przeglądając Ludwik, przysłuchiwał się opowiadaniom Stelnickiego, o zaletach i dziejach każdej sztuki. Nakoniec, zdejmując on z kółka szablę damasceńską z piękną wschodnią w jaszczur i srebro oprawą: — Mój kochany Ludwisiu, rzekł, może i tobie zdarzy kiedy po turecku się stroić, to miej na pamiątkę od przyjaciela.

Ludwik dziękował, ale przyjmować nie chciał daru, tak znakomitej wartości.

— Cóż to znowu u kata? zawołał Stelnicki; wy młodzi chcecie wyprowadzić z mody naszą staroświecką kordyalność i ochotę do wzajemnych dowodów przyjaźni i szlachetnego serca? Oj tak, tak! wychodzi to dziś z mody, co dawniej było zwykłą wspaniałością u panów, a cnotą popularną u szlachty. Podoba ci się koń mój dzielny? masz go bracie! i dłoń w dłoń; a potem w obie, kielich na podziękowanie za łaskawe przyjęcie, i tym podobnie. Im więcej sposobności darów i zjednania przyjaciół, tem lepiej, i nikt się tym nie zubożył, bo odbierał często we dwójnasób za swoje; a miłość, a życzliwość wza-

jemna, a dobra myśl, a wesołość i ochota, kwitła wszędzie i między wszystkimi. Ba! dziś już inaczej jest! a kto wie co dalej będzie?... Ale wola bożka we wszystkim! a ty przyjm tę szabelkę, bo rekuzą zmartwisz mnie i zagniewasz bardzo. Uściskał potem młodzieńca, gdy ten spełnił jego życzenia, i pożegnał się czule.

Powracając Ludwik do domu, rozmyślał nad tą wielką redutą, wśród której, gdyby poszedł za radą porucznika, mógłby choć kilka słów powiedzieć swojej ukochanej; a rozmowy z nią tak pragnął, tak potrzebował, a zwłaszcza po doniesieniach Heleny, okupiły ją połową życia. Lecz cóż z tego? słów kilka nie było dosyć: dłuższa zaś rozmowa, wydałaby go niezawodnie i przyczyniła zmartwienia córce, a ostrożności jeszcze większej matce. Nagle uśmiechnął się na jakąś myśl nową, i zawrócił się na Subocz ulicę.

Nadszedł nakoniec i dzień wtorkowy, zapustny, i dnia tego wieczór — dobitka karnawału. *In fine velocior motus*, powiada stare przysłowie: *motus* ten zatrzęsł całym miastem i zabrzmiał po całym mieście wszystkimi tonami hucznej wesołości. Na ten raz światło było po ulicach, a nawet i po uliczkach, bo ze wszystkich, a gęstych szynków rozchodziło się ono szeroko, a szerzej jeszcze odgłos rozmaitych instrumentów rzniętych, dętych i brzęczących; tak bowiem nazwaćby trzeba cymbały, pod którymi pospolita rzesza rzeźwe wybijała hołubce. Wyższe piętra znaczniejszych kamienic i pałaców, rzeszyszemi także pały ogniami, i dobrańszą harmonją muzyki, oznajmywał wewnątrz tam weso-

łość. Odzywały się tam i ówdzie pieśni śpiewaków i błędne po ulicach szenekatrynek kuranty; a około dziesiątej godziny ruszyły zewsząd kalwakaty na Niemiecką ulicę do pałacu Mullera na redutę.

Jedna z nich z kilkunastu karet i sań złożona, pomykała się powoli od Zamkowej bramy. Na jej przedzie, jechała w karecie starościna z córką; a za nią tuż basza turecki i król egipski, w saniach parą siwców ciągnionych. Za nimi dalsza kompania, która na umówioną godzinę zebrała się licznie do pani starościnej, i tam złączona w motye i umaskowana, mieściła się do pojazdów tak, aby mężczyźni jadący w saniach, byli zaraz za swemi motyami, dla podania im przy wysiadaniu ręki i wejścia razem na salę.

Na Niemieckiej ulicy, gdzie wszystkie zjeżdżały się i rozmijały się kalwakaty i pojedyncze cugi, hałas, zgielk, tłum i zamieszanie przechodziły wszelkie opisanie. Policya jako dziś, nie czuwała nad porządkiem i bezpieczeństwem; atak, porządku nie było, a bezpieczeństwo zależało od zręczności stangretów, i otaczających każdy pojazd hajduków, którzy z pochodniami w rękach oświecali drogę, rozpychali tłumy świecąc je iskrami i wrzeszczeli z całego gardła, przeklinając się wzajemnie, jak potępieńcy wśród smoły i ognia.

— A to czyste piekło tu, panie Lidzki! odezwał się niecierpliwie porucznik.

Nie najeżdżaj! Stój! ruszaj! do miliona kroćset... Na prawo! na lewo! Gwałt! ratujcie! Bij go! trzymaj go! i tym podobne krzyki wśród trzasków nieustannych z biczów i gwaru pospólstwa pijańskiego w tym dniu nad inne, w nocy i w błocie, nieprzesadzonem czyniły porównanie powyższe Niemieckiej natenczas ulicy, do piekła.

Dowlekła się przecie kalwakata starościnej do bramy Mullera, suto lampami oświeconej: kareta weszła, sanie za nią wchodziły... gdy nagle wrza-

snął porucznik:—Co to jest? Gwałt! złodziej! dalibóg złodziej!... bo ktoś z tyłu porwał mu z głowy turban. Zerwał się z sań Stelnicki, dostrzegł złodzieja wyciskającego się między tłumem na ulicę z turbaniem w rękę, skoczył więc za nim—

Król egipski, zwrócił się na ten krzyk ku towarzyszowi i nie ujrzał go obok siebie; ale w tejże chwili kareta stanęła przed wschodami. Starościna z córką wysiadły, pośpieszył więc podać rękę motyi, i znalazł obok siebie baszę podającego rękę Elżusi..

— Co to było? zapytał więc jego.

— Nic, szepnął z cicha basza: omyłka — prowadź pan... Poszli więc; a za nimi kilkadziesiąt par weszło na salę, i wkroczyło w toczący się polonez.

Tymczasem porucznik pędził za złodziejem, który wyrwał pochodnię z rąk jakiegoś hajduka i biegł z nią zgniółszy turban i schowawszy go pod płaszcz. Porucznik toż samo uczynił; schwycił pochodnię i z nią w jednej, a z dobytą szablą w drugiej ręce leciał za złodziejem wrzeszcząc co miał tchu:—Złodziej! trzymajcie! łapajcie!... ale ten rzeźwo zmykał, wywijał się zręcznie między pojazdami, w tłum zastępujący mu, suwał pochodnią w oczy i torował sobie drogę wrzeszcząc także: — Trzymajcie! Na miłość Boga! trzymajcie! Diabeł wenecki! diabeł wenecki pędzi mnie — zadusi mnie! trzymajcie na miłość Boga, trzymajcie!... Porucznik tym samym sposobem bronił się od tłumów, to jest pochodnią w oczy, i łatwiej nawet ustępowano mu z drogi, postzegając pałasz w rękę, twarz szkaradną i ubiór dziwaczny. Dostrzegł on, że przestraszał spotykanych; zdarł więc sobie maskę z twarzy, a ta opadłszy na piersi, zrobiła drugą głowę; ktokolwiek więc spojrział na biegnącego, krzyknął, Jezus Marya Józef!

, i odskakiwał przerażony, lub co gorsza powtarzał za złodziejem: — Diabeł wenecki! Diabe! wenecki!...

Tak przebiegli Niemiecką ulicę. Złodziej obiegnął ratusz i puścił się w dół ku Zamkowej bramie: pojazdy nie tak już gęste, dozwalały mu trzymać się środka ulicy, po której brnął w rozmięszanym i wilgotnym śniegu, oglądając się coraz na goniącego porucznika, a brnącego także po kolana bez względu na atłasy i materye, w które był osyty, i które za każdym krokiem w niwecz się obracały. Niech diabli biorą atłasy myślał 011, wolej szkodka niż szkoda... na turbanie kilkaset dukatów!..', a ta myśl podwajała mu siły i kroki.

"Niekiedy złodziej jakby zmordowany zwalniał biegu. Stelnicki natenczas prawie go dościgając krzyczał—stój łotrze! oddaj turban, bo ci łeb rozplątam!!!

— Nie doczekasz szatanie! nie doczekasz diabla wenecki! odpowiedział złodziej i unosił się żywiej.

Noc była cicha, wilgotna i ciemna, a im bardziej oddalali się oba od środka miasta, tem mniej było światła: za bramą Zamkową, własne im tylko świeciły pochodnie. Porucznik cieszył się w duchu, że złodziej stracił głowę, i sam mu wskazuje drogę pogoni: ten obiegnął po dwakroć katedrę żałośnym głosem jęcząc: »Jezus Marya! Święty Kazimierzu ratuj duszę moję! Zgiń przepadnij, diabla wenecki!

Porucznikowi tchu nie stawało, krzyczał jednak na odpowiedź. — Nie! nie! zginiesz z duszą i z ciałem... Jaki taki podpity, wlekący się z szynku, słysząc to i widząc latające około kościoła widma, przeżegnał się i zmykał. Z pod katedry złodziej puścił się na Antokol, klucząc między stósami drzewa, którym cały brzeg Wilii był założony: minął kościół ś. Piotra wzywając jak wprzód Patrona Litwy, tak teraz xięcia Apostołów opieki, i nakoniec dobiegając do dworku państwa Dowiatów, przewrócił pochodnię, wbił ją w śnieg, a sam wpadł na dziedziniec przez

furtkę, którą za sobą zamknął z trzaskiem i zarygłował, i w którą wnet z całej siły zaczął bić porucznik, wołając: — odemknijcie! na miłość Boską odemknijcie!...

Pocziwa, tam zgromadzona drużyna, bawiła się wesoło i poufale, racząc się trójniakiem, lipczykiem, lub winem, jak czyja wola i łaska. Matrony w drugim pokoiku, traktowały się bakaliami i likierami, dzieląc się z panięństwem, które w alkierzyku, kilku chłopców mając między sobą, swobodną, a skromną gruchały chichotkę.

Nakrywano już na wieczerzę i z niespokojnością wyglądano pana Ludwika, który miał wspólnie z siostrą gospodarzyć. Panna Helena jednak, wystarczając za matkę i za brata, pięknie się krzątała, a z figlarnym uśmiechem zaręczała, że jeżeli nie na wieczerzę, to na podkurek brat pewnie wróci.

W takie to grono wpadł naprzód zadyszany i zbłocony z turbanem w rękę znajomy nam aplikant pan Łukasz, dyszkant choru śpiewaków; położył on turban na stole, a cisnąc się w zdziwiony i zasypujący go pytaniami tłum, wyrwał od kogoś szklankę, wypił duszkiem, i posłyszawszy w tym momencie dobieganie się porucznika. — Mości panowie rzekł: miejcie się na ostrożności ostrzegam... Diabeł wenecki tu wpadnie... Może się stać jaki akt wiolencji na mojej zwłaszcza osobie.

Wtem wpada raptem Turek z pałaszem w rękę!... Mężczyźni biorąc to za umówioną zapustną zabawkę, nie ulękli się bynajmniej, ale przerażone kobiety pocisnęły się w "kąty i zasłaniały się mężami i swojemi i cudzemi. Nikt jednak nie poznał porucznika.

— Nie lękajcie się — to maska, mówili mężczyźni, ujmując jednak trzciny w ręce.

— Ach! ja nieszczęśliwa! dwie głowy! krzyknęła któraś imość nieznająca się na maskach. Wszystko to działo się w jedncm mgnieniu oka, co po kolei opowiadaniem być musi, i to właśnie główna niedo-
godność powieścio-pisarstwa.

Porucznik wpadłszy do izby, wrzasnął — gdzie ten złodziej? ale postrzegłszy swój turban świecący się na stole, porwał go z ukontentowaniem, obejrzał, i znalazłszy wszystkie splendory i kosztowności nie-
tknięte i całe, poznał, że to nie złodziejstwu, ale jakiś figiel. Niemniej jednak obrażony krzyczał:— gdzie ten chłystek? który mój turban tu przyniósł. Czego u kroćset diabłów patrzacie na mnie jak na jaką poczwagę? to ja—Stelnicki! nie bójcie się; ale wydajcie łotra, który mnie tego piekielnego figla wy-
płatał.

— A dalibóg, wszakci to nasz porucznik, rzekł podszedłszy i przypatrując mu się ze świecą gospodarz domu.

— Kto turban przyniósł?

— A czegoż tak się kokoszysz? czapkę tę turecką czy jak nazywasz turban, wniósł tu i postawił na stole zasapany i obłocony pan Łukasz, którego tu widzisz; a co się to wszystko znaczy, nie wiem. Wi-
dać zmówiliście się na tę komedię.

— A to tv szubrawcze, chłystku, łotrze prze-
klęty!...

— Biorę na świadectwo wszystkich tu obecnych zacnych panów i dobrodziejów, rzekł śmiało pan Łu-
kasz, srogiej *weksy*, którą mię znieważa pan Stel-
nicki, poturczony niewiadomo *quali de causa?* a za-
tem jak widzę *relapsus* od naszej świętej wiary Rzymsko-Katolickiej.

— Schowaj miecz miłościwy baszo! rzekła prze-
rywając te zapędy Helusia, a podchodząc do poru-
cznika ze szklaneczką, mile woniejącego pończyku zacukrowaną powabnym uśmiechem i dygiem; scho-
waj miecz, a przyjm w tę samą rękę z mojej...

— Co! z twoich rączek Helusiu? z twoich pięknych miłych rączek? wykrzyknął udobruchany wnet poru-
cznik, wypiłbym dalibóg i jaką kwaśną**lurę*, a sta-
łaby mi za nektar niebieski; tem bardziej, gdy to jest kordyał tak potrzebny do pokrzepienia mię po
tej niezwyčajnej fatydze. Z Niemieckiej ulicy kłu-
sem aż na Antokol! nie lada kurs. Więc mości Łu-
kasz czy Matyaszu, dowiodę ci, że żartować ze
mną niebezpieczno. I gdyby nie respekt na ten dom
podczasostwa dobrodziejów i tę szanowną kompa-
nię....

— A! nie dozyyalam gniewać się panie poruczni-
ku, — przerwała znowu Helena — i mieszać nam mi-
łą zabawę: ja wszak mam daleko większy powód
do kłótni z panem, a jednak odkładam to*na czas
dalszy.

— Jak to? za co? mój aniołku!

— Ale jak dobrze udają komedię! — odezwało się
zgronadzenie, w mniemaniu, że ta bachusowa za-
bawka, dla rozweselenia wieczoru tego ułożona. Po-
rucznik jak od razu i zagniewany i zakochany; a He-
lenka jaka trusia! Da już wiemy na ezem skończy
się! pójdzie do seraju Baszy!

— Alboż to pięknie, mówiła ona, uśmiechając się
na domysły kompanii, mości poruczniku? alboż to
przystoi taka niestałość? postokrotnie oświadczając
się mnie ze swemi afektami, a innej służyć w mo-
tyę na redutę.

— Aj! aj! cóżeś mi przypomniała Heluniu! gwałt!
cóżeś mi przypomniała! Co tam na reducie pomyśli
o mnie starościna? co pocznie bez motyi staro-
ścianka?

— O to możesz być spokojnym panie poruczni-
ku,— rzekł pan Łukasz;—jesteś pan tu, i jesteś
pan na reducie: bo kiedy już mam prawdę powie-
dzieć, *adyster* taki sam basza, w tej samej chwili,
gdyś pan z bramy na ulicę wyskoczył, podał rękę

wysiadającej z karety starościance i poprowadził ją za matką do sali.

— A toż co znowu? jakim sposobem?

Helunia uśmiechała się figlarnie.

— Nawet, mówił dalej Łukasz, z damasceńskim kordem z arsenału pańskiego.

— A!... wykrzyknął nakoniec, porucznik, uderzając się po czole — jest tu Ludwik?

— Nie ma. odpowiedziano; właśnie z niespokojnością go wyglądamy.

— No, teraz jestem w domu; więc to spisek! a rozumiecie, że to się godzi? że wam młodzieniaszkom wolno ze starym żołnierzem i starym przyjacielem, takie psoty dokazywać?...

— To spisek kochany porucznika, do którego i ja należała, rzekła Helusia, bo dwa zawoje uszyłam; więc ze mną najpierwszy pojedynek, a Ludwiś, to wszakże przyjaciel i faworyt pański.

— Hem! prawda, kocham tego chłopca, a bodaj może i dla tego, że ma pewną siostrzyczkę...

Helusia drugą szklanką i drugim zręcznym dygiem uraczyła zagniewanego,

— Niech mię djabli porwą! oczaruje mię ta dziewczyna, — rzekł on, przyjmując lampkę.

Tymczasem całe towarzystwo, zrozumiawszy, że to nie komedia, to uwiadomione, to domyślające się całej awantury, ostąpiło rozmiłowanego porucznika, wypilo jego zdrowie, wyściskało go serdecznie, ciesząc się i dziękując, że na cały wieczór zostanie w ich szlacheckiej kompanii, nie wrywając się do pańskich assambłów. Kobiety i dziewczęta rozważały i dziwiły się jego wspaniałemu ubiorowi, upewniając, że mu w nim bardzo do twarzy: a tak rozdobruchany i rozbrojony rycerz: — Hej! bracia mili! zawołał, przy kielichu i fartuszk, najtwardsze serce topnieje jak wosk! a na dowód, że i mnie stopniało, przy tym strzelistym ogniu, błyskającym z oczek Heluni, wypijmyż jej zdrowie, ale z jej trzewiczka!

Na tę propozycję Helusia odbiegła do drugiego pokoju, ale porucznik z pomocą młodzieży i tam zwinął się około jej stopek i wnet zdobył trzewiczek, do którego wstawiwszy szklankę, spełnił pożądany *wiwat*, powtórzony w kolej przez wszystkich. Harmonia zatem i wesołość nastąpiła zupełna, a porucznik był jej duszą.

Na reducie, basza po dwóch polonezach odprowadził motyę swą do matki i zniknął w tłumie. Maską ukryła wzruszenia starościanki, które zapewna na twarzy się malowały; drżąca jednak stanęła obok niej. Damy się wkrótce demaskowały, a zatem ubiegających się o rękę do tańców, pięknej odaliski, było mnóstwo. Starościna rozumiała, że porucznik znalazłszy towarzyszków, pije w bufecie, i nie troszczyła się o to: bo wszakże była to motya dla proporeyi tylko. Ale gdy równo z północą muzyka ucięła, tańce ustały i rozjeżdżać się zaczęto, starościna upatrywała go wszędzie; szukał go też napróżno pan Łidzki, aż nakoniec i niedoczekawszy się i niedoszukawszy się motyanra córki, musiała się zastąpić jedynym królem Egipskim, a zlorzecząc ochocie, którą sądziła być przyczyną niegrzecznego tego zaniedbania i gorzkie dlań gotując wymówki, odjechała do domu.

Po wieczerzy, a przed podkurkiem, okrzyk radosny całej kompanii we dworku, powitał wchodzącego pana Ludwika.

— A tuś mi pani: kawalerze!... zawołał Porucznik; — ale nie miał już ani czasu, ani humoru do gniewu. Uszczęśliwiony Ludwik dopiętą sposobnością, przemówienia słów kilku do swej ulubionej i zawiązania z nią na nowo ogień serdecznych i zwątpiałej nadziei, uległby pokornie zrzędzie starego przyjaciela, którego teraz tern bardziej pokochał,

gdy śmiejąc się Porucznik z innemi i klepiąc go po ramieniu, rzeki: — no, no, nie gniewam się już, prawdę mówiąc gracki figiel. A jednakże ten psu-brat,— wskazując na pana Łukasza, na wiele się odważał dla twojej przyjaźni: bo gdybym go dopędzii, rozplątałbym jak szczupaka.

— Oho! gdybyś mię pan dopędził! to, bo to, fcyło zatrudno.

— Podziękujcie zresztą oba Heiusi, ona to mię rozbroiła... i niech mię djabli wezmą... zapijmyż tę sprawę.

Podkurek zakończył wieczorynkę, po której, Ludwik owinąwszy Porucznika w futro gospodarza i włożywszy do sań jego własnych, któremi z reduty przyjechał, odwiózł do kwatery za Ostrą-bramą.

XIV.

Otwarcie Trybunału.

IJwódziestu czterech wybranych z powiatów męzów, składało pod przewodnictwem marszałka, z ichże grona wybranego, najwyższy Trybunał w Litwie: naprzemian, wprzód w Mińsku i w Wilnie, potem w Grodnie i w Wilnie mający swe sądy.

Jeszcze by się znalazło kilku przynajmniej sędziwych starców, pamiętających owe czasy i obyczaje, od których my ustne przyjąwszy opowiadania, pi-smem je dziś w trwalsze zamienić chcemy pamiętki.

O zaszczyt przewodniczenia tak wysokiej magistraturze, najmożniejsze w kraju z dostatków i imienia, ubiegały się domy. Wiadomo, że przezydujący raz w niej xiąże, blizki króla pokrewny, własnemu

ojcu dał sześć niedziel wieży, za ukrzywdzenie zagrodowego szlachcica: a gdyby to nawet jak się domyślać można, był tylko umówiony dla przykładu dekret, zagładzony potem sowitem wynagrodzeniem szlachcica, zawsze jednak głos publiczny, rozstawiając czyn ten nadzwyczajny, wyborne wrażenie wywrzeć musiał na liczne w kraju sądownictwa, na krnąbrne prawmm umysły możnowładców, i na popularność i uwielbienie dla imienia urzędnika, poświęcającego najdroższe związki krwi, prawu i niepokalanej cnocie sędziego.

Mikołaj Łopaciński był obrany marszałkiem, mającego się otworzyć naonczas Trybunału w Wilnie. Przybył on kilku tygodniami pierwej i zajął dom swój na końcu Zamkowej ulicy, dziś prawie opustoszały, a rynkiem małym przedzielony od zbitej niedawno razem z Zamkową bramą, sali posiedzeń natenczas Trybunalskich, a za naszej pamięci, Izby Cywilnej.

Folgując wiekowi swemu i zdrowiu pedogłą nadwątlonemu, pan marszałek dla wygodniejszego z apartamentów swoich do izby sądowej przejścia, i korzystając z blizkiego, a przeciwległego położenia obu domów, złączył one wysokim na słupach i krytym kurytarzem, podobnym temu, jaki klasztor panien Zarzecznych z kościołem xięży Bernardynów łączy (*).

Lecz gdy tak się zabezpieczał od wiatrów i chłódów, nie miał równie ostrożności z innego względu na swoje zdrowie. Przybywszy do Wilna pociągnął marszałkowskiego obrusa, i z pańską wytwornością, ochotą i zbytkiem, otworzył dom swój publiczności. Przybycie z kolei każdego deputata kolegi swego, sutym obchodził bankietem: tak, że nim doszło do otwarcia trybunału, prezydent onego, naj-

(*) Prawdziwe.

celniejsza dnia tego figura, leżał w łóżku i nóg pedogrą zbolących ani mógł poruszyć.

Zatem pan Marcin Zaranek pierwszy *ex turno* powiatów deputat, gotował się do zaszczytu zastępowania marszałka.

Nazajutrz więc po środzie popielcowej, wielka liczba karet przejeżdżając przez Zamkową bramę, szykowała się przed katedrą: pieszo brnął tłum już to nabożnych, już ciekawych, na wielką mszę celebrować się mającą przez biskupa, i kazanie najwymowniejszego kaznodziei, mające być nauką i zagraniem sędziów do wypełnienia wysokich ich obowiązków.

W kościele osobną, umyślną naprzeciw ambony ławkę, sutym kobiercem zasianą, zajęli deputaci; otoczyła ich palestra, a publiczność nappełniła świątynię.

Gdy wspaniały obrzęd mszy Św., przedzielony kazaniem, zakończył się, zasiadł pasterz na swoim tronie, a powstałi sędziowie, zrzucili futra, i poważnym krokiem przeszedłszy kratki, zbliżyli się do stołu, na środku prezbiterium ubranego, na którym stał krzyż srebrny, i przy którym kapłan w komż'y, trzymał w rękę rozwartą księgę i z niej przeczytał przysięgę, uroczyście i dobitnie przez każdego powtórzoną.

Po jej wykonaniu wrócili nowi urzędnicy za kratkę i uklękli przy niej rzędem, a biskup zstąpiwszy z tronu, i oblekłszy litą kapę, ukląkł także na stopniach ołtarza, i hymn: »*Te Deum laudamus*« zain-tonował. Liczny kler assistujący nabożeństwu, połączył dobrane głosy ze wspaniałem brzmieniem organu, i piękny ten obrzęd zakończył.

Wyruszone zatem z kościoła. Pan Zaranek, na czele kolegów, wyszedłszy na krużganek, wziął z rąk hajduka, hebanową, złocistem okowaniem ozdobną laskę marszałkowską pana Łopaeińskiego, obejrzał się na cisnącą się do zaszczytu niesienia jej młodzież, i zdeterminowany zapewne piękną postawą i wytworniejszym ubiorem pana Ludwika Do-wiata, jemu onę powierzył.

Pani Starościna z córką, stała natenczas w tłumie wysypującej się publiczności, czekając na swój pojazd; obie więc widziały jak przyjąwszy z ukłonem laskę, pan Ludwik wzniósł ją i dumne swe czoło w górę i wystąpił przed marszałka. Za nim poważne grono deputatów, nie siadając do pojazdów, bo dzień piękny i krótkość przejścia tego nie wymagały, uda-ło się ulicą, między gromadami ciekawego ludu przez cały plac sformowanego, do swej sędowniczej sali. Panna Helena przeprowadzała wzrokiem marszałkowską laskę, a matka życzliwych sobie deputatów liczyła. Tłum też rozpatrywał i podziwiał tę paradę. Świetność strojów, pasy lite, bogate karabele, szpin-ki brylantowe i tym podobne sute ozdoby iskniły się na deputatach i na palestrze; która uważając siebie za członków wielkiego trybunalskiego korpusu, występowała zawsze z równą świetnością do orszaku; w którym jeszcze żadnego nie ujrzałbyś fraka. Strój ten bowiem kusy i opięty, ujmował by natenczas do-stojeństwu urzędników, a powagi i zaufania powsze-chnego kongregacyi prawników, na których mądrych głowach, interesa całej Litwy leżały.

Gdy się orszak zbliżał do arkad domu, pod niemi straż trybunalska uderzyła *werbel* i sprezentowała broń. Nakoniec na górze, woźny w mundur ubrany, z szablą u boku, na wścieżaj otworzył podwoje sali sądowej i pan Zaranek krzesło marszałka, a depu-taci własne, po kolei powiatów zajęli

Pan Ludwik stanął z laską za marszałkiem; taki bowiem był zwyczaj, że na każdej sessyi którykol-

wiek z młodzieży onę piastował. Na skinienie marszałka, woźny tuż stojący, na całe gardło zawołał:

— »Sądy Najjaśniejszego Trybunału W. X. Lite-
»wskiego przywołują się.«

Natenczas zbliżyła się do krtek delegacya młodzi szkolnej, witającej zwykle każdy nowy trybunał. Prowadził ją xiądz prorektor, a składała się z kilku studentów, paniąt, krewnych lub synów deputackich, i z kolei wstępując na adwokacką mównicę, jeden polską, drugi łacińską, wcześniej przez patrów najtęższych oratorów wysmażone, prawili oracye.

A tymczasem między palestrą wszczął się niejaki ruch i zamieszanie; hurmem napadali na siebie wzajemnie, pytając się kto wyznaczony? kto przygotowany do koniecznej od palestry powitalnej mowy? Nikt — zapusty, jak na nieszczęście przed samem rozpoczęciem trybunału przypadłe, odjęły pamięć na ten nieodbity obowiązek palestry:—»Wasan panie »Jauie! Wasan panie Wincenty! Wasan panie re-
»gencie!« od jednego do drugiego rzucali się wszyscy. »Wasan mości Skarbniku!« Skarbnik nasz machnął ręką, ani słuchać niechciał; to nie jego rzecz *ex abrupto* prawić, a jeszcze komplementa. A toż konfuzya ostateczna dla palestry! wołano z cicha, a toż kontempt dla trybunału! a to *Crimen lesae Majestatis!*... Nakoniec okrażono tłumem młodego ale znanego *ex fluida eloquentia* adwokata, pana Mateusza Antonowicza. — Wasan panie Mateuszu!

— Nie mogę — nie przygotowany jestem, trzeba mnie było uprzedzić....

— A na miłość Boga! gadaj! bo zgubisz wszystkich i siebie samego!...

Pan Mateusz spuścił oczy, namyślał się, a wtem go hurmem na mównicę wepchnięto, na której jeszcze miał chwil kilka do namysłu. Bo gdy studenci

ukończyli oracye wprowadzono ich za kratki; deputaci ściskali ich, pieścili, a marszałek do końca sesyi całą delegacyę zatrzymał.

* Pan Antonowicz zarzucił na ramiona wyloty karmazynowego kuntusza i pokręcał kruczego wąsa. Cała palestra otoczyła go kołem, jako w jej imieniu perorować mającego i z niespokojnością trwożyła się, czyli się **HU** uda. Publicum nadstawiło słuch ciekawy; a gdy koło urzędu do porządku wróciło, on poprosiwszy o głos marszałka, tak mówił:

^Najjaśniejszy Trybunale!

»*Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech »świeci mądrość wasza przed cefym światem! Niech sświeci! Boście na to wybrani przez braci waszych, »dostojni szafarze sprawiedliwości świętej, aby w wyrokach waszych, mądrość i cnota jaśniały jak słońce na niebie i oświecały nas, cisnących się *sub mmbra allarum*, pod skrzydła opieki i wspaniałości »waszej! Witam cię zatem Najjaśniejszy areopagu »Litewski! a złożony z mężów godnych zasiadać te »kurulskie, jak owe dawnego Rzymu, krzesła! Wi- »tam was w imieniu najuniżeńszych sług sądu wa- »szego, prześwietnej palestry trybunalskiej, uchyla- »jącej tu czoła swoje (i wszyscy się na te słowa »ukłonili), nie tylko jako przed zwiezchniczą swą »władzą, ale jeszcze i bardziej, jako przed mężami »których zasługi znakomite w kraju, nowem uczczone dostojenstwem, korroborują i dodają lustru nieporównanej dawności prozapii waszej. Bo któż za »przeci wyrazom pisma Św. wskazującym jak na »dłoni rod twój JW., a godny zastępco marszałka... »Gdy bowiem Bóg wszechmocnością swoją świat ten »stwarzał, ~~rzekł~~ dokonywając dzieła: *Et fiat lux!* »i stał się *Zarane!*

»I ty pisarzu trybunalski, głosem kolegów twoich »wybrany na to, abyś nieomylnie zdania ich, w xię- »gi nieśmiertelne wyroków waszych wpisywał, spra- »wiedliwie obok takiego prezydenta usiadłeś: bo gdy

»on stworzenia świata, ty rodem twoim epoki odno-
 »wienia tej ziemi zasięgasz. Twój to protoplasta,
 ^propagator po potopie rodzaju ludzkiego, żeglował
 »w arce; a gdy ta osiadła na wysokim Araracie, po-
 »wiada pismo: *Et primus Noe adoraint Dominum*
y>Deum! I pierwszy Noe był — *Bohomolcem!*

Zadziwienie i zadowolenie powszechne z dowci-
 pnego obrotu mowy, malowało się na twarzach
 wszystkich.

»Lecz czyliż może podolać moja słaba wymowa
 »na wyjaśnienie tak z kolei i uwielbienie wszystkich
 »zanych imion obsiadających dzisiaj ten stół sądo-
 »wniczy. Nie zaiste! Otwórz dzieje, kto chcesz na-
 »uki i przykładu; jedno i drugie najdziesz w ich
 »przodkach, jedno i drugie widzisz w obecnych po-
 tomkach! A zatem powtórzę Najjaśniejszy Trybu-
 nale: *Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech
 uświęci mądrość wasza przed światem! a gdy wszei-
 »fca mądrość od Boga jest; niech więc i wasza bę-
 »dzie bogobojną i sumienną; niech w rozsądzaniu
 sspraw ludzkich tak was prowadzi i ubezpiecza, aby-
 »ście waszą sprawę wygrali natenczas, gdy zażar-
 tym instygatorem na nas, będzie wieczny nieprzy-
 jaciół zbawienia naszego—woźnym, Archanioł z trą-
 »bą—palestrą broniącą nas, patronowie święci. Krzyż,
 »laską marszałkowską—a marszałkiem trybunalskim,
 "Jezus Chrystus Pan nasz i Odkupiciel! *dixi.*«

Powszechny aplauz okrył oratora, sądy odwołano
 na jutro, a pan Zaranek zastępujący i za stołem są-
 dowym i za stołem biesiadniczym marszałka, kole-
 gów, palestrę całą i dzieci z ich przewodnikiem na
 obiad zaprosił.

XV.

Z a b i e g i .

I lerszą z kolei sprawą przypaść mającą w trybu-
 nale, była pana pisarza W. X. L. Aloizego Suli-
 strowskiego, którego przypomną sobie czytelnicy
 Obrazów Litewskich z pamiętników Kwestarza —
 z Karmelitami Głębockimi. Drugą, wnet po niej
 następującą, Starościnej Kapinowieckiej z Dowiata-
 mi. Treść obu już znajoma czytelnikom. Obie zaś
 tak z sobą składne, że wyrok w jednej miał być re-
 gulą do wyroku w drugiej. W jednej bowiem i
 w drugiej szło o dawność ziemską, która odrzucona
 w sprawie pierwszej, dawała wygranę Sulistrow-
 skiemu, ale nie mogła już tem samem być przyjęta
 i w drugiej, a zatem nie broniła zaścianku Dowia-
 tów. Pan Skarbnik zaś, powinien był w pierwszej
 dawność ziemską zbijać, w drugiej utrzymywać. Tru-
 dna nader pozycya!...

Znał dobrze krytyczne swe położenie Skarbnik, i
 niebezpieczeństwo procesu familijnego tak fatalnie
 połączonego. Wprawdzie, salaria spodziewane od pa-
 na Sulistrowskiego, po sto dukatów od wygranego
 tysiąca, przewyższyć we dwoje mogły wartość za-
 ścianku; a Skarbnik dostatki swoje zawsze w głębi
 duszy, za własność familijną uważał, bo żenić się
 nie myślał. Lecz toż samo przywiązanie do imienia

i rodziny swojej, nie dozwalało mu dać się pokonać w interesie, w którym nie tylko fortuna, ale i miłość własna, niewłaściwie wprawdzie, ale zwykle honorem szlacheckim ochrzczone, na szwank wydaną być mogła. Zrzekłby się on już nareszcie plenipotencji pana Pisarza Litewskiego; zwłaszcza, że i szkrupuły xiędza Prokuratora tkwiły mu w pamięci: ale cóż potem? utraciłby tylko jednego z najznajomitszych swoich klientów, a kto inny podjąłby się łatwo zastępstwa i skutek zawsze tenże sam, bo sprawy jedna po drugiej przypaśćby jednak musiały.

Wymknąwszy się zatem z obiadu od pana Zaran-ka, Skarbnik powrócił śpiesznie do swego dworku, i tam jeszcze rozmyślając czas niejaki, a nic nie wymyśliwszy, szedł do klasztoru XX. Trynitarzy do brata, do którego zawsze w twardych okolicznościach na ostateczne consilium zwykł się udawać.

Na stuknięcie zwyczajne do celi, odpowiedział mu łos, który nie bratnim być poznał, rogo, gdy xiędz Augustyn odpowiadał zawsze *intrare*: zastanowiła go ta zmiana i nieco zmięszała. Wszedłszy, zamiast brata, znalazł w celi xiędza Honoryusza, którego znał dobrze, jako bogobojnego i poczciwego zakon- nika; uspokoił się zatem względem swej szkatuły, która mu od pierwszego stuknięcia do drzwi na myśl wpadła.

— Nie znajduję xiędza brata? zapytał.

— Nie, mości skarbniku, nie ma go już w kla- sztorze.

— Jak to mości dobrodzieju? gdzież? czyż broń Bo- że śmierć nagła? Onegdaj się z nim widziałem... i nogi pod nim zadrżały.

— Uchowaj Boże! uspokoj się jegomość. X. Augu- styn zdrów; tylko, że wyjechał od nas, a mnie po- ruczył oddać jegomości oto ten list i szkatułę, któ- rej po jego odjeździe strzegłem jak żrenicy w oku i

teraz w całości oddaję. To mówiąc wysunął ciężką skrzynkę z pod łóżka.

Skarbnik skwapliwie oddarł pieczęć i przebiegał list taki:

»Kochani moi bracia, panie podczaszy i panie ^skarbniku!

»Unikając trybulacyów i dla siebie i dla was mili »bracia, wyjeżdżam z Litwy bez pożegnania się z wa- »mi osobiście; udaję się na Ukrainę z groszem uzbie- ranym z klasztorów naszych tutejszej prowincyi, »a ztamtąd z soeyuszem, który już jest praktyk ta- »kiej peregrynacji, udamy się do Krymu, lub do sa- »mej stolicy barbarzyńców do Konstantynopola, dla »wykupienia z niewoli braci naszych chrześcijan. »Lubo nadziejam się, że Bóg mię swoim miłosier- »dziem zachowa i dozwoli was jeszcze obaczyć, do- »pełniwszy powinności i reguły zakonnej i wotum »mego, które na chwałę jego świętą i na zgładzenie »grzechów moich założyłem. wszakże w niepewności »woli jego o przeznaczeniu mojem, żegnam was »wszwstkiob trzech bracia mili, z waszem potom- »stwem calem; w codziennych modłach moich nigdy »o was nie zapomnę i waszym wzajemnie się pole- »cam. — X. Augustyn Powiat.

«*l'ost scriptum*. Jeżeli nie wrócę, testament, mój »najdziecie u x. prowineyała naszego zakonu. Wa- »spanu panie skarbniku życzę być uważniejszym »w swojej patrocynii: zwłaszcza*— w okoliczności, o »której z sobą mówiliśmy. *Zważaj, że i konstytu- y>cyą*« te dwa wyrazy przekasowano—*respice finem!*

Przeczytawszy ten list skarbnik, *obstupuit*. Stał milczący, zamyślony i wzdychał głęboko!

— Zabierajże jegomości swoją szkatułę, rzekł xiędz Honoryusz.

Skarbnik jakby go nie słyszał, mówił do siebie: będzie-że tam płaczu i szlochów—będzie... *inter nos loquendo*, kto wie czy wróci?...

— Wola Pana Boga mój dobrodzieju! wola Pana Boga!

— Tak, tak, wola Pana Boga! ależ to nasz brat najstarszy!... głowa rodziny... i pokiwał smutnie głową: dziej się więc wola Pana Boga, rzekł nakoniec. Szkatułę przyjm *Reverendissime* w swoją opiekę: czy u brata mego, czy u jegomości dobrodzieja, wszystko to jedno; dozwól czas od czasu nawiedzić się... może jakie nowiny dojdą od niego do klasztoru?

X. Honorusz nie życzył sobie depozytu, lecz nakoniec dał się ubłagać, niechcąc zapewna powiększać i tak już wielkiego zmartwienia pana skarbnika, Ten wracał spieszenie do siebie. Mimo idąc zaszedł do brata podczaszego i oznajmi! odjazd xiędza Augustyna: a zostawując tam smutek i szloch, zaleciwszy także na pociechę stosować się do woli Boskiej, ruszył nie tracąc czasu do pana pisarza litewskiego, który od dni kilku przebywał *incognito*, jako chory, w swoim pałacu na Trockiej ulicy, rzadko przyjmując, a wcale nie oddając wizyt nikomu.

Ktoby uważał obróty tego pana przed tak ważną sprawą, zdziwiłby się, jak mało zadawał sobie fatygi, jak mało przykładał starania ku dopięciu pomyslnego wyroku, zwłaszcza w porównaniu ze starością, której karetę od rana do wieczora na wszystkich ulicach widzieć można było, i której pokoje eo wieczór napełniały się już to deputatami, już to osobami, tym lub owym sposobem wpływać mogącemi na deputatów.

Pan pisarz litewski przyjechał do Wilna tylko dla poratowania zdrowia. *Lejboszyc* i *Szpitznagel* doktorowie wówczas najslawniejsi, odwiedzali go często zalecając dyetę, spokojność i unikanie mroźnego powietrza. Aflidowanych więc tylko przyjmował przyjaciół, w których liczbie było wprawdzie i kilku deputatów, lecz cóż dziwnego być mogło w tój tro-

sqliwości o zdrowie męża tak szerokich kolligacyi i tuk przeważnego znaczenia w Litwie i w Koronie?

Sam marszałek trybunalski, pan Łopaciński, póki był zdrów jeszcze, nawiedził chorego; ale że Sulistrowsey i Łopacińscy w blizkiej są konneksyi, to wszystkim wiadomo było. Wzajemnie, gdy pan Łopaciński się położył, za dozwoleń Lejboszyca, nawiedził go pan pisarz litewski. Forsy więc żadnej ze strony pana Sulistrowskiego nie było widać; i gdy pan skarbnik, który się znalazł na tej chorobie pryncypala, wpuszczany zawsze do gabinetu jego, zachęcał go do starania, mówiąc: »*Inter nos loquendo*» JW. panie dobrodzieju, trzebaby JW. panu widzieć »się z panem Oszmiańskim. z panem Trockim, z panem Lidzkim i t. p.« on pokręcał tylko wąsika, uśmiechał się, i »bądź spokojny panie skarbniku, odspowiadał: weźmiesz swoje kilkaset dukatów.® Skarbnik się uspakajał, bo znał dobrze, że pan pisarz litewski ani próżno, ani nadto i jednego słowa nie powie.

Ten raz jednak, szedł skarbnik nadzwyczaj wzruszony do swego dygnitarza. Odjazd niespodziany X. Augustyna, jego *postscriptum*, dojmowały go żywo, a jeszcze bardziej fatalne zbliżenie się procesów, w których *pro et contra* stawać musiał; i w których wygrana pierwszego, mimo wszelkich, by najzręczniejszych sofizmów prawnych, zapisywać zdawała się przegraną drugiemu. *Nie ma dawności na dług. Nie ma dawności i na posesyę ziemi, niczem nieudowodnioną!* przekładał już na to nieraz panu Sulistrowskiemu: ale ten jak zawsze uśmiechał się tylko. Jednak teraz postanowił go Dowiat zmusić do otwartego odkrycia co myślał, i czy mógł znaleźć środek do pogodzenia trudności, dla których gotów był zrzec się nawet jego plenipotentji:

— Nie ma pana w domu, rzekł mu otwierający apartamenta lokaj, ale wychodząc kazał abym panu oddał tę kartkę.

Na niej tylko było ołówkiem napisano: sproszę na »mnie zaczekać.«

Pokręcił głową skarbnik; to mi człek! pomyślał: zgadł, że przyjdę.

— Do kogoż wyjechał pan pisarz?

— Nie wyjechał, ale wyszedł z jednym tylko hajdukiem; a gdzie? i do kogo? nie wiem.

Skarbnik znowu pomyślał—ha, niechce aby widziano, gdzie jego kareta stoi... to mądrze, a chory to... więc usiadł do cierpliwego oczekiwania; wiedząc dobrze i z doświadczenia, że cierpliwość w interesach tyle częstokroć warta, co i czynna gorliwość, choć na pozór wzajem sobie przeciwne.

W mieszkaniu starościnej, tego wieczoru nie było światła w oknach od ulicy, i lokaj, w przedpokoju każdemu przybywającemu kłamał: »Nie ma pani w domu;« bo w oddzielnym gabinecie była ona na konferencji; z kim? zgadnie zapewna czytelnik,— z panem pisarzem litewskim. Znajomość ich i przyjaźń od Warszawskich jeszcze czasów datowały. Oboje kiedyś młodzi, zdobyli młody dwór Stanisława Augusta, i celowali między płcią swoją, urodą i dowcipem, z tą później różnicą, że pan Sulistrowski dojrzewając w lata, zalety młodzieńca wydoskonił w rozum i powagę obywatelskiego męża, jednając ztąd sobie codzień większy wpływ u dworu i coraz przeważniejsze znaczenie między ziomkami; Starościna przeciwnie, jakeśmy o tem mówili, tracąc z czasem żywsze wdzięki i fortunę, ustąpić musiała świeższym kwiatom, wschodzącym na słonecznej niwie. Zaufana więc w dawne i nieprzerwane nigdy zupełnie stosunki swoje z panem pisarzem, wraz po przy-

byciu jego do Wilna, pragnęła ona widzieć się z nim, i użyć jego influencyi do trybunału, tem skuteczniejszej, że jeden interes drugim się wspierał, jeden drugiego wspomagał. Lecz na bilet zapraszający starościnej, pan Sulistrowski w grzecznym wzajemnym, słabością zdrowia się wymówił, dodając wszelako, że pierwszej chwili polepszenia się użyje na złożenie uszanowania swej dawnej i łaskawej przyjaciółce i kuzynce; było bowiem między nimi niejakie, choć dalekie pokrewieństwo.

Jakoż uprzedzi! on w dniu tym starościnej, że ją odwiedzi wieczorem, jeżeli go przyjąć raczy, bez narażenia jako słabego jeszcze na liczne towarzystwo; co też było i po myśli jej samej.

Oboje zwrócili się myślą do Warszawskich czasów; oboje przypomnieli się młodemi i oboje manierą układną i dworską, toaletą nawet, obudzić urok przypomnienia, i temi sposoby wartość swych postaci, z czasem nadwątloną, opromienić chcieli. Trochę zalotności w kobiecie, trochę dumy w mężczyźnie łączyło się tu z widokami interesu, i oboje na jednostajne myśli nawiodło.

Wytworność i prostota pięknie ubierają i zdobią kobietę wyższego ukształcenia; zbytek i przesada szpecą pustą, choćby najpiękniejszą głowę. Dla tego starościna w skromną czarną axamitną ubrała się suknię, cudnie kibić jej dawniej giętką, dziś wspaśniałą, wydającą: ale na śnieżnej szyi kilka sznurów pięknych pereł z bogatym brylantowym spięciem jaśniało, a na rękę jednym, droga wartością i robotą złota bransoletka w kształcie węża, kilkakroć po czarnym tle się przewijała. W gabinecie srebrny, kilko-ramienny świecznik, rzucał ze stołu promienie na wielkie zwierciadło odbijające powabną jej postać, i był jedyną ozdobą samotnego tego ustronia, przeniesionego jakby ze stołecznych pałaców, na krótki popas ładnej 'kobiety. Pańskie więc tu osta-

tki, sprawdzały przysłowie, przemożnością, nad szlacheckie dostatki.

Pan pisarz litewski także, który na sejmiki między szlachtę występował w kuntuszach i bogatych perskich pasach, do ładnej kobiety, włożył tylko z najcieńszej ciemnej wigoni, bez żadnych ozdób tataratkę; spiął ją soliterem pod szyją, którą cienkim czarnym bławatem obwinął. Ale na piersiach jaśniała mu gwiazda orła białego, świeży dowód uwieńczonej zasługi i łaski monarszej.

Pan Sulistrowski miał lat około pięćdziesięciu, ale był pięknym mężczyzną. Uroda spora, czoło otwarte i myślące, oko czarne, na ustach uśmiech częsty, ale * prawie zawsze trochę szydny i dwóznacznym; pojmujący innych, niedający się pojmować nikomu, a w całej postawie i obliczu rozum i powaga wyraźne i niezaprzeczone. Po uprzejmem wzajemnym powitaniu się, starościna z wdzięcznym spojrzeniem podała rękę gościowi i do gabinetu go wyprowadziła: tam oboje naprzeciw siebie usiedli.

— Jakżem wdzięczna kochanemu panu pisarzowi za tę chwilę, którą mi poświęcać raczysz, — rzekła starościna:—jakże miło mi widzieć pana polepszonego na zdrowiu, bo tego twarz pańska dowodzi i nadto powinnować nowego dowodu zasługi w ojczyźnie, który na piersiach jaśnieje, a o którym ja nie wiedziałam jeszcze.

— Dziękuję starościno dobrodziko, — odrzekł Sulistrowski ze zwyczajnym sobie uśmiechem, — za dobroć pani, a najbardziej za wyraz kochany, którym mię uszczęśliwiasz. To mię przekonywa, że nie wy-

z jej pamięci te chwile, gdy piękna kuzynka moja kasztelanka Troeka, po imieniu nazywała. .. o jakową łaskę i teraz prosiłbym, — dodał całując jej rękę.

— Ach! szczęśliwsze i miłe wspominasz czasy, kochany panie Aloizy, gdy cię tak jak chcesz mam nazywać; ale trudno mi dziś użyć tej samej konfi-

dencyi do wysokiego dygnitarza, która łatwo stosować się mogła niegdyś do młodego i wesołego kuzynka.

' -- Pani żartuje. Dygntarz ten sam, i taki sam życzliwy krewny i przyjaciel pani, co i niegdyś pan Aloizy.

— Wierzę temu,—rzekła wzruszona starościna,— a jednakże jesteś pan szczęśliwą dla mnie zatem excepcją, z tłumu warszawskich przyjaciół, których czas i honory zmieniły dla mnie zupełnie, jak tego doświadczyłam niezbyt dawno

— Wiem o tem nieco,—rzekł Sulistrowski,— i żałuję żem nie był natenczas w Warszawie. Mozeby to inaczej pójść mogło i ukontentowało kochaną kuzynkę. Przynajmniej szczerzą, aniżeli zwykle przy dworach radą, pomógłbym pani.

— O i więcej jak radą, pewna jestem. Wiem ja, panie pisarzu, że cię wysoko konsyderuje dwór, bo zna twój rozum i twoje przymioty. Zna nadto, twoje związki ścisłej przyjaźni z domem Radziwiłłowskim i osobiste, a szczególniejsze zaufanie w tobie xięcia Karola; nakoniec, szerokie tve stosunki po Litwie, a zatem cię potrzebuje i jedna sobie. Zresztą, jeżeli w tym jest interes, to przynajmniej można powiedzieć, ten raz dobrze zrozumiany i ku dobru powszechnemu zwrócony.

Sulistrowski patrzył z niejakim zadziwieniem na to niekobie-e rozumowanie starościnej.

— Bo jakżeby to szczęśliwie było dla kraju,—mówiła ona dalej, — gdyby król polegał zawsze na zdaniach i radach takich mężów, jak ty panie; a nie dopuszczał przystępu do siebie chciwych pochlebców, lub cudzoziemców szarlatanów, którymi się otaczać lubi.

— Przyznaj starościno,—przerwał uśmiechając się po swojemu Sulistrowski, — że w tych pochlebnych dla mnie wyrazach, jeżeli jest trochę prawdy, jest też trochę... i gniewu na Warszawę.

„Vio zaprzeczam temu, i wcale nie zaprzeczam: bo czyż nie mam prawdziwej przyczyny do skargi? Zawiedziono moje, na tylokrotnych przyrzeczeniach oparte nadzieje; upokorzono mię nawet... Widzisz, kochany panie Aloizy, że cobym przed sobą samą ukryć chciała, przed panem objawiam. Wracając z niczem z Warszawy, tam za sobą zostawiłam radość z pozbycia się natrętnej; tu spotkało mię szyderstwo nieprzyjaciół.

Zapłonila się starościna i źrenice jej zwilgotniały.

—Ale obaczmy, — rzekła żywiej, —obaczmy! może pożałują wkrótce tego. Może poznają, że coś przecie znaczymy między ziomkami; że zmiana z zamążpójściem Imienia nie odebrała mi związków rodzinnych: może potrafię przekonać panów radnych, zwłaszcza Litewskich, że przy zręczności jeszcze będę mogła odplacić im.... Dla tego też, chciałam koniecznie widzieć się i otwarcie pomówić z panem. Mamy oboje sprawę w trybunale. Pan swoją wygrasz zapewna; lecz pojmujesz panie pisarzu z tego, com ci powiedziała, jak wiele mi zależy na tern, abym i ja moję wygrała. Mniejsza o ten zaścianek, o który rzecz idzie; dałabym wiele za to, gdyby ten proces nie był zaczęty: może złych rad posłuchałam.... może miałam jeszcze inny powód do zerwania wszelkich stosunków z Dowiatami ..

Pan Sulistrowski uśmiechnął się znowu.

— Bądź co bądź, w stanie jak są rzeczy, muszę, powinnam mieć dekret pomyślny; bo echo tego dekretu odbije się daleko, bo zeń się gdzieś dowiedzą, że zamiary moje chociaż chybiają w Warszawie, ale nie chybiają w Litwie.

Wiem, kochany pisarzu, że przeciwnik mój Dowiat, jest pańskim plenipotentem; wnosić zatem mogę, że obowiązywał pana —

— Jak to pani! — przerwał Sulistrowski, — do czego mię obowiązywał? do instancyi za sobą? O nie! tak ubliżającego mi słowa wyrzec onby nie śmiał i choć-

by śmiał nawet, jabym go nie zniósł. Cóż to? powiedzianoby, że instancyami płacę moich plenipotentów!!!

— Przypuszczając z jego strony tę śmiałość, kochany pisarzu, ja nie ulęklam się tego. Wszakże, niżej wspomniała o Powiatach, pierwiej odkryłam ci moje wszystkie najskrytsze myśli: dowód to przekonania mego, że inniebyś dla nich nie poświęcił i że dopiero moje stosunki i starania własnymi na pomoc dla ranie, pomnożysz i wesprzesz.

Pan Sulistrowski milczał.

Starościna niecierpliwie nań patrząc, dodała: — o tyle przynajmniej, aby procesa nasze... przeciwnych jak mi powiadano... wymagające wyroków... wzajemnie sobie nie szkodziły-

— Kochana starościno, — rzekł nareszcie Sulistrowski, — z całego serca dziękuję ci za zaufanie we mnie, a na dowód mojej wdzięczności i jednostajnej zawsze przyjaźni, przyjm pani otwartość moję, z jaką zdanie moje i rady, w terażniejszym jej kłopotcie oświadczę.

— I owszem, o tę szczerłość bardzo proszę i zupełnie na radach twoich polegać będę.

— Z zabiegów i starań pani około trybunału, — mówił uważnie pan Sulistrowski, — o których wiedziałem, łatwo zgadnąć mogłem, żeś ten interes wzięła do serca, i daruj starościno, myślałem, że kobieca zwykła żądza postawienia na swoim....

— Która i was męczyzn nie opuszcza nigdy, — dokończyła peryodu starościna.

Skłonił głowę pisarz i kończył — więcej niżeli wartość zaścianku wiodła panią do tak upartego procesu. Bo któż zgadnąć mógł, że w nim ukrywa się tajemnica i nadzieja ważniejszych zamiarów, które pomyślnym wyrokiem sprawy tej wsparte być mają? Ale któż pani tak mylną drogę poradził? Jeżeliś sama ją wynalazła, daruj życzliwej otwartości przyjaciela, idąc nią nie trafisz do starostwa....

Starościna jak ogniem spłonęła na te słowa; słuchała jednak w milczeniu.

— Chcesz pani przekonać Warszawę o znakomitości swei przewagi na Litwie, tryumfem nad szlachcicem w trybunale? ależ kochano kuzynko, nie ten można, komu laska trybunalska sprzyja, ale ten, kto laskę daje... — Tu pan Sulistrowski zastanowił się i pokręcił wąsika, i lubo nie powiedział: »tak na przykład jak*ja.« ale starościna odgadła, że to myślał.

— Na sejmikach, starościno, nie na trybunale objawia się wyraźnie przewaga obywatelska, a tam *przeważni, ważni* bywają i wyżej; bo ci wpływać mogą na wybór posłów, to jest sędziów potężniejszego trybunału, przesądzającego częstokroć spory rządzone mi.

— Drugiej sprawy Tyzenhauzowskiej z królem nie będzie; nie wiele" więc obchodzi Warszawę, kto w Wilnie wygrywa lub przegrywa processa. Tu kochana kuzynko", skuteczniejsze byłyby influeneye z góry na dół, niżeli z dołu w górę... a dochodzące tam niekiedy skargi uciskanej szlachty przez panów, nie otwierają dziś im królewskich podwoi; owszem ściślej je przed niemi zaprą. A tak Starościno, wierz prawdziwemu przyjacielowi, z tego względu mylnym jest plan pani; nie tylko nie ułatwi on drogi jej zamiarom, lecz może nawet wywinąć trudności w dobrych chęciach życzliwym pani... dajmy to i mnie samemu... usłużenia jej... w upatrzonej go-dzinie...

Po tein ministeryalnem z przestankami zakończeniu, zamknął Sulistrowski. Starościna spuściwszy oczy, milczała także. — Cóż mi więc radzisz panie Aloizy? rzekła nakoniec podnosząc wzrok.

— Rada moja.—mówił znowu, zwykłym ważącym każdy wyraz obyczajem, — rada moja, kochana Starościno, zależeć będzie od stopnia zaufania, jakie we mnie położysz.

— Zaufanie to, — przerwała Starościna, — powiedziałam już, jest zupełnem i nieograniczonym, a wspartém na gruntownem przekonaniu o rozumie twoim i przyjaźni twej dla mnie.

— I nie pożałujesz tego, kuzynko. Proszę więc, napisz bilet do swego plenipotentą z rozkazem, aby przy zawołaniu twej sprawy, znalazł się zupełnie i bezwarunkowie podług instrukcyi, jaką mu dam naterenczas.

— Jakaż to będzie instrukeya?

— To tylko pani o niej powiem, że nie zepsuje interesu i nie skompromituje pani.

— Jednakże kochany pisarzu, chciałabym wiedzieć...

— Więc mnie nie ufasz kuzynko?

Starościna zamiast odpowiedzi, zbliżyła się do stolika i usiadła do pisania; lecz wzięwszy pióro w rękę, zatrzymała się nagle, wstała i rzekła:

— Jest jeszcze jedna okoliczność między Dowiatami a mną, której pan nie wiesz.

— Wiem, — rzekł uśmiechający się Sulistrowski — wiem!...

— Ach! czegoż pan nie wiesz?

— I ta okoliczność, zależąca zupełnie od wyroków Boskich a nie trybunalskich, nie przeszkadza najmniej pani do pisania biletu.

Starościna więc znowu usiadła, i w kilka minut, bilet niepieczętowany oddała Sulistrowskiemu, który rzucił nań okiem i schował za nadrę.

— Jeszcze jedną mam prośbę do pięknej kuzynki, — rzekł pan pisarz litewski, całując dwornie jej rękę. — Proszę, o zwrot należnego mi długu, któremu, lubo dawność ziemską zaszła, ale gdy pani dawności za prawo uznawać nie chcesz w sprawie z Dowiatami, to pozwolisz, że ja w mojej pretensyi, jej nie ulegnę.

— Cóż to jest? mów kochany pisarzu, bo prawdzi-

wie czy nie pamiętam, czy się nie poczuwam do **ni-**czego.

— Tak to pani? zapomniałaś więc, że niegdyś gdym w ich domu razem z moją żoną dni kilka gościł, odebraliśmy przyrzeczenie wzajemnych odwiedzin?

— A co to, to prawda, to dług nieulegający dawności; gotowam go wypłacić z lichwą i jak najrychlej.

*— Jak najrychlej? a więc jutro kochano kuzynko; droga sanna jeszcze dobra, konie mam na pół drogi rozstawione.

— Intrygancie! zawołała starościna, uderzając go poufale po ramieniu, chcesz mnie oiddalić z Wilna. Lękasz się gadatliwości lub niestałości kobiecej w raz powziętych postanowieniach.

— Cha! cha! cha! rozśmiał się teraz na prawdę Sulistrowski. Lękam się, zgadłaś pani, lękam się gadatliwości, ale męskiej nie kobiecej: lękam się uprzykrzenia dla *pani* nie od *pani*; bo na ileż nudnych *dla czego?* musiałybyś odpowiadać lub milczeć. Ależ wierz mi, kuzynko, nie ten główny powód projektu mego i prośby; bo prócz przyjemności posiadania cię w naszym domu, potrzebujemy jeszcze chwil swobodniejszych, niżby w mieście należeć się mogły, dla pomówienia o ważniejszych sprawach warszawskich, do których nas wiążą i miłe wspomnienia i... nadzieje.

— Czy się one ziszczą? czy zaręczasz mi za to? zapytała z ponętym spojrzeniem starościna.

— Zaręczam... że wszelkich dołożymy usilności.

— Dość mi na tem, jutro rano jadę do Szemetowszczyzny.

— A ja za trzy dni najdalej, ucałuję tam rączki kochanej kuzynki. Ale gdzież jest córeczka pani? Elżunia jeżeli się nie mylę, którą na ręku kiedyś nosił, i którą głos powszechny porównywa w piękności z matką: radbym sam to porównanie uczynił.

— Nie straciłeś nałogu ślicznych słówek, panie Aloizy; dziękuję więc za komplement i za siebie i za córkę; ona dziś cały wieczór przebywa u krewniej mojej, podstoliny Dulskiej.

Sulistrowski znowu pokręcił wąsika i uśmiechając się rzekł: no, no, a jeżeli się tam znajdzie i pan Ludwik Dowiat... wiem, że podstolina przyjaciółką jest całej ich rodziny, a Ludwika podobno matką chrzestną.

— Wiem o tem wszystkim, odpowiedziała starościna; ale Dulska wie dobrze o mojem postanowieniu. Odmawiać zaś jej uwolnienia Elżusi nie mogłam, bo ona ją tak kocha.

— I jest wdową bezdzietną, kończył Sulistrowski, a ma kilkakroć do wolnego szafunku.

Starościna się rozśmiała.

— Ale, kochana kuzynko, miej jeszcze wzgląd i na to, że Skarbnik Dowiat jest jej najzaufanym konsyliarzem i plenipotentem i że pewnie nie kto inny jak on, testament jej pisać będzie, jeżeli już nie pisał.

Starościna zamyśliła się.

— Tak to, tak, mówił Sulistrowski, wikłają się częstokroć rzeczy na tym świecie. Jednakże, kochana kuzynko, splątane motki jedwabiu, wy kobiety łatwo rozwijacie; cierpliwości tylko trochę i rozwagi potrzeba.

— Której od kochanego kuzyna uczyć mi się przyjdzie, rzekła, obaczywszy się z zamyślenia Starościna.

— A więc do Szemetowszczyzny, do Szemetowszczyzny na wszelkie lekcye i wzajemne nauki, rzeki, całując na pożegnanie rękę jej pan pisarz, i również uprzejmie pożegnany, wyszedł.

Pan Skarbnik spokojnie oczekiwał powrotu swego mecenasa. Znalazł na stole dyaryusz jakiegoś sejmku i odczytywał go, niekiedy kręcąc głową, a niekiedy kiwając oną; raz jakby podziwiając mądrość ustaw, a drugi raz użalając się nad ich próżnością.

Nakoniec doczekał pana Sulistrowskiego. Ha! rzekł ten wchodząc i witając Skarbnika, wysiedziałeś tu panie Franciszku więzę: przepraszam. Cóż tam słychać? mówią, że otwarcie trybunału udało się. a szczególnie chwałę elokwencyę pana Antonowicza.

— Kie idzie tu o nowiny JW. panie dobrodzieju; przyszedłem przepowiedzieć panu *synopsis* (*) produktu i planu, jakim jutro będę prowadził obronę sprawy pańskiej; może zechcesz pan posłuchać, a nadto *inter nos loquendo*, jestem w krytycznej pozycji. Jutro sprawa pańska, a po niej nasza___chodziłem na radę do brata mego X. Augustyna, ale ten niespodzianie wyjechał do Turczyzny, *pro redemptione captivorum* (**) stosownie do reguły swojego zakonu.

Pan Sulistrowski zdziwiony ścisnął ramionami.

— Onby misie może dał jaką radę, bo przyznam się JW. panu, że żadnej znaleźć nie mogę. A tak, do pana już się udaję: niech przynajmniej kto inny produkt podług mojego planu, który bez chluby wyśmienitym być miemam, w sprawie pańskiej przed trybunałem odbędzie, aby nie też same usta *pro et contra* mówiły w ciągu kilku godzin.

— O wszystkim się pomyślało, rzekł pan Pisarz klepiąc go poufale po ramieniu. Synopsy twej, i planu słuchać nie będę: zapewna go doskonale ułożyłeś. Ot wolej, przeczytaj ten *cerografik*. I podał mu bilet starościnej.

— Cud Boski! zawołał przeczytawszy Skarbnik. Starościna więc zrzeka się procederu i zaścianku?

(*) Treść krótka; techniczny wyraz w dawem prawnictwie-

(**) Dla wykupienia niewolników.

— Wcale nie, mości Skarbniku.

— A więc jakąż instrukcyę dasz JW. pan jej ple nipotentowi?

— Jutro rano pogadamy o tem; dziś idź do domu śpij spokojnie.

— Wszakże JW. panie, *inter nos loquendo*..,

— *Inter nos loquendo*, chce mi się także spać, wiesz, że niedomagam, więc darujesz, że cię pożegniam. Do jutra, panie Franciszku, dobranoc! i wszedł do swojej sypialni.

Skarbnik postął jeszcze chwil kilka, ścisnął ramionami i nakoniec odszedł.

XVI

Sprawa Pana Pisarza Litewskiego.

Czytelnik wie już po części o treści procesu między panem Sulistrowskim i Karmelitami Głębockimi. Rozpoczął się on był w ziemstwie oszmiańskim. Tam pan Sulistrowski wygrywając, przegrał; tak jak wzajemnie Karmelici przegrywając wygrali (*). Urzędnicy bowiem, chcąc Karmelitom dać sposobność zaspokojenia małym kosztem pretensyi, do kilkakroć sta tysięcy procentami podniesionej, a odjąć panu Pisarzowi powód appellacyi do trybunału, gdzie, jak łatwo przewidzieć można "bjło, wpływ jego mógł wziąć górę nad bogatym bardzo klasztorem; zwłaszcza w czasach, gdy skargi na dostatki zakonów i duchowieństwa zaczynały być w modzie, i gdy świeży upadek Jezuitów i rozbiór ich dóbr między szla-

(*) Cata treść tego procesu prawdziwa.

chęcią, nie jeden dom zubożył. Nakoniec, korzystając z wątpliwości praw o dawności ziemskiej, którą się Karmelici bronili, a która nigdy prawie od rzetelnych długów nie uwalniała; przysądzili panu Sulistrowskiemu kapitał i drugie tyle- (alterum tantum) procentów, z małą kwotą expensów prawnych. Karmelici więc obowiązani byli wypłacić mu tylko, z parę tysięcy dukatów, co niestanowiło nawet ich rocznego dochodu. Ale po ogłoszeniu wyroku, którego mądrość i przezorność powszechnie uznawano, obie prawujące się strony, nie były konteute. Plenipotent pana Sulistrowskiego nie wygrawszy kroci, nie wiedział co począć, w nieobecności zwłaszcza swego mecenasa, który assistencyę osobistą powiatowym subseliom i procesowi wątpliwemu, nie widząc sobie przyzwoitą, -odjechał do dóbr swoich, w Pińskie. Z własnego zaś domysłu żadnym sposobem apelować nie mógł, bo znał roztropność i umiarkowanie pana pisarza, przeciw którym w imieniu jego wykroczyć byłoby gorzej, niż mu przegrać miliony.

Lecz uwolnił go z tego kłopotu X. prokurator. Niewyrozumiały ten pełnomocnik swojego klasztoru, głośno się uskarżał na niesprawiedliwość sądu. Nieobrażeni tem urzędnicy, sprowadzili go owszem do siebie na konferencyę i jasnym wytłumaczeniem przyczyn dekretu, ochraniającego ile można było zakonne fundusze, wstrzymywali go od dalszego procesu. Zdał się on zrazu pojmować życzliwość i mądrość sędziów; ale czy to przewrotne rady, czy własny jego upór sprawił, że na trzeci dzień zaniósł apelacyę, a zatem dał powód plenipotentowi Sulistrowskiego do zaniesienia wzajemnej, (motivo) i na biedę klasztoru, przeniósł proces do trybunału.

Nazajutrz więc, po opisanych tu na przeszłych kartach konferencyach, wcześniej przed rozpoczęciem

się sessyi trybunału, palestra wyższa i niższa, oraz liczna ciekawa publiczność, zgromadziła się do przestronnych izb, przyległych sądowej trybunalskiej sali i do samej sądowej; zajmując połowę jej aż do krutek, za które nikt, prócz zasiadających tam deputatów i przysięgłych regentów przestąpić nie mógł.

— Ważna sprawa! ważna sprawa! mówiono w powszechnym gwarze: próba pierwsza trybunału!

— Cóż tam bardzo ważnego? Sprawa prosta obligowa i nic więcej, odezwał się pan Antonowicz, który od wczorajszego powitania większej między kolegami nabył konsyderacyi. Kiedy chciałeś być obecnym ważnej sprawie, to trzeba było być na kadencyi grodzieńskiej i na sprawie podskarbiego Tyzenhauza z królem!!! Chwalicie moję nieprzygotowaną wymowę; trzeba było słyszeć podskarbiego, gdy wzywał biskupa, oskarżyciela swego, do przysięgi na to", że nie korumpował sędziów! »Pioruny siarczyste! (*) »zawołał on, czemuż nie bijecie w tę infułę! Dwa-dzieścia lat blisko, jak tu się w Grodnie znajduję, a pierwszy raz stawię się w tej izbie, ażebym »pokazał: *Ecce homo et opera ejus!* (**). Ta to ręka, która pisze dla mnie *mane tekel fares* (***)». »Ja przysięgam, Boże mię ubij na duszy i na ciele, jeżeli kiedy korumpowałem świadków lub sędziów. ^Przysięgaj! klękaj! Mości xiężo biskupie!« Włosy na głowie powstały, kiedy piorunującym głosem to wykrzyknawszy, porwał za rękę biskupa i ciągnął przed krucyfix. Zdawało się, że powtórzy się akcyja Bolesława ze Szczepanowskim.

— Oho! ho! ho! daleko temu biskupowi do tamtego, odpowiedziano; a cóż na to Biskup?

— Biskup, nie tak impetycznie, mając wzgląd za-

(*) Dosłownie prawdziwe.

(**) Oto człowiek i czyny jego.

(***) Słowa znajome prorocze dla Baltazara.

pewne na powagę swego stanu, bronił się; a przysięgać musiał.

— Jakiż dekret?

— Daleko o tern rozprawiać, zwłaszcza, że cała Litwa wie o nim. Dziwno, że pytacie? (*).

Wtem zaczęli się zbierać deputaci; dla każdego z nich od drzwi do kratedk szeroko rozstępowała się palestra. Wszedł i pan Skarbnik; asystował mu jeden z młodych aplikantów, niosący papiery pod pachą. Weszli także dwaj Karmelici, to jest prokurator" z socyuszem i skromnie w końcu sali stanęli. A nakoniec przybył i pan Zaranek. Zasiadł trybunał. Zawołano aktorat XX. *Karmelitów* z Pisarzem Litewskim *Sulistroirskim*; bo tu już Karmelici apelujący od dekretu ziemstwa oszmiańskiego byli stroną powodową.

Nie złamał sobie głowy obrońca klasztoru; bo glos jego osnowujący całą obronę na dawności ziemskiej, był tylko sachem powtórzeniem oszmiańskiej w ich sprawie repliki, tu produktem już przemianowanej. Słuchając go pan Skarbnik pokiwał głową i pomyślał: »Nie był ten człowiek na aplikacyi u mego brata X. Augustyna!

Pan Skarbnik, w każdej sprawie, większego, a wątpliwego znaczenia sobie powierzonej, miał zwyczaj dobrze się wprzód namyślać, niżeli przystąpił do pisania głosu: rozważał 011 ją nie tylko pod względem prawnym, lecz i pod względem pozoru, pod jakimby sąd uprzedzić mogła. Nazywał 011 to *prima facies* (**) sprawy. I gdy ta *facies* była dlań pomyślna, zdobił ją i że tak powiem, ubierał w prawne dowody: a gdy przeciwnie nieżyczliwem nań patrzyła okiem, rozdzierał ją natenczas i drapał ostre-

(*) Sprawa ta historyczne ma znaczenie w dziejach tego kraju; tu potoczne tylko znaleźć mogła wspomnienie.

(**) Pierwsze oblicze.

mi argumentami, aby wdzięcznie dla przeciwnika się nie uśmiechała i nie uprzedzała sądu.

Tego trafnego rozważania rzeczy i tej wybornej metody, nauczył się od X. Augustyna, jako wybornego arkanum prawniczego, gdy jeszcze się przy nim aplikował; a uczęszczał potem doń, jakeśmy to widzieli, nie dla poduczenia się procedury, bo w tej sam był mistrzem, ale dla rozpraw niby nawiasem rzucanych, za które chwytając się z nałogu dawny prawnik, rozświetlał ogólną postać procesu, i odkrywał z dziwną przenikliwością owę *facies* jego, o której dokładnym, własnem rozpoznaniu, Skarbnik niekiedy wątpił. Ale gdy X. Augustyn, ta pochodnia mądrości, znikła Skarbnikowi, sam więc dokładnie rozmyślając, skonkludował plany do obu rozpraw, które niefortunnym trafem obok u sądu stanęły.

Sprawa pana Pisarza, myślał on, *prima facie* nie zaleca się. Między zakonnikami i magnatem, to raz—a jeszcze magnatem tak mądrym i tak szerokie mającym wpływy na Litwie a plecy w Warszawie. Cóż za dziw? powić publicum, że ich znękał. Oblig zanadto już dawny—to drugi raz. Wygram wprawdzie, jestem tego pewny... ale któż wie, czy dekret bez rozpisów się obejdzie?., znajdą się skrypulaci... Sąd od pierwszej namowy rozdzielił się na partye... i z naszej przyczyny okrzyczą trybunał na pierwszym wstępie... źle... A więc tu nietylko sąd, ale i publiczność przekonywać trzeba; potrzeba, aby dekret uznano powszechnie sprawiedliwym, a nie sfomentowanym intrygą.

Między nami a panią starościna rzecz się ma inaczej. Tu magnat prześladowuje szlachcica i pragnie mu odebrać odwieczny kawałek ziemi. Publicum krzyknęłoby za nami i intrygi babskie nicby nie pomogły. Ale zawzięty plenipotent jej, ma zapewne nadzieję i cieszy się, jak słyshałem, bo nie umie trzymać języka za zębami, że mojemu własnemu dowodami przeciw Karmelitów użytymi, mnie konfundować

będzie. Dawność mu w głowie, oszuka się... diabelnie oszuka się. Aui w jednej, ani w drugiej sprawie, o dawności nie wspomnę— Owszem, dekretem naszym utwierdzić się powinien dekret Sulistrowskiego... bo też między jedną a drugą, różnica wielka! Tam oczewista i ostateczna rozprawa, nasza akcesoryjna; a jeszcze większa, i którą najdobitniej dowieść należy między papierem i ziemią. Tu sprawa obligowa, tam wieczysta: nie idzie teraz o przyznanie tu jednej albo drugiej stronie własności zaścianku, ale tylko o utrzymanie dekretu ziemstwa wileńskiego, który akta inkwizycji *circa jure possessionis* (*) na miejscu spornem decydował.

Tak osnowywał plany swoje pan Skarbnik i sam się cieszył z tak subtelного rozważania rzeczy. Biegły sternik, zbliżający się do niebezpiecznego nurtu między *Scyllą* i *Charybdą*, doświadczony, wyrachował wszystkie uderzenia fali i wioseł, wszystkie chwile trudnej żeglugi i ułożywszy nakoniec cały onej kierunek, śmiało się puszcza w szumiące prądy; a jednak wołałby on, aby *Scille* od *Charybdy* szersze rozdzielało morze. Tak i pan skarbnik, niech mi łaskawy czytelnik daruje to porównanie, mimo wyborne i mądre plany, z których się cieszył i na których się ubezpieczał, wołałby jednak, aby dwie te sprawy, przynajmniej dwie kadeneje trybunalskie rozdzielały.

Po suchem zatem i na dawności szczególniej opierającym się głosie obrońcy Karmelitów, wystąpił z własnym, Skarbnik, i stosując się do powyższych planów, dwa tylko główne punkta w'nim założył i na nie jedynie uwagę sędziów i publiczności zwrócić i osadzić, że tak powiem, postanowił.

Najprzód, rzeczywistość pożyczki, porównaniem podpisów Korsaka na obligu i na zapisie funduszo-

wym przez Karmelitów złożonym, udowodniając, dołożył nadto pracowitą kwerendę wcześniej przysposobioną, o istnieniu w tamtym czasie w województwie Połockiem, podpisanych na nim pieczętarzy, i piastowaniu przez nich publicznych urzędów, których tytuły do swych nazwisk dołożyli.

Ż nieoddanej pożyczki, wyprowadził potem naturalne następstwo procentów, i wyliczkę ich coroczną do kapitału dołączając, a od tak zwiększonego kapitału licząc znowu procenta, naliczył krocie. Erudycyjno ten-arytmetyczny rozdział głosu pana skarbnika krótkim był, bo przewidywał on niepomyślne wrażenie, jakie *summa summarum* jego, na sędziach i na publiczności uczyni i rzeczywiście uczyniło. Przedłużył go więc tylko uwagami, niweczącemi, a przynajmniej modyfikującemi to wrażenie.

»Nie ja Najjaśniejszy Trybunale! nie ja, wyliczyłem te procenta. Czas je wyliczył i nagromadził; »czas który grosz do grosza przykłada i z maluczkich początków, największe tworzy fortuny, najznakomitsze gromadzi kapitały; czas, który procenta, jako zysk sprawiedliwy, na nowe coraz oddając fruktyfikacye, w przeciagu swym długim, nie »drugie tyle, ale za kilkanaście kilkaset, a przez »kilka oszczędnych pokoleń i kiikakroć oddaje. A więc jak nie byłoby nic do podziwienia, żeby z summy »w owym czasie oddanej, do dnia dzisiejszego mnogie »urosły krocie, tak równie nic dziwnego, że się dziś »o nie dopominamy.«

Po takich uwagach, które oswajały i godziły niejako wszystkich z jego rachunkiem, skarbnik w drugiej części repliki swej, apologią rzetelności zrzęcznie do okoliczności zastosowaną napisał: »Rzetelność, »owa najzacniejsza i najprzedniejsza cnota ojców, •dziadów i pradziadów naszych, mówił on, wyższa »nad wszelkie opisy na papierze bo zapisywana zawsze na sumieniu poczciwych ludzi i temże sumieniem ewinkowaną była. Dług z taką ewikcyą prze-

(*) O prawie posiadania.

»chodził z pokolenia na pokolenia; wypłacały go dzieci
»ci za rodziców, wnukowie i prawnukowie za dzia-
»dów i pradziadów; bo grosz pożyczany, a nieodda-
»ny, nie tylko substancję dłużnika, ale i duszę
*obciążał.«

»I "czyż natośmy dziś, Najjaśniejszy Trybunale
»przyszli, że ta cnota i wiara ma szwank ponieść od
»naś potomków, spernujących przykładami przodków
»naszych? i jeszcze od tych szczególnie, których
^duchowej pieczy, też wiara, cnota i zbawienie na-
»sze oddane? Któż z was sędziowie, kto z obecnych
»tu poczciwych ludzi nie kwapiłby się wykupić, na-
»przykład z niewoli tatarskiej, choćby ostatnim gro-
mem, ojca lub dziada swojego? a przecież daleko
•gorszą, sroższą i dłuższą niewolą niewypłatnemu
•dłużnikowi i niewykupującym go niewdzięcznym
^dziedzicom jego, grozi dług tu na ziemi zaciągnięty,
»o który na tamtym świecie rozliczać się trzeba.
»Oblig wtenczas będzie cerografem na duszę, za któ-
rym skondemnowana ultymarnie pójdzie w niewolę
»czyscową, jakby w tradycję *ad exlinuationem* (*).
»I takimże to więc darem dla duszy swego fundato-
ra i benefaktora, przysługują się XX. Karmelici
»głębccy?...«

Oczy sądu i wszystkich pod wrażeniem tych słów,
zwróciły się na karmelitę stojącego w kącie. Ten
spokojnie oczy w dół spuścił, ale w myśli przekli-
nał swoją apelaację.

Skarbnik, z ukontentowaniem postrzegłszy wpływ
powszechny swego głosu, kilką jeszcze argumenta-
mi jednostajnej z powyższym treści i mocy, takowy
zakończył.

Marszałek miał zawołać do namowy, gdy adwokat
przeciwny zbliżył się do krated i poprosił głosu.
Lecz ocknął się jakby z zamyślenia x. karmelita:

(*). Do wybrania diugu z fortuny, wyraz techniczny.

szybko podszedł do swego obrońcy i usuwając go—
dość! rzekł: a sam wszedł za kratę. Wchodziły tam
niekiedy strony, w takiej stanowczej chwili dla oso-
bistego pokłonu urzędnikom i polecenia się ich spra-
wiedliwości.

Toż samo zdał się chcieć uczynić i karmelita.
Uklonił się on pokornie całemu kołu deputatów, a
przyszedłszy do marszałka i za kolana go uściskaw-
szy, wprzód, nimby mu to zaprzeczonem być mogło,
ujął w obie ręce srebrny krucylix na stole przed
marszałkiem stojący, wznosił go nad swe czoło, po-
tem ucałował gorliwie i znowu na stole postawił.

Obrót ten, z serca czy z namysłu pochodzący,
zwrócił uwagę wszystkich i mógłby być *antidotem*
naprzeciw głosu pana skarbnika, gdyby ten, uwa-
żając baczenie każdy krok xiędza, i to wrażenie po-
wszechne z pocałunku, nie zawołał żalosnym gło-
sem: *Et per osculum traditavit dominum!* (*).
Śmiech się rozległ po sali i zawołano do namowy!

XVII.

Namowa i Dekret,

Jiilkudziesięciu mężów zostawszy sami około sądo-
wego stołu, pierwszy raz spojrzeli na siebie, a na
wszystkich, prezydujący im pan Zaranek. Długa na-
stąpiła cichość i milczenie: nakoniec błędne źrenice
przechodząc z twarzy na twarze, zjednoczyły się ra-
zem na oblicze marszałka i oczekiwały odeń pier-

(*). I pocałunkiem wydał pana.

wszego stówa. Ten znowu świadomy trybu zwyczajnego zbierania zdań sędziów w namowie, bo nie pierwszy to już raz zasiadał w trybunalskim kole, poglądał i oczekiwał na pana Bohomolca, piszącego w wielkiej xiędze. I wszyscy więc do niego się zwrócili: rozumiejący, i może niektórzy dziwiący się w duchu, że się wyrok bez ich decyzji pisze.

Xięga ta, którą zapisywał Bohomolec, był to *Sentencyonaryusz*, w który, w sprawach większego znaczenia, lub zawilszych wątpliwości, na siomowane przez pisarza z treści procesu krótkie i związane zapytania, deputaci zdania swoje, w kilku także słowach z kolei podpisywali. Natenczas to zwykle zaczynały się rozprawy i sprzeczki, przeciągające się czasami tak długo, że gdy prawo nie dozwalało sędziom, ani przysięgłym regentom, przed ogłoszeniem dekretu wyjść z izby sądowej, przynoszono więc tam obiady, wieczerze i pościele, a częstokroć kilka dni i nocy sąd bywał w zamknięciu. Nieraz gdy rozróżnione zdania, w stanowcze sentencye skupić się nie mogły, lub gdy silne wpływy tak ogmatwały sędziów, że nawet w zamkniętem kole sumiennego swego zdania wyznać nie chcieli; wzywano sekretnego *turnum*. To jest: na propozycję w *Sentencyonaryuszu* zapisaną, głosowano w zakryty wazon za parawanem, jak dziś na sejmikach, i próba taka nigdy nie chybiła, zawodząc zawsze nadzieje intrygantów.

Częstokroć najupartsza sprzeczka przy stole sądowym, z zadziwieniem wszystkich, kończyła się sprawiedliwą jednomyślnością w wazonie, na którym zwykle w takim razie i krucyfix ze stołu sądowego przenoszono: bo usta za stołem wspierały uwiedzioną i lękliwą wolę, ręka zaś samotna za parawanem w obec tylko wizerunku Chrystusa, szła koniecznie za głosem sumienia.

Powstał zatem pan Bohomolec i rzekł:

— Trzy w sprawie tej, przezacni koledzy, wyni-

kają zapytania, które, gdy rozwiążemy, dekret kilkanaście tylko zajmie wierszy: *Primo*, czy skasować oblig i pretensję pana Sulistrowskiego do XX. Karmelitów, powodem dawności ziemskiej i ukarać go *expensami* prawnymi? *secundo*, czy utrzymać dekret ziemstwa oszmiańskiego i sądzić na Karmelitach *cum altcro tanto* (*) procentów; a co zatem idzie, ukarać Karmelitów za apelację sześciami niedzielami wieży, na nawiązki, jako dla zakonników zamienionej i *expensami* prawnymi? *tertio*, czy sądzić kapitał z wyliczeniem procentów i rekambiów podług tabeli pana Sulistrowskiego, z dodaniem także *expensów* prawnych.

Znowu milczenie niekrótkie... bo każdy miał tu wewnętrzny rozrachunek. Głos pana skarbnika i argumenta jego, odsłaniające, jakeśmy to wyżej czytali, powód wygranej Sulistrowskiemu tam właśnie, gdzie sędziowie skrupuły i wątpliwość należeć mogli, niemało przykładały się w tej walce sprzecznych myśli do łatwiejszego im układu z sobą samemi, i ustalenia przekonania, że opinia dogadzająca żądaniom pana pisarza litewskiego będzie razem słuszną; że ujmując Karmelitom dóbr świeckich, ujmie się im razem i grzechu zaparcia się cudzej własności; a zatem, że przegrana w interesie ziemskim, w interesie zbawienia ich i Korsaka, pożądaną byćby im powinna. Ze kapitał mały, przez ciąg długiego czasu w krocie urasta... Słowem takie i tym podobne perswazye. wszystkie z głosu pana skarbnika czerpane, godziły większą część sędziów, z ich własnym sumieniem, a dowodziły głębokiej znajomości skarbnika, nie tylko dróg prawnych, ale i tych dróg ukrytych, któremi do serca, a zatem i do przekonania ludzkiego najłatwiej się trafia.

— Sądzić zatem, — odezwał się któryś śmielszy

(*) Drugie tyle.

z deputatów, — sumę z procentami, podług rachunku pana Sulistrowskiego. .

— Sądzić! sądzić! — odezwało się kilku innych, i coraz więcej, i coraz gęściej to słowo powtarzało się: — sądzić! sądzić!

Pan Brasławski, na którego policzkach widać było, że zgwałcił konstytucję obowiązującą sędziów, aby *sane mente* (*) sprawiedliwość świętą szafowali, rzekł stanowczo, powstając i kręcąc zawieszego wąsika. »Stało na tem i skończyło się, mosanie! •popi głęboccy bogaci, stracą milion, drugi im zostanie; a i ten niepotrzebny; przysięgają na ubóstwo, »a opływają w dostatkach. Doliczyć zatem expensa »prawne, nawiązki za więzę i zasądzić okrągło milion! stało na tem i skończyło się.«

— Ale miliona i strona nie żąda, odezwał się pan Zaranek.

— Kie żąda, ale przyjmie mosanie! stało na tem

— Zastanówmy się nadto koledzy, że gdybyśmy odrzucając wzgląd na dawność, rzekł Bohomolec, uznali ważność obliżu i doliczyli tylko zwyczajne od lat tak mnogich procenta, wzrosłaby znakomita już summa. Sądzić zaś od procentów procenta, byłoby to przychyłać się do żądania nadto daleko posuniętego, przez obrońcę prawnego, a niewiadomego, jak mi się zdaje, samemu panu Sulistrowskiemu.

— A mnie się zdaje, odezwał się pan Trocki, że dość będzie utwierdzić mądry dekret ziemstwa oszmiańskiego.

— A, co na to, nie ma zgody, odezwało się kilku, a najgłośniej ów stronnik miliona

— Milion powiadam mosanie: milion i kwita. Stało na tem i skończyło się.

(*) Trzeźwym umysłem; konstytucya ta zakazywała dla tego poobiednich posiedzeń sądom.

— Proszę więc wpisać tu swoje zdanie, rzekł doń pan Bohomolec, podnosząc mu sentencyonarz.

— Na nic — na nic to niepotrzebne mosanie! pisz sam, a regenci niech ci pomagają. Ja decyduję, stanęło na tem,...

— Zacny kolego, rzekł przerywając teu swar Zaranek, uspokoj się i zasiądź tve miejsce. Z porządku i po kolei pytać każdego będziemy o sentencyę: tego wymaga prawo i *decorum* (*) tej najwyższej magistratury.

— Stało na tem mosanie... —mruczał pan Brasławski usiadając spokojnie i poglądając z ukosa na Bohomolca.

Tymczasem niektórzy rozpatrywali papiery i dowody przez skarbnika złożone: inni w cichej między sobą rozmowie, wzajemnie się oświecić i przekonać starali.

Nakoniec rzekł pan Zaranek:—koledzy! przystępuję do zebrania głosów na zapytanie w sentencyonarzu.

Lecz tu gwar powstał daleko większy. Górował wprawdzie nad wszystkimi głos pana Brasławskiego: Milion! milion mosanie, stało na tem i skończyło się. Ale w powszechnym sporze i tym zwawszym, że kilku stale głosowało za utwierdzeniem dekretu oszmiańskiego, Zaranek uważający pilnie, i w milczeniu policzający zdania, ile je w zgiełku wyrozumieć można było, uznał, że większość być się zdaje za utrzymaniem rachunku Dowiata. Uderzając więc laską marszałkowską o stół, eo zjednało chwilowe milczenie: — *W* rozróżnieniu, rzekł, tak niezgodnem i rozmaitem decyzji waszych mości panowie, proponuję z miejsca mojego *turnum*, na każde z osobna ogłaszane pytanie, a większość wotów za którymkolwiek, da nam *conclusum*; lubo smuci

(*) Powaga.

mię to i źle wróży, że pierwszy nasz wyrok od rozterek zaczynamy i ostatecznego tego środka, dowodzącego wzajemnej naszej nieufności użyć musimy.

Nowa ta propozycja wielką liczbę głosów zjednoczyła — Prosimy o *turnum*, panie marszałku, prosimy! ozwało się kilkunastu.

Ale kilku przeciwnie i stanowczo odpowiedziało. — Nie! nie mości marszałku; *turnum* sekretne, tylko jednomyślnie przyjętem być może, a my się na to nie zgadzamy i wotować nie będziemy. Ztąd jeszcze większy wszczął się zgiełk i niezgoda; której nie mogąc uspokoić pan Zaranek, upatrzył chwilę powszechnego zamieszania i szepnął słów kilka jednemu z regentów na ucho; ten niepostrzeżony wymknął się tylnymi drzwiami z sali —

Wśród trwającego i zwiększającego się nawet co chwilę gwaru i sprzeczek, odemknęły się niespodzianie na wścieżaj drzwi od korytarza zbudowanego, jakżeśmy to wyżej opisali, przez pana Łopacińskiego, a łączącego mieszkanie jego z izbą sądową (*), i dwóch hajduków wciągnęło do sali w krzesła, na wpót-leżącegd marszałka.

Zdumieli się wszyscy i umilkli na ten nieoczekiwany widok. On skinął ręką na hajduków i ci usunęli "się za drzwi. Podeszła wiekiem, a cierpieniem udręczona twarz jego, nie straciła jednak szlachetności i powagi, właściwej jego wysokiemu dostojęństwu. Włos biały spadał mu niedbale na wysokie i otwarte czoło, a oko czarne i pełne, wkrótce jednak wiecznie zawrzeć się mające, łąz się zaćmiło, gdy wyciągając rękę ku zdumionej gromadzie, rzekł ła-

(*) Cała treść proceduru tego i ta ostatnia scena jego, jest prawdziwa.

godnym i spokojnym, a razem uroczystym głosem: »koledzy! *moriturus vos salutat*W (*)».

Wszyscy się razem do uściśnienia ręki tej rzucili. Radość z oglądania dostojnego swego przewodnika, miarkowała się wprawdzie tem jego smutnem powitanie, i dla tego huczny nie wybuchnęła okrzykiem. Wszakże tem czulsza i głębsza ogarnęła serca wszystkich i tkliwą a przychylną troskliwością okraśliła wszystkie oblicza.

— Bóg cię podźwignie, kochany nasz marszałku. Będziemy wszyscy modlić się za twoje zdrowie! Jeszcze ozdobisz nasz litewski Trybunał! tak każdy swoje życzenia i nadzieje dokładał.

— Kochani koledzy! Kochani ziomkowie! dziękuję wam za życzliwość i przyjaźń waszą, rzekł Łopaciński: ale gotujcie raczej modły wasze wkrótce za moje zbawienie... bo na przywrócenie mi zdrowia cudu chyba potrzeba; a osłódźcie raczej ostatnie godziny moje, miłą w okrótnych boleściach pociechą i przekonaniem, że pod mojem imieniem, niestety! nie przewodnictwem, rozpoczynający się Trybunał/sprawiedliwością bezstronną, nieuległą i jednomyślnością słynąć będzie. Dajcie mi tę przy zgonie pociechę, koledzy moi! Słaby t cierpiący srodze, kazałem się tu zawieźć: bo póki jeszcze żyję i ostatnią chwilę moję poświęcić powinienem obowiązkom moim... tak mi każe sumienie, tak wzgląd na sławę imienia mego, związanego na zawsze ze wspomnieniem tego Trybunału.

Pod łaską Łopacińskiego, Trybunał, powiedzą kiedyś potomni, źle się zaczął: niezgodny w zdaniach, niesprawiedliwy w wyrokach! ach słusznie dodać będą mogli — i to Łopacińskiego dobiło!...

Wszyscy w milczeniu i oczy ku ziemi spuściwszy, słuchali tych wyrazów.

(*) Umierający was pozdrawia.

— Od pierwszego kroku waszego, koledzy, mówił on dalej, od pierwszego waszego dekretu, dekret O was napiszą Bóg i ludzie; a mnie ten dekret najpierw dojmie przed Bogiem, najsrożej zhańbi przed ludźmi; bom ja pokrewny pisarza litewskiego. Powiedzą zatem, żeście mojemu wpływowi ulegli, że na śmiertelnej pościeli byt jeszcze intrygantem; a przecież jako krewny i przyjaciel jego, oświadczam wam i najmocniej zapewniam, że on od was niesprawiedliwości nie żąda, że on dobre swe imię nad miliony ceni....

A więc koledzy!...

— A więc marszałku, sam decyduj w tej sprawie, odezwało się kilku, a za nimi wszyscy. Zgadzą się na twoje zdanie! zgadzamy się! okrzyknięto.

Łopaciński zamilkł, zmęczony długą mową swoją, i żywszem uczuciem jakie w sobie obudził. Oparł czoło na dłoń; lecz wzniosłszy je po chwili łagodniejsze i tkliwsze, rzekł:—Dziękuję wam, koledzy! dziękuję z całego serca. Zaufanie to wasze, sił i zdrowia mi przedłuża; cieszy mnie, i ulży ostatnie moje godziny. Podawał on, to mówiąc, rękę każdemu, uściskaną przez każdego czule.

— Nie słuchałem tej sprawy, przedłużał potem, więc radzić wam tylko, nie decydować mogę, lubo wiem dokładnie treść onej. Powiedzcie mi zatem na przód, czy sumiennie przekonani jesteście, że karta, na którą Sulistrowski żąda wskazu na Karmelitach jest sprawiedliwą i niezaprzeczoną?

— Przynajmniej odpowiedział Zaranek, Karmelicy nic takiego naprzeciw rzej nie złożyli, ani okazali, coby ją w wątpliwość podać mogło, a niweczyć dowody Sulistrowskiego. Więc jako sędziowie na tychże dowodach mający opierać nasz wyrok, nie na domysłach wspierających dawność, którą się zasłaniają Karmelicy, a która raz uznana, dałaby pieniąctwu nową tarczę naprzeciw wszelkim sprawiedliwym po-

szukiwaniom; możemy i musimy nawet uznać należność dla Sulistrowskiego, tak mi się przynajmniej zdaje; jakże, koledzy?

— Prawda! prawda! zgoda! odezwało się całe zgromadzenie, ale wieleż sądzić?

— Gdy tak jest—decyzję moję, a raczej radę moję łatwo zgadniecie. Z żądań i rachunków obrońcy Sulistrowskiego, odrzućcie to, co tam zapędna gorliwość jurysty, i nadzieja zysku w miarę wygranej wpisała... resztę wam rozum i sumienie niech dyktuje... Siły mię opuszczają—darujcie — Żegnam was!... Niech Bóg błogosławi sądy wasze!.. Koledzy! przyjaciele!. jeżeli kiedy niezgoda lub intryga wejdzie między was, zakłóci wasze namowy, pokalać zechce wasze wyroki, przypomnijcie mnie! Wspomnijcie na tę moję chwilę, między wami ostatnią... i pomyślcie, że duszą i po zgonie z wami obecny wasz marszałek, błaga was o jedność, sprawiedliwość, staropolską poczciwość i cnotę!...

Łzy rześiste potoczyły się po licach dostojnego starca i przecięły coraz słabiejącą mowę jego, i również potoki rosły twarze prawie wszystkich obecnych. Na znak dany chorego, zawołano hajduków; ci zawrócili krzesło, za którym rzucili się wszyscy tłumem do uściśnienia raz jeszcze ręki oddalającego się swego marszałka. Ten na wpół zemdlony, gęstemi jeszcze łzami i smutnem skinieniem czoła, odbierał i oddawał te tkliwe, a jak sam przepowiedział, ostatnie niestety! pożegnanie wielbiących go kolegów, którzy w kilka dni potem, szli smutni za jego pogrzebowym wozem.

Nie wiedziano za drzwiami sądowemi, co się działo wewnątrz: bo gałerya którą przybył i oddalił się Łopaciński krytą i opierzoną była. Dziwiono się jednak i szukano przyczyny, dla czego wrzawa w namowie tak huczno słyszeć się dająca, ustała nagle, a wnioski ztąd i wróżby, przerwało otwarcie wkrót-

ce izby i odczytanie dekretu, którym zasądzono dla Sulistrowskiego kapitał z procentami, z odrzuceniem naliczeń pana Skarbnika.

Wnet zawołano aktorat pana Starosty Kapinowieckiego z Dowiatami.

Wystąpił więc na czoło palestry znajomy już nam, opasły plenipotent Starościnej, lecz go pociągnął z tyłu za wylot od kontusza pan Skarbnik i odprowadziwszy z tłumu w kąt, dał w rękę bilet aktorki jego, z nadpisem pana Sulistrowskiego.

— Jak to? zawołał on przebiegłszy pismo — zapisać aktorat na ugodzie?

— A tak na ugodzie, odpowiedział spokojnie Skarbnik.

— Nie pozwolę na to: to intryga—

— *Inter nos laquendo*, daj Boże taką intrygę, która do ugody prowadzi; pod takim względem i wasanu dobrodziejowi intrygantem być życzę... Jakkolwiek to jest, nie możesz jegomość *irytować* sprawy, którą aktorowie sami wstrzymać pragną.

— Biegnę do Starościnej; proszę tymczasem nie kondemnować, bo stawamy — wnet wracam.

— Poczekaj, mój dobrodziej, rzekł Skarbnik wstrzymując go: *inter nos loquendo* za daleka wędrówka. Pani Starościna dziś *summo mane* (*) wyjechała do Szemetowszczyzny, do jaśnie wielmożnego pisarza Litewskiego.

— Nie może być; wczora około zachodu słońca widziałem się z nią, nic mi o tem nie mówiła.

— Ale po zachodzie słońca inaczej się stało... a dziś o wschodzie, już była na Potockim trakcie, upewniam honorem jegomością.

(*) Bardzo rano.

— Pan plenipotent otarł z potu czoło, i spuścił je ku ziemi.

— Do *komparycyi* (*) zawołał znowu woźny.

Natenczas szedł on za Skarbnikiem ze smutną miną i oba sprawę na ugodzie zapisali.

XVIII.

Szenietowszczyzna.

Piękną jest szeroka Litwa nasza (**)! zawołałem ja w serdecznym a głębokim uczuciu przywiązania do ziemi ojczystej, i w rozważeniu piękności, jakimi Bóg ją obdarzył!!!... Oh! któż bo nie kocha kraju w którym się urodził? gdzie spoczywają prochy naddziadów i rodziców jego, gdzie każda stopa ziemi uroczę mu i miłe przywodzi wspomnienia, w których obłąkana myśl jego, przepływa cicho i spokojnie, kojąc natrętne troski życia, lub gorzkie serca cierpienia!...

Lecz te tkliwe, pełne słodkiego rozrzewnienia uczucia, nie zależą bynajmniej ani się wzbudzają, wspaniałemi ani pięknemi krajobrazami, zdobiącemi ziemię. Pod niską strzechą, którą dla ciebie dziadek twój zbudował; w ogródku wiejskim, w⁷ którym cię nianka do gałązki gronem rumianych wiszeń bogatej, podnosiła; na małej łączce, na którejś między kopami wonnego sianka biegał; na jakiejś samotnej drożynie, gdzie twe młodzieńcze snułeś ideały, miłość ta obudzi się w duszy twej, w duszy każdego poczi-

(*) Do stawania u Sądu. Wyraz techniczny sądowy.

(**) Brzegi Wilji.

wego człowieka. Ogarnie go w czułe, że tak powiem, objęcia, jak matka ukochane dzieci; utulać go będzie i pieścić, tkliwymi łzami obleje mu lica. Ach! oddalonemu, tęsknotą jak kamieniem, ciężcyć będzie na sercu!...

Miejsca takie, są to miłe dziedziny rokoszy, wydzielane częstkami dla ludzi, do codziennej dla nich pociechy, do samotnego, a słodkiego pokarmu duszy. Ale dla jej wyższego wzniesienia, dla jej swobodnego polotu w niebiosa, Bóg sam zda się poznaczał miejsca na globie, na które wstąpiwszy człowiek, czuje się dostojniejszym dziełem rąk jego. Mysi wzniosłą ku niemu rozwija, poznaje go i wielbi w pięknościach i doskonałościach natury i oddycha piersią przepelnioną rzeźwem życiem oblewającym go do koła. W takie wspaniałe miejsca, bogatą jest Litwa nasza...

Przed wieki, cała pokryta i zarosła lasami, w dziekiej swej i ponurej piękności, mocarzem swoim pasującym się dzielnie ze srogimi żubry, odkrywała ona codzien nowe i coraz piękniejsze miejsca, na twierdze i grody, na gmachy dla nich samych, na bałwochwalcze świątynie ich bogom!... Dziś otwart-sza i roztrzebiona kraina, w połączeniu pozostałych leśnych obszarów i niw żyznym urodzajem okrytych i siół i dworów tu i ówdzie rozrzuconych, i rzek i jezior ruchomemi zwierciadłami wyściełających ziemię — przedstawia nader częste widoki i krajobrazy, zachwycającej piękności, szczytnego rozmiaru, lub niewymownego wdzięku.

Zalecać je i wskazywać szczególnie ziomkom, byłoby to wprawdzie ofiarować im obfite źródła i środki najprzyjemniejszych uczuć i wrażeń; byłoby to może zwracać pożytecznie, cele ich obcych wędrówek ku rodzinnym okolicom: lecz byłoby to puścić się na niezliczone ustępy i odnogi od głównego przedmiotu dzieła, a zawsze być przewodnikiem niedostatecznym po ścieżkach, na których miłość swej

ziemi, dobra wola, i czułe serce, jedynie przewodniczyć powinny.

Tę więc tylko okolicę, do której scena mej powieści przenosi się, jedną z piękniejszych w Litwie, i należąca do takich, które mi powyższy ustęp natchnęły, wprowadzam na widok czytelnikom, z których nie jeden, albo ją przypomni, albo ją pozna kiedyś, jeżeli go szczęśliwe zdarzenie, zaprowadzi gościem w te strony.

Jest o mii kilkanaście na północ Wilna (*) Jezioro, Swirskiem od starożytnego miasteczka Świru, nad jego brzegami położonego i od xiążęcego Świrskich rodu, tu swą dzielnicę mającego, zwane. Ma ono podobieństwo do wielkiej rzeki, bo milę szerokie, na dwie wzdłuż się rozlewa; i podróżny, złudzony jego formą, jakby po brzegu, jakiej litewskiej Delawary postępuje. Wysokie wzgórza, to ciemnymi bory, to krzewistą leszczyną porosłe, to nagie i ogromnemi głazami granitu orzucane, okrążają go: a z każdego, całą okolicę, w coraz nowym obejmiesz obrazie.

Z jednego, dojrzysz w oddaleniu trzy krzyże na obu krańcach i nad średnicą jeziora, na wieżach trzech kościołów w borach ukrytych wynoszące się i błogosławić zdające się okolicom, nad którymi górują. Pod jednym z nich modlił się niegdyś w Swirskim kościele Batory, gdy się na północną wojnę wyprawiał. Na innym gdy staniesz, znika z przed wzroku, jak teatralna dekoracya, zasłona wiecznej zieloności borowej, i same gmachy kościelne (**) jaśnieją odbitem po białych murach i po długich oknach, słonecznym, lub jeszcze milszym, gdy na nie w wieczór poglądasz, xiężyca promieniem. Zmień je-

(*) Świr, Zaświrz, Wiszniew.

(**) W powiecie Swirskim.

szcze pagórek, a ujrysz okolone zielonemi ogrody, w ich ęjeniu i wdzięku bielejące się murowane gmachy, lub mieszczące się rokosznie domy i budowle (*) dziedziców umiających użyć dostatku, na ozdobę swych siedlisk i kraju. Dalej rzędem poszykowane wsie długie, lub samotne zaścianki, wesołe obiegają trzody i pracowity oborywa chłopiek, a u nóg twych rozległa szyba wodna, po której lekkiem kołysane falami, lotne ślizgają się łodzie, niosąc każda rybaka i jego fortunę. Zbłąkane za nami oko, tonie natenczas w głębiach, lub się gubi w odległym horyzoncie, a myśl w nieograniczonej przestrzeni.

Gzernże piękniejsze są jeziora szkockie? czem powabniejsze ich brzegi? A przecież ziomek czytając Walter-Scotta, z zapałem i upragnieniem nad nimi się unosi, a oziębłe patrzy na własne... Ach! różnica nie w naturze, wszędzie uroczej, ale w talencie autora i w poniewierce, chwała Bogu już codziennie nękanej, wszystkiego co ojczyste, co swoje...

Wśród borów rozszerzających się od jeziora Świrskiego. leży Szemetowszczyzna, majątność od starożytnego litewskiego rodu Szemiotów przed wieki założona i nazwana, a w kolei lat do różnych znakomitych imion tutejszych przechodząca. Była ona niegdyś własnością Zenowiczów, potem Przedzieckich, nakoniec przeszła do Sulistrowskich; i dziedzicem jej był właśnie pan Aloizy Sulistrowski, Pisarz wielki Litewski, jak w czasie kadencji trybunalskiej wyżej opisanej, tak i w pół roku po niej.

Pół roku te przeminęło martwo i dla processu i dla romansu, będących treścią mojej powieści. Pierwszy zawieszony na ugodzie niby, drugi na rozwodzie niby; lecz i ugoda i rozwód, nie dały sobie jeszcze ostatniego słowa. Pierwsza, pajęczą tylko jakby nicią spojona, chwiała się też jak pajęczyna

(*) Wiszuiew, Dobrowlany, Bolków.

od każdego powiewu humoru Starościnej, poddmuchniętego namowami plenipotenty, i zerwałaby się może, gdyby nie wzgląd na pana Sulistrowskiego. Drugi, rozdzielił wprawdzie skłonne ku sobie serca; ale te jak dwa rozdjęte magnesy, nieprzerwanie ku sobie się zwracając, stałą miłością, jak niewidomym płynem magnetycznym się łączyły.

XIX.

Znowu Xiąże Radziwiłł.

Panie Kochanku.

Jrodjęta z grobu i zapomnienia postać tego ukochanego niegdyś w Litwie męża, nader często wychodzi na jaw w dzisiejszym powieścio-pisarstwie naszym. Ula czego? nie dla anegdot jego pewnie, które lubo mają wszystkie cechę dowcipu i prawdziwie narodowego naszego humoru, lubo prawie w każdej z nich jest ślad znajomości zwyczajów, podań i obyczajów ówczesnych; wszakże służyłby tylko one mogły na rozweselenie domowej jakiej gromadki, przypominającej dawne czasy, ale nie na treść do dzieł poważniejszych. Nie dla opisów wspaniałości dworu jego i pańskiej jego hojności, bo w tera mu, kilku przynajmniej bogaczów polskich wyrównywało, a wielu się doń zbliżało. Lecz że wszystkie razem przymioty, skłonności, cnoty, wady, i śmieszności nawet w nim zjednoczone i*uosobione, czyniły go, że tak powiem symbolem nękającego już natenczas narodowego charakteru, i w ostatnim prawdziwego polskiego

możnowładcy obrazem; w którego *państwie* było *szlachectwo*, to jest: zacność szlachecka, miłość braterska powszechna i głębokie do wiary przodków, a nawet do ich przesądów przywiązanie! — Dla tego w szerzącej się naówczas u nas obczyźnie, gdy z nią razem wchodzący do kraju egoizm, rozłączał panów od szlachty i zamykał przed nią bramy ich pałaców, zamek Nieświeżski stał otworem dla braci, dając nietylko dla ich osób, ale i dla ich zwyczajów" i dla ich starzejących się pojęć, przytułek.

Pod takim względem, nad którym rozszerzać się nie będziemy, uważany książę Karol Radziwiłł, prócz wypadków politycznych życia jego, będzie zawsze historyczną postacią, która nieraz się jeszcze powtórzy. jako i powtarza w powieściach i obrazach, mających treścią tamtoczesne dzieje i starcie się na głowach ojców naszych, dwóch przeciwnych sił moralnego ich ukształcenia.

Dowiół tego z niezrównanym talentem autor Pamiętników Starego Szlachcica. Zna on najdokładniej, właśnie pod względem wyżej dotkniętym, wiek tamten i przedstawiciela w nim cnót staroświeckich Radziwiłła, i napisał nieśmiertelny pomnik nietylko jego pamięci, lecz i własnej między ziomkami sławy.

Podczas bytności króla Stanisława Augusta w Nieświżu, gdy się cała rozjechała szlachta, gromadnie jakby na wybór nowego pana, przez Radziwiłła zgromadzona "i hojnie podejmowana (*), pozostały ze znakomitszemi gośćmi Sulistrowski, pod którego wspólnem z Michałem Chodźką wojskim oszmiańskim przewodnictwem, szedł powiat oszmiański do Nie-

(*) Znajomym jest powszechnie opis nader suchy bytności tej króla w Tsieświu, podobno przez towarzyszącego mu tam X. Naruszewicza.

świeża; przyjaciół domu Radziwiłłów, a szacowany szczególnie dla swych przymiotów i rozumu od księcia Karola, umyślił zaprosić go do Szemiotowszczyzny i wyprawić mu przyjęcie wspaniałe, w którym Radziwiłł króla, a Sulistrowski Radziwiłła mógł powtórzyć.

Jednego więc ranku, gdy książę otoczony przyjaciółmi, w najlepszym będąc humorze, prowadził rozmowę, niełatwo wyczerpnąć się mogącą, o festynach, oracyach, illuminacyach; o sławnym fajerwerku na stawach Sieświeżskich, przedstawującym atak Gibraltaru; o polowaniu, na którym, nadzwyczajny osiłek pan generał Judycki stojąc blisko altany, na której był król, biegnącego niedźwiedzia przebił oszczepem (*) osadził na ziemi i krzyknął: »Strzelaj królu!« Dowód takiej siły zadziwił monarchę i wszystkich; nie strzelał jednak król, bo się lękał niebezpiecznego strzału do zwierza pasującego się z Judyckim; dobił go więc w łeb z pistoletu obok stojący Czechowicz, a król ranił innego niedźwiedzia, drugą linią napędzonego na altanę.

Każdy z obecnych przyrzuczał to uwagi, to anegdota do powszechnej rozmowy. Lecz gdy która z nich zakrawała wprost lub ubocznie na ubliżenie Królowi, gdy się wymknął komu z ust *Pan Stolnik (**)*, książę spozierał z podełba z nieukontentowaniem i niewczesne żarty karciał, mówiąc z niejaką nadzwyczajną powagą: »Panie Kochanku! Radziwiłł przyjął mowa Króla Polskiego!... trzeba to wiedzieć i »znać panie kochanku!«

— Tak, mości książę. rzekł Sulistrowski, i przyjęcie to godnem było i gościa i gospodarza, i Radziwiłła i Króla!... Lecz czy nie raczyłybyś *W. X.* Mość do-

(*) Prawdziwe.

(**) Tak tytułowali Stanisława Augusta, niechętni jemu, gdyż przed wstąpieniem na tron miał tytuł stolnika litewskiego.

świadczyć i widzieć, jak szlachcic przyjmuje ukochanego od wszystkich obywatela?

— Co się to ma znaczyć, panie Aloizy?

— To się ma znaczyć, Mości xiąże, że umyśliłem prosić W. X. Mości, abyś mnie raczył uszczęśliwić bytnością swoją u mnie w Szemiotowszczyźnie, wybrawszy na to podług swej woli czas; ale jednak niedaleki, aby się nam na pańskiej obietnicy nie skończyło. Powiadam, Mości xiąże, *nam*, bo prośbę tę wnoszę nie tylko od siebie, ale i od całego powiatu oszmiańskiego, który w sowitym poczęcie stał się na rozkaz W. X. Mości w gościnę do Nieświeża. Raczeń W. X. Mość być u nich wzajemnie gościem, na dowód, że jak powiadasz xiąże, kochasz Oszmiańczuków.

— Panie kochanku, rzekł pomyśliwszy nieco i pokręcając węża xiąże; radbym to z duszy uczynił i tobie, panie Aloizy i braciom Oszmiańczukom złożył moje homagium... ale... ale jesień....

— I polowanie, Mości xiąże, przerwał Sulistrowski. A długoż to będą niedźwiedzie i losie w puszczy Żuprańskiej czekać na swego pana?

— A wielkaż to puszcza panie kochanku?

Sulistrowski pokiwał głową, myśląc w duchu: mój Boże! nie wie, czy wielka jego puszcza Żuprańska? — Włok kilkaset, odpowiedział, i właśnie jej to wychowance dostarczają uczniów do sławnej akademii Smorgońskiej. Prócz tego, obejrzyś jeszcze xiąże. obszerne swoje dobra tamtejsze: Zuprany, Nowosiołki, Smurgonie, których nawet w tytułach W. X. Mości nie ma, a które niemniej warte są oblicza i oka pańskiego.

— Dobrze to bardzo i wdzięcznym sercem przyjmuję nareszcie obligację twoją, kochany panie Aloizy. Wiem, żeś mój i domu mojego przyjaciel; wiem, że i substaneja twoja, chwała Bogu nie uboga. Ale pomiarkuj się: mnie przyjęcie króla, kosztowało więcej miliona i król podarował mi *janczarkę*, więc

cóż ja ci dać mogę? chyba *kasselkę* (*) jaką, panie kochanku (**).

— Podarujesz rai W. X. Mość więcej aniżeli warte są wszystkie dary królewskie, odrzekł Sulistrowski, łącząc w swej mowie i układność dworską i szczerą przychylność dla xięcia, wdziękiem głosu i całego oblicza wydającą się: podarujesz mi W. X. Mość najdroższe i najchlubniejsze wspomnienie, które do najdalszych moich przejdzie potomków' wspomnienie bytności Radziwiłła w moim domu.

— Panie Aloizy, rzekł wzruszony xiąże. ściskając rękę Sulistrowskiego; będę, będę w Szemiotowszczyźnie i to nie dalej, jak za kilka tygodni. *Verbum nobile!* panie kochanku.

In gratiam tej solennej obietnicy, wesołość i xięcia i całej kompanii się podwoiła. Uderzono zatem w kielichy i dzień zakończył się staroświeckim, *kochajmy się*.

-o o-

XX.

Podróż Pańska.

rowiadają, że xiąże Hiszpański *di Medina Celi*, mógł przejechać całą Hiszpanię, nie nocując nigdy

(*) Prawdziwe.

(**) Stanisław August opatrując skarbiec i zbrojownię Nieświeżską, bogatą natenczas w oręża starożytne, darował do tego zbioru janczarkę Jana III. Jaka szkoda, *ie* dziejopis tój bytności króla w Nieświeżu, nie opisał tego zbioru, przedstawionego natenczas w całym swym bogactwie, a który potem roztyrał się marnie.

ani na cudzej ziemi, aui w cudzym domu. Toż samo możnaby powiedzieć o Radziwiile podróżującym po Litwie." Mnogie i obszerne dobra jego, w największej dziś części przeszły w różne szlacheckie imiona; a prawie na każdej takiej części, wzrósł dostatni pan i siedzi wygodnie, zbudowawszy sobie jakby dom porządny i ruin potężnego gmachu. Xiąże Karol, lubo pozbawiony już wielkiej części dóbr swoich, mógł jeszcze od Niemna ku Dźwinie i od Niemna ku Wiśle podróżując, nocować prawie zawsze jak ów Grand hiszpański na swojej ziemi. Podróż jego, gdy jeszcze do nich i myśliwstwo się łączyło, szły obozowym taborem.

Najprzód z każdego noclegu, z kilkunastu konnymi wyprawowali się stanowniczy, marszałek i łowczy. Pierwszy znacząc za sobą wiązki słomy drogę, gdy ta na manowce schodziła obierał i zajmował kwatery. Miasteczka i wsie rade były gościom, po których zawsze znaczna gotówka zostawała. Marszałek przyspasabiał żywność i wszelkie wygody dla xięcia i całej jego kalwakaty. Łowczy nakoniec jechał do lasów i kniei, i jak tamten słomą, ten gałkami jedliny znaczył za sobą kierunek.

i takim właśnie obyczajem wyprawił się xiąże do Szemiotowszczyzny. Sulistrowski odjeżdżając z Nieświeża zamówił w miasteczku żyda, który poleciał don dniem i nocą dając znać o wyjeździe xięcia z miejsca. A że podróż trzydziesto z górą milowa, polującym i z licznem, a po drodze pomnażającym się codziennie gronem przyjaciół, powoli posuwającym się taborowi, dni z dziesiątek trwać mogła: przeto Sulistrowski miał czasu dosyć dla zaproszenia licznej kompanii i przygotowania się do przyjęcia tak dostojnego gościa.

Przybył nakoniec xiąże do Żupran i sam się zadowolił, że tak obszerna puszcza dotąd mu znaną

nie była i myśliwską jego nie zabrzmiała trabka a w której ośmiu niedźwiedzi, prócz innej erubei zwierzyny, na jego przyjazd osaczono.

— «Panie, kochanku! rzekł on, każę aby niedźwiedzie Żuprańskie, odtąd na zimowe leże do 41-benskiego zwierzyńca przychodziły, bo żadnej o setne wiadomości memu panu generalnemu łowczemu unie dają.»

— A kto im da charcz na tak daleką wędrówkę? zapytał śmiejąc się pan Ważyński, podkomorzy oszmiański, zawołany myśliwy, który zajechał xięciu drogę, około Moiszan w dobrach swoich, i jako zaproszony do Szemiotowszczyzny, przyłączył się do xiążęcego orszaku.

— «A ci, panie kochanku, którzy dotąd skóry ich "kradli i łapy ich jedli,» odpowiedział xiąże prowadząc okiem z ukosa po swem zawstydzonem myśliwstwie.

Przez kilka więc dni huczne i wesołe polowanie trwało po głębokich lasach Żuprańskich od rzeki Gszmiany, szeroko aż ku Wilii rozciągających się. Głuche dotąd ostępy, rozlegały się hałasem psów, myśliwych, dojeżdżaczy, ludu spędzonego na obławę, gęstemi strzałami i tryumfalnymi rogów i trąb rozgłosy, które echa okoliczne, po suchern i pięknem jesiennem powietrzu, daleko roznosząc, płoszły strwożonego zwierza i napędzały go na "siecie i strzały.

Tymczasem około zapadłych w lesie zaścianków, lub około folwarków i wsi bliższych kniejom, w których polowano, zakładano obozy. Szalasze i budy z gałęzi, okrywały rozległe pola, rozjaśnione płomieniem gęstych ognisk, przed którymi wiecznę myśliwską dla ściągających się na nocleg tłumów gotowano.

Xiąże otoczony wesołą rzeszą, w najlepszym był humorze, bo dwóch ogromnych niedźwiedzi własną ręką ubił, a dwóch drugich ranił mocno, i rzucają-

cyciu się na strzał, stojący zawsze obok mego oszczepnicy, chłopci silni i doświadczeni, przebili.

Po dziennych zatem fatygach, używał xiąże ochotczo i traktował hojnie bracię szlachtę oszmiańską, nie rozróżniając prawie wielmożnych od okolicznych, których mnóstwo na obławy się zgromadziło. Ogromne* misv hultajskich bigosów, pieczeni, zrazów, roznoszono* po szałasach; a po nich na potuszenie, krążyły wszędzie cebry i rądle grzanego, a zaprawnego imbirerem i gwoździkami miodu, dzielny naprzeciw jesiennym nocnym wilgociom i przymrozkom specyał, którego i xiąże "dając przykład gościom nieskape wychylał" kufle* i którego skutkiem, były najprzód szumne gwary i wrzaski, a potem twarde całego obozu chrapanie,*... Poglądając natenczas na ten fantastyczny obraz pola zasłanego zbrojnym ludem, wśród dogorywających ognisk, wśród warczących psów i rżących koni, wśród wozów i szałasów, cofnąłbyś się myślą o kilka wieków i zdałoby ci się widzieć w pół barbarzyńskie hordy dawnych Litwinów, w lasach niedostępnych, pod wodzą jakiego Witenesa czy Olgierda, zebrane do niespodzianego napadu, na jaką nieprzyjacielską krainę, i splądrowania jej ze szczętem.

Tak cały tydzień przebywszy xiąże pod gołem niebem, pożegnał nakoniec myśliwskie tłumy i w dobrańszem przyjaciół gronie wybrał się do Szerniotowszczyzny.

Jechał on długim drabiastym wozepi saskim. Nacisnąwszy bobrowy kołpak na głowę i obwinąwszy się burką, ani dbał o niepogody i słoty; krytych pojazdów, a szczególnie karety, znieść nie mógł. Wóz opakowany był bronią, a za wozem biegł uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Tak zwykle najdłuższe po kraju odbywał podróże.

W kilku lub kilkunastu wygodniejszych pojazdach

jechali za nim asystujący mu zwykle z interesu, lub dla przyjemności tylko przyjaciele; ale gdyby którykolwiek z dworskich tam się umieścił, straciłby wnet łaskę u xięcia i służbę. Na wozach podobnych starsi, z konia młodzi, służyć w podróżach byli powinni.

Taka zatem kalwakata od Żupran ku Smurgoniom, o.szmiańskim jadąc traktem, mijała ostatni folwark Zuprański, gdy wielka gromada włościan na drodze zebrana, upadła przed zbiizającym się xięciem na kolana, a najstarszy wiekiem, papier jakiś nad głowę podniósł.

— Stój, panie kochanku! zawołał xiąże i wsiadł z yyozu.

— Co to jest dziatki?

— Suplika xiąże panie do was, od biednych waszych poddanych! odpowiedział czysto po polsku staruszek, schludniej od wszystkich ubrany.

— A waść co za taki?

— I ja poddany W. X. Mości: służyłem pajukiem u ś. p. xięcia hetmana ojca waszego, a teraz od jego śmierci, miałbym z jego dobrodziejstwa chleb spokojny na starość, ale tu nikomu zjeść spokojnie kawałka chleba nie dozwala tutejszy rządca.

Xiąże czytał pilnie suplikę, a tymczasem podróżna kompania powysiadała także.

—A gdzie ten infamis? zapytał xiąże, zaczerwieniony od gniewu.

— Tu oto w tym folwarku, odpowiedział stary. Wskoczył na wóz xiąże, i—zawracaj do dworu! wrzasnął.

Wszyscy także ruszyli za nim; bo wiedząc o przyczynie i gwałtowności xięcia, zwłaszcza dworzanie i blizcy domownicy Nieświeżej', poznali po jego licu i oku, że się tam bez awantury nie obejdzie, i że go hamować trzeba będzie (*).

(*). Prawdziwe.

Jakoż wpadł xiąże na ganek i spotkał tam właśnie ekonoma, niejakiemu pana Pryżmonta, jak na jego nieszczęście z bizunem w ręku hałasującego na parobka i obiecującego mu sto takich własnoręcznych.

— A tyś to! wrzasnął xiąże, ekonom tutejszy Pryżmont?

— Ja, odpowiedział przelęknięty i zdziwiony razem, bo się nie spodziewał tej wizyty, a widział xięcia na obławach, a zatem go poznał.

— A to ty, poganinie obdzierasz, uciemiezasz i katujesz moich chłopków, krzyczał xiąże trzęsący się od złości. Nie miał czasu przemówić ani słowa Pryżmont, bo go xiąże wyrwanym odeń kilka razy przepasawszy harapem, porwał za piersi; a ponieważ był to człek wysoki i suchy, więc go podjął jak tykę, i rzucił z ganku, tak silnie i impetycznie, że ten o kilka kroków padł na ziemię jak długi.

— A poczęstuję ja cię, panie kochanku złodzieju, tym samym traktamentem, jakim ty moich ludzi traktujesz — sto nahajów! hej wziąć go!..

— Ależ mości xiąże, on podobno szlachcic! odezwał się ktoś z boku.

— A niech go tam djabli porwą i z jego szlachectwem, ale kiedv tak, dajcie kobierca! kobierca! nie odstąpię — sto huncwotowi, jego własnym nahajem, wolał rozdaśany... Tymczasem wybiegła pani Pryżmontowa z dziećmi i płacząca padła do nóg xięcia ... i nadjechała cała kompania.

Na widok licznych i dostojnych świadków swego ferworu, na skwirik płaczącej niewiasty, xiąże się miarkować zaczął, — Sądźcie panowie sami, rzekł, co to za łotr! i czego on wart? czytajcie. A gdzież on, panie kochanku?..

Ale Pryżmont nie czekał traktamentu xiążęcego, i nim się około niego zaprzątniono, uciekł chyłkiem koło płotów, i już go więcej nie ujrano.

— Ale mości xiąże, rzekł Hutorowicz pisarz ziem-

ski oszmiański, czytając podaną sobie przez xięcia suplikę — któż wie czy wszystkie skargi włościan są słuszne?

— Jak to, panie kochanku, stary pajuk mojego ojca niesłusznychby nie przynosił: "a na co innego dowodu, jak ten kańczuk? który z rąk mu wyrwałem, i którym miał sto wyliczyć, jakiemuś tu chłopakowi. Właśnie na tę obietnicę trafiłem, i chciałbym jegomości samemu oddać tę kwotę. Mówicie, że on szlachcic: fałsz — bo tchórz, uciekł!

Rozśmieli się wszyscy na ten szczególniejszy w takiej okoliczności argument.

— Mikuć, zapytał xiąże, kto posesorem Żupran?

— Pan Kozieł, starosta oszmiański.

— A, zacny bardzo obywatel, zapewne nie wie o tym ekscesancie. Więc napisz waść do niego, że jego ekonoma zaraz ztąd wypędzam, za to, że moich chłopków uciemieżał, że gdy chce nadal trzymać Żuprauy, niech ma officyalistów pocziwych i chrześcijańskich, a bogobojnych ludzi: bo już sam na to naglądać będę. Stanowniczy! rzekł potem do Bukowskiego, jużes nam niepotrzebny, bo już dziś na noc będziemy w Szemiotowszczyźnie; waść więc zostań tutaj. Wyprawisz mi wnet tego łotra precz; dopilnujesz, aby zaspokoił, co do joty krzywdy słuszne włości, a potem pośpieszysz za dworem.

To mości panowie nie żart! przed sądem boskim trzeba nam będzie wszystkim odpowiedzieć, za naszych chłopków. U mnie tak, panie kochanku: pocziwa szlachta to moi bracia, a chłopki to moje dzieci!

— Takim sposobem, mości xiąże, odezwał się Kosowski (*), nieodstępujący nigdy dworu xięcia i chcący wprowadzić go w dobry humor swym dowcipem! jak się mu to nieraz udawało: takim sposobem, każdy chłop W. X. Mości byłby naszym sy-

(*) Znajomy z 3-ciój Seryj Obrazów trefniś.

nowcem, na co jednak zgodzić się trudno, bo powiadają, że chłopci pochodzą od Chama, a my szlachta od Japheta.

— Od Chama pochodzą *kpy*, panie kochanku i waść do tej prozapii należysz '(*), odrzekł xiąże siadając zły i zasepiony na wóz swój; a śmiech powszechny skonfundował niewczesnego trefnisia.

Zbliżano się do Smurgoń, a xiąże nie ustawał we wewnętrznym gniewie i wzburzeniu. Dobrze i chrześcijańskie jego serce prawdziwie ozw[^]alo się wyrazem, gdy powiedział, że chłopki są jego dziećmi, a ztąd trapiła go myśl terażniejszym zdarzeniem może raz pierwszy żywiej obudzona, że pan mnogich włości i poddanych, mnogie też i ciężkie ma obowiązki względem ludzi równych jemu, a powierzonych mu w pieczę od Boga. Ze za ich pracę należy im się czuła opieka; że może równegoż uciemżenia od nieludzkich rządców, doznają włościanie i innych wsi i dóbr jego.

Cóż tu począć? mruzczał sobie: objeżdżać wszystkich sam nie mogę, a panowie plenipotenci i komisarze? niech ich tam kat piecze!!! Przerwał te obsydy i rozmysły sięcia, spotykający karawanę konno pokojowiec-

— Pan marszałek Fryczyński, rzekł on zatrzymując konia, kazał mi spotkać W. X. Mość, i raportować, że pan Preciszewski, zastawnik Smurgońszezyny, nie dozwolił mu rozłożyć się z kuchnią, i czeka na obiad W. X. Mości z całą kompanią.

(*). Ta odpowiedź prawdziwa xięcia, dała materiał potem Kossowskiemu do wielu anegdot. Diugo bowiem przyjmował on na dworze Nieświżskim rozmaite ligury do swojej prozapii, i wielką onej sformował listę motywowaną rozmaitemi przyczynami.

— Niechże Fryczyński sam zje ten obiad pana Preciszewskiego — mijać Smurgonie!

— Kahał, mości xiąże, czeka z dziesięcioro na wjeździe do miasteczka, a Rabin ma mieć mowę po hebrajsku do W. X. Mości.

Xiąże spójrzył surowo na raportującego młodzieńca i powtórzył — mijać! jedź!

— Akademia smurgońska, mości xiąże, — mówił jeszcze pokojowiec, nie postrzegłszy zapewne wzroku xięcia, — przyprowadziła czterech niedźwiedzi na dziedziniec do dworu, i mają tańczyć balet przed W. X. Mością.

— Mianuję cię, — odpowiedział żwawo xiąże, — rektorem tej akademii, a Fryczyński przyłoży ci patent na kobiercu. Ja z niedźwiedziami w lesie tylko mam do czynienia. Jedź! krzyknął na stangreta, — i mijaj miasteczko i dwór.

Zbity z humoru godnością i obietnicą xięcia, jechał za nim spuściwszy głowę młodzieniec: został się potem w tyle za całą kalwakatą, w nadziei, że nie nawijając się xięciu na oczy, uniknie humoru i patentu.

Wszystkie zatem solenności przygotowane na przyjęcie xięcia dziedzica w Smurgoniaeh, spełzły na niczem: bo 011 przejechał kłusem wzdłuż miasteczka, minął dwór i pędził drogą ku Wilii, którą o pół mili przebyć trzeba było. Lecz gdy się zbliżał do jej brzegów, dała się słyszeć muzyka i obudziła zadumanego. Postrzegłszy on namioty i liczne około towarzystwo, wysiadł też z wozu. To samo uczyniła cała drużyna... a na przeciw szedł z liczniejszą daleko pan Sulistrowski spotykający tu xięcia na przeprawie. Muzyka brzmiała bez pauzy: okrzyki radosne i powitania nieustawały; więcej półtarasta zakupionych obywateli litewskich, z różnych okolic

zebranych, mieszało się wzajem w powitaniu miłego gościa.

Twarz tylko jednego młodzieńca w żałobie, skromna i spokojna, jeżeli nie ćmiła powszechnej radości, nie zwiększała jej także. A młodzieńcem tym był nasz pan Ludwik Dowiat, towarzyszący stryjowi swemu panu Skarbnikowi, wezwanemu przez pana Sulistrowskiego do Szemiotowszczyzny. Nie życzył sobie on tej podróży; lecz w liście pana Pisarza znalazło się *postscriptum* własnoręczne jego, obligujące i pana Ludwika, aby ze stryjem przybył.

Świeżą a bolesną stratą ojca dotknięty; on jakby obcy przybysz, przypatrywał się temu wesołemu zbiorowi, aż go stryj wziął za rękę i zaprezentował xięciu, sam mu oddawna znajomy.

Pod namiotami rozstawione stoły, okryte były rozmaitą, a obfitą przekąską, która zastąpiła dostatecznie stracony obiad u pana Przeciszewskiego; po której, gdy jedno tylko dostojnego gościa spełniono zdrowie, muzyka odezwała się na promie wzywając do podróży, której pan Sulistrowski był przewodnikiem. Mil sześć jeszcze z tego miejsca do Szemiotowszczyzny; w nocy więc ledwo przybyć tam można było, Lecz pan Sulistrowski rozstawił po drodze przepęgi, manowce poreperował, a wjazd xięcia w nocy, należał właśnie do programmatu okazałego przyjęcia jego.

XXI.

Przyjęcie — Kompromisa.

Rzadko dziś słyszymy o tych polubownych sądach, które dawniej nader częstemi i zwyczajnemi były, i które albo kończyły najupartsze spory, albo je w*samym zarodzie przyduszały. Nie dla" tego zapewne, abyśmy mniej mieli processów; nie wcale — jurydykcyę sądowę są niemi zawałone. Lecz wyznajmy szczerze, straciliśmy zaufanie w sobie samych? zaufanie, że mi się niechce powiedzieć, w prawość i cnotę własną, a nikomu nie wierząc, nie możemy też nigdy dobrać sobie bezwarunkowych sędziów.

Póki w sercach było gruntowne przekonani % że *szlachectwo* i *szlachetność* jest jedno i toż samo, że tytuł bez cnoty, jest próżnym i nikczemnym; póki przekonanie to, ściśle związane z wiarą, i z bojaźnią sądu Bożego, nie dopuszczało wątpliwości nawet o sumieniu i poczciwości szlachcica; póki nakoniec okrzyki i poniewierka tego tytułu, nie wzbudziły lekceważenia i przymiotów jemu właściwych, a ztąd nie osłabiły w duszach samejże szlachty, względów na godność i wartość osobistą — poty szlachcic obierał śmiało rodzonego brata przeciwnika swego na kompromisarza i był pewnym sprawiedliwości. Lecz gdy... po cóż przeciwny temu, dzisiejszego towarzystwa kreślić tu porównawczy obraz? i prowadzić, niewdzięczną morałkę, tytułem i treścią

dalszą tego rozdziału na myśl napomkniętą? po co prawić nieskuteczne komunały? idźmy raczej za ciągiem powieści!

Późnym wieczorem przybył xiąże do miasteczka Szemiotowszczyzny, i tam z podróznego ubioru w oszmiański mundur się przestroił. Od miasteczka do dworu prowadzi grobla długa na ćwierć blisko mili, a[^] po obu jej stronach ciągną się równieże długości szerokie i czyste kanały. Na sute jej oświecenie pan Sulistrowski zebrał lampy ze wszystkich prawie wileńskich i okolicznych kościołów, i na płytkach, rzędem na wodzie do dna przymocowanych, nie przerwaną illuminacyę około grobli zapalił, którą w oddali zamykał front pałacu, rzęsiście światłem osypany i na szczycie cyfrą xięcia jaśniejący.

Wspaniały "ten i samą długością zachwycający widok światła rozlewającego się i podwajanego na kanałach, zadziwił i oćmił xięcia i wszystkich jadących za nim. Krzyczano z pojazdów vivat! bravo! podniecane nieustanną salwą kilkunastu moźdżerzów we dworze brzmiących, a xiąże kręcił głową i mruzczał sobie: »Dalibóg! to lepiej i piękniej niż moje do»bycie Gibraltaru, na które tylko wiele prochu spalono, i nic osobliwego nie było.«

Wybite z głowy nad przewozem na Wilii, ponure myśli i humory xięciu, tu do reszty znikły, zwłaszcza, gdy zajechał przed pałac i ujrzał się spotkany i otoczony pięknem i świetnym gronem płci obojej-[^]ana twarzach i ustach wszystkich, radość i ukontentowanie z przybycia jego.

Ludwik będący w tłumie i obojętnem nań rzucający okiem, nagle wstrząsł się cały— niespodzianie bowiem postrzegł on na ganku obok gospodyni starościny, a wnet tuż w licznej gromadzie dziewczic i swoją uiubioną Elżbietę, wdziękiem i urodą jaśniejącą nad wszystkimi. Serce mu gwałtownie bić za-

częło. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o kolumnę gankową, aby nie upadł.... Wzrok w nieć zatopiony pałał mu ogniem, lub mgił się łzami.... Oh! . wzrok taki jest sympatycznym, jest zaraźliwym.... i dla tego oko Elżbiety spotkało się z tym wzrokiem... i padło na tę nieruchoma, smutną i żalobną postać, stojącą w cieniu o kilka kroków od niej.

Oddawna nie widzieli oni jedno drugiego. Starościna wkrótce po sprawie trybunalskiej, wyjechała z córką w odległe strony, na kolejne odwiedziny, kilku domów swej familii; może w nadziei, że się znajdzie ktoś, co zastąpi w sercu dziewczicy obraz dotąd jej ulubiony, i że ten rojony *ktoś* połączy w sobie warunki urodzenia i dostatków, w których ona jedynie szczęście dziecka i chlubę własną widziała. W urodzeniu i dostatkach szczęście dziecka!!! Zwyczajne, a jak mylnie częstokroć nadzieje nieuważnych rodziców!... Cała wiosna i część lata przeszła na takich peregrynacyach, nieuiszczających przecie widoków starościny: bo chociaż piękność Elżusi gromadziła około niej mnóstwo wielbicieli, żaden jednak się nie znalazł taki, któryby zajął rzeczywiście głowę interesowaną matki, a serce zakochane córki.

Gdy wrócili, dom Dowiatów zastali okryty żalobą; a cała osierocona rodzina, której Ludwik po śmierci ojca został głową, wyniosła się do Wilna, aby na łonie życzliwych krewnych, koić pierwsze bolesne rany, po lej stracie. Starościna zaś odpoczywała w domu i cieszyła się tryumfem otrzymanym w Warszawie, bo za staraniem pana Sulistrowskiego, ujrzała nakoniec owoc swych usiłowań; większy wprawdzie pozorem niż rzeczywistością, bo tylko przedłużenie poseęsy starostwa Kapinowieckiego *post fata* terażniejszego starosty na starszego syna, Nie zwiększało to więc intraty pani starościny, ale podniosło konsyderacyę, dla zwiększenia której ogłaszała ona i pocziwemu staroście wmawiała, sama nawet

nie tracąc nadziei i nie zaniedbując usiłowań, aby to było tylko wstępem do dalszych i bogatszych benelicyów.

Nie mogła zatem odmówić panu Sulistrowskiemu, gdy ten umyślnym listem zaprosił ją, jako kuzynkę do* współgospodarstwa żonie swojej w czasie bytności xięcia; i lubo przemknęło jej po głowie, że tam z Dowiatami spotkać się będzie mogła, lecz wnet się uspokoiła myślą, że familia w żałobie nie będzie chciała dzielić szumnych zabaw w Szemiotowszczyźnie, ani ją pan Sulistrowski zaprosi.

Wszakże inaczej się stało: bo pan pisarz litewski miał sobie od ojca jeszcze czy dziada zostawiony proces z Radziwiłłami; przy zręczności więc, miał nadzieję łatwo teraz zakończyć. Karmelici też Głęboccy odzywali się o kombinację; z czego znowu miał nadzieję, dostać gotówki potrzebnej na pokrycie kosztów magnificencji przyjęcia Radziwiłła. A ufając talentom i doświadczeniu skarbnika, sprowadził go także jakżeśmy to widzieli razem z synowcem, pragnąc może Ludwikowi dać zręczność rozerwania się w smutku i przedstawienia xięciu, pożytecznie wpłynąć mogącemu na przyszłość młodego człowieka.

Właśnie gdy oba Dowiatowie pojechali pod Smurgonie za pauem Sulistrowskim na przejęcie xięcia, nadjechała do Szemiotowszczyzny pani starościna, a ztąd niespodziane spotkanie się obojgu zakochanych na ganku.

Widokiem Ludwika, jak iskrą elektryczną uderzona dziewczica, równegoż z nim doznała uczucia trwogi, pomięszania i żywszego w serce krwi bicia; ale kobiety w takich nagłych wzruszeniach łatwiej je tłumić i panować nad sobą umieją. Jednakże lica jego wybladłe i smutek na nich rozlany, tak głęboko ją dotknął, że nie mogąc łez wstrzymać, które-

mi piękne jej oczy zaszczyły, aby je ukryć, wmieszała się do tłumu towarzyszek, weszła do pokoju i spokojną twarz przybrać starała się.

Ludwik został na miejscu. To niespodziane zjawienie, odnowiły wszystkie rany jego serca, całą moc młodzieńczego przywiązania, pogwałconego wprawdzie brakiem nadziei, ale niewygasłego nigdy i cichym płomieniem trawiącego zawsze jego duszę. Odszedł nakoniec, niewiedząc gdzie idzie; ale unikając odgłosów hucznej wesołości brzmiącej w pokojach przy wieczerzy, do której właśnie tam zasiadano, trafił aż za bramę i postanowił pójść do miasteczka, gdzie ze skarbnikiem mieli oznaczoną kwaterę, jako i większa część przybyłych gości; a nie wracając już do dworu opuścić jak najraniej Szemiotowszczyznę, choćby zostawując stryjaską na miejscu.

Gdy tak rozmarzony i pogrążony w smutniejszych jedne nad drugie myślach, uszedł Ludwik z połowę grobli, oświeconej tak, że ją całą prawie z końca w koniec przejrzeć można było; postrzegł biegnącą naprzeciw siebie czwórkę i wnet usłyszał dźwięk trąbki — znajomą notkę — i nakoniec:

„Bvli nasi panowie,

„Na kontraktach we Lwowie etc.”

A to porucznik przybywa, pomyślił; i ledwo pomyślił, porucznik mijając rzucił nań okiem i krzyknął, stój!

— A dalibóg, jeżeli się nie mylę, to Ludwik!

— Tak—jak się masz kochany poruczniku?

Stelnicki wyskoczył z wozu, uściskał młodzieńca pokilkakrotnie, i nakoniec, cóż to jest? zapytał. Czy cię wypędzono z kompanii? Aż tu dochodzą wivaty i huki, a ty samotnie wędrujesz wstecz. Prawda, twś w ciężkiej żałobie. Strata bolesna, niema co mówić! ależ taka wola Pana Boga! Pochowałeś ojca uczciwie i bogoboynie: byłem świadkiem i oddałem ostatnią posługę przyjacielowi szkolnemu 41*

pocziwemu człowiekowi, jakich coraz mniej na świecie... ale cóż robie? Szanuj teraz zdrowie własne, bo w tobie jedyna podpora i pociecha matki twojej i rodziny. Fortuna chwala Bogu szlachecka dobra; a i skarbnik nie komuż, tylko tobie zbiera.

Wszystkich tych potocznych i zwyczajnych per-swazyj porucznika, słuca! Ludwik jakby nie słyszał: na wspomnienie ojca, oczy mu łzami zasły, i milczał:

Porucznik popatrzył nań uważnie i rzekł potem biorąc go za rękę — Ludwiku! wiesz i wierzysz zapewne; bobyś grzeszył śmiertelnie wątpiąc, zein twój i wasz prawdziwy przyjaciel. Mówiło się ci, co zwyczajnie mówić wypada w podobnych zdarzeniach, których ani cofnąć, ani poprawić nie można; i kto na szumne zdobywa się perory, których ja nie umiem, chcąc pocieszyć strapione serce syna po stracie rodzica, ten nie zna ludzi, a ja ich znam, bo nie z jednego pieca chleb jadłem mospanie! Boska to łaska czuwa nad sierotami i ich pociesza... dlatego i was nie opuści! a w niej ufając nie oddawaj się rozpaczy, która tak dalece na twojej twarzy znaczna, że mi się koniecznie zdaje, że jakaś nowa bieda do pierwszej ci przybyła, i lak dwie cię razem dręczą. Wypowiadaj się szczerze mój Ludwisiu przed przyjacielem. Może kto cię skrzywdził na honorze? Ja z tobą mospanie i ten brat szlachcic!... tu uderzył po pałaszu, który nie dla proporcji noszę przy boku, ale na obronę swego i przyjaciół honoru.

Tak szczerza a życzliwa apostrofa porucznika, ujęła do żywego Ludwika; ścisnął on go za rękę, i dziękuję, rzekł z wylaniem się; dziękuję za twą życzliwość i przyjaźń... nikt mię nie obraził.

— Dla czegoz uciekasz? wracaj więc—siadaj ze mną.

— Nie mogę kochany poruczniku, nie mogę!

— Oho! więc próżno ukrywasz się, jest w tem

sęk! jest—i nie pojedę aż się nie dowiem, albo wrócę razem z tobą, bo cię w takim stanie opuścić nie mogę. Śmiało chłopcze! ja nie przez próżną ciekawość pytam, i muszę ci znowu, Boże odpuść, powtórzyć, zem twój przyjaciel; a wierz mi: *non sic tractantur amicit* (*)

Ludwik sam nie wiedział co począć? pomyślił zresztą, że gdy Stelnicki dojedzie do pałacu, postrzegłszy tam starościnę i Elżbietę, łatwo domyśli się przyczyny jego ucieczki; a ze wstępnym i śmiałym swoim humorem, gotów będzie jakim gorliwym a niewczesnym słowem, zakiopocić Elżusię. Wolał go już więc uprzędzić.

— Ot bo widzisz kochany poruczniku... mówił zatem przerywając się za każdym słowem, kiedy chcesz koniecznie wiedzieć dla czego odszedłem... i kiedy mnie dasz słowo, że ani wspomnisz tam o mnie przed nikim... porucznik kiwnął głową na znak zgody — to ci powiem... zem tam niespodzianie postrzegł... starościnę.

— Starościnę!... Starościnę! wykrzyknął Stelnicki, a zatem i Elżusię!... jesteśmy w domu... to inna materya!... może ta pani znowu na Turka fortragować zechce!... Ale, ale po cóż uciekać? Ach! mój Ludwisiu, tyś diabelnie jeszcze zakochany! rozumiem—trudna rada z tobą —i z tą babą — przynajmniej, że gdyby wiedzieć, czy Elżusia dla ciebie stała?... wracaj jednak—wracaj — a w tym hurmie i zamieszaniu łatwo się znajdzie zręczność zbliżenia się ku niej ...

— Nie kochany poruczniku — nie wrócę: nie jestem w stanie wrócić! owszem jutro rano postanowiłem odjechać. Żegnam więc cię, i śpiesz się, bo się spóźnisz na wieczerzę.

— A gdzie macie lokatę! zapytał porucznik? bo tu

(*) Nie tak się obchodzi z przyjaciółmi.

zapewne trudno o kąć przy takim zjeździe: uważałem, że miasteczko pełne.

— Właśnie mieszkamy ze stryjem w miasteczku; i jeżeli nie będziesz mógł lepiej się pomieścić, prosimy do nas; po moim zwłaszcza odjeździe będzie wygodniej jeszcze.

— Więc tu jest i skarbnik?

— jest — jemu tylko powiedz kochany poruczniku, żeś mię spotkał, i że ból głowy zmusił mię powrócić na kwaterę, aby mię darmo nie upatrywał i me szukał w kompanii; więcej zaś nikomu... dałeś słowo poruczniku!

— Rozumiem — rozumiem. No, więc do widzenia się — do widzenia się — z jutrzejszym twoim odjazdem... to *homo propanit—Deus disponit!*... obaczymy — wracam do was na noc. Nie trąb w bramie, bo nikt nie posłyszysz dzisiaj, i ruszył.

Tymczasem siąże zasiadł" do wieczerzy, między gospodynią domu i panią starościna. Obie w grzecznościach i komplementach przesadzały się nawzajem: jedna z dworną i wyższą wielkiego świata delikatnością. jedwabne mu; że tak powiem i wonne sypała słówka: druga pocziwa, staroświeckich obyczajów matrona, za każdą potrawą do uprzykrzenia prosiła xięca o apetyt, i dokładała gwałtem na talerz jego wyborniejsze przysmaki.

Ale xiąże*nie podobał sobie ani w komplementach, ani w delikatnych frykasach: na pierwsze prawie nie odpowiadał, i darmo je tracąc starościna, myślała sobie: «Oj, słusznie cię zowią niedźwiedziem litew-«skim:» a za drugie dziękując gospodyni jak mógł najgrzeczniej, odsuwał jednak talerze, aż w trzecim daniu, które na stole rozstawiono, postrzegłszy na przeciwnym końcu kapłuna — za pozwoleniem pisarzowej dobrodziki rzekł, życzyłbym aby ten jak mi

się zdaje, kapłun, który oto tam stoi na półmisku naprzeciw xiędza karmnika Brzostowskiego, i na który jego przewieiebnosc z pożądaniem pogląda, przeszedł tu ku mnie, a zachęcać mnie do smacznego apetytu nie będzie potrzeba.

Postawiono więc wnet przed xięciem żądany półmisek.

— I parę jarząbków przy nim, dodała uprzejma gospodyni.

— Ptaszki, to fraszki, rzekł xiąże zatopiwszy się w kapłunie; a gdy go zmógł całego i dokończył z nim wieczerzę, dano hasło z moździerza....

Wnet odemknęły się drzwi i okna przywarte dotąd okienicami od ogrodu: zabrzmiała muzyka w szpalerach, i okazał się cały ogród wspaniale oświetlony, do którego kompania od wszystkich stołów powstawszy, zeszła. Na środkowej zaś szerokiej równinie zażęły się ognie sztuczne, i tysiące rakiet strzeliło razem w niebiosa, brylantowym deszczem napełniając horyzont i spadając na ziemię.

Vivat! w tej samej chwili rozległ się w ogrodzie, i jakby echem stokrotny powtórzony za ogrodem, gdzie tłumy ciekawego ludu, kilkanaście beczek miodu roztaczało. Vivat! xiąże, vivat!!! Liczne kielichy za przewodnictwem gospodarza podniosły się na to hasło w górę i spełniono zdrowie xięcia z uniesieniem.

Xiąże rozczulony do łez, ściskając pana Sulistrowskiego:—panie Aloizy! panie kochanku! rzekł,—deklarowałeś mi wNieświżu, że mnie poszlachecku przyjmować będziesz, a tu po królewsku przyjmujesz!

— Panie! dajże kielicha!

Podano na srebrnej tacy, wielki kryształowy kielich i starym węgierskim roślaczem napełniony po brzegi; wziął go xiąże W^l rękę, a podniosłszy w górę, wykrzyknął z mało-rossyjska:

„Sztob w hetoj chaty,

„Licha nie znaty!

wychyli! daszkciem—a szal objął zgromadzenie. Słowa xi"ęcia z ust do ust z kielichem tymże przechodziły; pijatyka zaczęła się zapamiętała*

Pan Osklerka kasztelan, gdy mu się on w ręce dostał, wycisnął się z tłumu przed xięcia, i poważny wiekiem i zacnością urzędu staruszek, oparty na kilofie, wykrzyknął z dobitnym przyciskiem:

„*Na pahibel temu,
„Kto nie izczyry jemu!*”

spełnił i siwego otarł węża—*Kto nie szczyry jemu! kto nie szczyry jemu!* wołali wszyscy i hurmem rzucili się w objęcia xięcia.

Xiężę wzruszony i serdecznością braci i starym węgrzynem, płakał ściskając wszystkich i powtarzając bezustannie — panie kochanku! Staroświecka poczciwości Staropolska cnota! Szlachecka krew, panie kochanku! Gdybym trupem padł, to was nie odstąpię!—Wszyscy jeden na drugim legniem trupem za ciebie xiężę! wszyscy!!!

Damy i dziewice przechadzały się tymczasem po ogrodzie; i te gromady białych i lekkich postaci to w jasnym okazujące się świetle, to niknące w pół cieniach gęstszych szpalerów, ogarniały czarownym urokiem ten fantastyczny obraz, ten tłum szalejącej zgrai!...

Lecz gdy zwyczajny nasz przy ochocie podnieconej puharem symptomat żywszej czułości dla kobiet objawiać się i tu począł, gdy młodszy odrywając się od gromady i błakając się z pełnymi kielichami, rozrywali ich grona, a u stóp pięknych i na klęczkach spełniali toasty; gdy u nie jednej ledwo obroniony trzewiczek miał zastąpić miejsce kielicha—mimo pobłażliwe tych hołdów przyjęcie, osądziły poważniejsze marny, że czas już był onych uniknąć. Zwróciły się zatem do pałacu, mijając zdaleka burzliwą rzeszę, na którą obok matki idąca Elżusia,

nie po raz setny niespokojnem rzuciła okiem, śledząc zjawienia, które ją na ganku spotkało. Zawsze jednak omylona, straciłaby może pewność, że ono rzeczywiście było, gdyby nie dostrzegła na ustroju stojącego i nienależącego wcale do powszechnej ochoty skarbnika, a rozmawiającego żywo z porucznikiem, którego także poznała; lubo oba unikając jakby spotkania się z damami; do ciemniejszego szpaleru weszli.

Starościna postrzegła także obódwóch — zdaje mi się rzekła ona do córki, że oto tam poszli, jakby uciekali przed nami, skarbnik Dowiatt i kochany nasz porucznik Stelnicki, niech go lichy weźmie! bo mu nie mogła zapomnieć maskarady: czy nie uważałaś Elżuniu?

— Tak i mnie się zdało, odpowiedziała ona kryjąc swe wewnętrzne pomieszanie.

— Lampy już gasną, i trudno rozpoznać twarze, dla tego obie się może mylimy, bo Dowiatt tu być nie może i nie powinien, skorom ja zaproszona; * a porucznik gdyby był, nie stroniłby od kielicha, ale piłby ze wszystkimi razem i lepiej od wszystkich.

Ta uwaga matki wznowiła znowu wątpliwość w sercu biednej dziewczyny, idącej dokończyć bezsennej dla niej nocy w niepewności i trwodze: a jednakowoż wzrok się ich nie mylił. Bo porucznik po spotkaniu się z Ludwikiem, przybywszy przed ganek, kiedy już wszyscy byli w ogrodzie, i postrzegłszy, że nie mógł tak dostojnie i uroczyście, jakby sobie życzył zaprezentować się gospodarzowi i przypomnieć się xięciu; umyślił na jutro odłożyć swój wjazd wspaniały, któregooby dziś nie słyszano ani widziano: a teraz wejść *incognito*, wyszukać tylko skarbnika i z nim wrócić na kwaterę.

Znalazł go łatwo dalekiego od tłumu, i powitawszy zcieha, rozpoczął konferencję o Ludwiku, którego właśnie chciał szukać skarbnik. Konferencya ta przedłużała się już od niejakiego czasu i wiele pro-

jektów przebrała, gdy się wzajemnie ze starościną postrzegli, a od której stroniąc, weszli do szpaleru, i wkrótce dostali się do wozu porucznika i odjechali do miasteczka.

Ochota przedłużała się jeszcze, nim węgryz nie zaczął ćmić oczu i trudnić języka wylewającym się serdecznym oświadczeniom, przywiązania do xięcia i między sobą wzajemnym. Jedni siedzieli na murawie i próżno się mocowali do powstania, inni stali wprawdzie jeszcze i bełkotali jakieś staroświeckie, a niewyrozumiane oracye; inni nieprzystając powtarzać hasła pana Oskierki, ściskali bez ustanku xięcia siedzącego na krześle i odzywającego się także niewyraźnie: »Ja wasz brat! Ja wasz sługa! Staroświecka poczciwość! choćby trupem paść! dość panie Aloizy dość panie kochanku!...

Gospodarz tylko sam jeden się oszczędzał, i za danym przez niego znakiem, znowu mnóstwo rac wzniosło się w górę, muzyka zabrzmiała marsz—*Vivat!* odezwało się na wszystkie strony... i tak się zakończyła owa noc, jakby z *Tysiąca nocy* naśladowana; może ostatnia w Litwie łącząca potężnego magnata, a duszą i sercem szlachcica, braterstwem uczuć i obyczajów, z ziomekami bracią jego.

Dzień następny poświęcony być musiał odpoczynkowi i spokojniejszym zabawom. Kompania około południa ledwo zbierać się poczęła do dworu; ale skarbnik niedozwoliwszy Ludwikowi odjeżdżać do powrotu swego, rano tam pojechał, i wpuszczony do gabinetu pana pisarza, długą odbył z nim konferencyę. Po niej powrócił do miasteczka, odsznurował swoją walizę, a w niej więcej było papierów niż manatków; wyjął z niej dekret ziemstwa wileńskiego w sprawie ze starościną, o którego treści z początku tej seryi czytelnicy świadomi, i dekret trybunalski w sprawie

Karmelitów z Sulistrowskim. Wiedział bowiem że Karmelita z Głębokiego siedzi od dni kilku w plebanii i czatuje na dogodną chwilę, zagajenia za pośrednictwem xięcia kombinacyi. Włożywszy oba dokumenta za nadrę—no, rzekł, poruczniku'dobrodzieju, czas jest i nam stawić się na pokoje; pojazdy jak widzicie jadą tam już a jadą, a waćpan panie Ludwiku, czemu dotąd nie ubrany?

— Ja bo mój kochany stryju, jechać tam nie myślę; owszem wybieram się wnet do powrotu.

— A to *quo modo?* mówiłem, że to być może. Zarekomendowałem waćpana xięciu, a więc mogą zapytać mnie gdzie się podział? to raz; a powtóre *inter nos loquendo* odbyłem dziś *colloquium* z panem pisarzem; ponieważ tu jest i starościina, więc może przyjsć do jakichciś ewentów... i kombinacyi, za pośrednictwem takim, któremu starościina odmówić nie będzie mogła, ani się oprzeć. A zatem prezencya waćpana jako aktora rzeczy, może być koniecznie potrzebną.

— Tfu Ludwisiu! odezwał się porucznik: gdy nie pojedziesz, zdawać się będzie, że alboś starościiny się uląkł, alboś Elzusię znienawidził, a biedaczka musi cię kochać zawsze!!!

— *Inter nos loquendo*, tak mnie upewnia Pani Dulaska; i namieniłem coś o tem i panu pisarzowi.

— A cóż on na to, zapytał Stelnicki? a Ludwik stanął osłupiały.

— On na to... on na to, kiwnął głową — *sperandum* zatem...

— I cóż *sperandum*? zapytał niecierpliwy porucznik.

— *Inter nos loquendo*_____ *sperandum*... że postąpi sobie roztropnie... tak jak waćpan panie Ludwiku postąpiłbyś nieroztropnie, gdybyś nie został i odjechał. Bóg wie jakieby ztąd wnioski *publicum* wyprowadzało, a ja rozpoczynawszy traktacyę interesu ważnego dla was, wstydzilibym się musiał. Dla tego su-

plikuję *amantissime* (*), abyś się nie dziwaczył, i *sine mora* (**) ubrał się i z nami jechał.

Możeby te wszystkie ekzorty stryja i porucznika, nie zrobiły żadnego skutku, a wzmianka napomknięcia przed panem Sulistrowskim, o uczuciach jego dla starościarki, możeby mu do reszty śmiałości ujęła, gdyby słuchającemu perory Skarbnika, nie przyszła na myśl owa łezka, którą postrzegł wczora w oku Elżuni i gdyby Skarbnik nie dodał swej wiadomości od Dulskiej," że ona kocha go zawsze. Ta wiadomość i ta łezka, pokonała w nim trwogę, pobudziła żywą chęć, widzenia raz jeszcze ulubionej, i łatwiej skłoniła do woli stryja, niż jego *sperandum*.

Tymczasem bryka jadąca do dworu, mijała okienka ich kwatery.—Oho! zajrzawszy na ona wykrzyknął Skarbnik, Karmelita pojechał; nie mam więc ani minuty do stracenia. Ależ xiężwna ma widać dobrych szpiegów we dworze! dowiedział się zapewne, że dziś xiężę i wszyscy odpoczywać będą, a zatem czas najsposobniejszy do traktacyÓw; jadę więc. a proszę porucznika dobrodzieja, abyś nie dopuścił panu Ludwikowi, spernowac moją obligacyą i przywiózł go z sobą do dworu.

Zakładano już i buńczuczny, a znajomy nam ekwi-paż porucznika; tylko zamiast siwych kuców, dawno przehandlowanych. czwórka ciemno-wiszniowych, roślejszych i figiirniejszych była w zaprzęgu. Obejrzał on'ją troskliwie, tarł sam blachy i guziki na chomątach, wbił chłopakowi woźnicy kaszkieci z piórami na bakier, odstąpił kroków kilka dla przypatrzenia się jak to wszystko wygląda, i taką lakoniczną dawał mu instrukcyę:

— »Słuchaj! ••• *Cyt!* nim nie powiem *plaż!* wten-

(*) Najukochańszy.

(**) Bez zwłoki.

*czas trzy razy z *bicza!* potem *trąbko w pyskr*
»potem *piej!* a potem aż do ganku *plażh*

— Ależ poruczniku, czy nie za huczno wjeżdzać będziemy?—rzekł Ludwik słysząc tę instrukcyę.

— Jak to? nie uwierzysz jak wiele zależy, na dobrym pierwszym wstępie. Wjeżdża mospanie oficer pińskiej brygady! aوندam konfederat mospanie! Szumno i huczno! bo tak przystoi... Znam Radziwiłła, od razu mię polubi za taki wjazd, i u wszystkich inna konsyderacya mospanie, bo jak cię widzą tak cię piszą. No idźmy ubrać się Ludwisiu, konie gotowe stać długo nie lubią.

Gdy wyszli wkrótce do wsiadania, sprzeczność obu nie tylko w wieku, lecz w ubraniach i obliczach uderzała widocznie. Porucznik ustroił się galowo, ale podług swego wyobrażenia i gustu; a przyznać trzeba było, że znał dobrze co mu do figury i twarzy przypadało. Ubiorem chciał on zda się wytłumaczyć widzom, że był żołnierzem, że nim już nie jest, lecz, że kocha swą wojskową przeszłość i od jej znaków odwyknąć zupełnie nie może. Na białym więc atlasowym żupanie, krótki granatowy kontusz, po wszystkich szwach i brzegach złotemi sznurkami oszyty, spiął on zamiast pasa takimże złotym szerokim pendentem, zaszpilonym srebrną blachą, na której cyfra królewska jaśniała i na nim krzywą turecką szablę zawiesił. Na lewem ramieniu suta mu szlifa, przez piersi zaś taśma z szerokiego galonu z ładownicą z blachy złotej, błyszczący; do tego ogniem tłała brylantowa szpinka na szyi i takiz pierścień na rękę.

— A cóż? rzekł on do wychodzącego z nim razem Ludwika, kładąc na głowę axamitną karmazynową magierkę i pogładając na siebie z zadowoleniem. A cóż? precz od złota mospanie! u nas tak!...

Ludwikowi żaloba nie dozwalała żadnych świetnych odzieży; lecz wybierając się z Wilna, na tak gro-

madny festyn, musiał on garderobę swoją o ile można przysposobić do przyzwoitości. Zamiast więc hru-bej ratyny, z cienkiej i lśniącej się sajety czarnej, na czarnym pod spód atłasie, uszyty zgrabnie ubiór polski, pasem czarnym materyalnym ze srebrną frę-złą przepasany, okrywał i znaczył piękną kibić młodzieńca, na którego twarzy tak niegdyś żywej i wdzięcznej, podwójny dziś smutek w duszy mu tle-jący, bladym czołem i przyćmnioną żrzenicą wyrażał się oczewiście; a jednak tym interesownym czynił go, oczom dla niego życzliwym i sercom dlań skłon-nym.

Gdy ruszyli, Porucznik z ukosa poglądając na Lu-dwika i niewiele dobrego wróżąc z jego miny:—bądź lepszej myśli, mój kochany Ludwisiu, rzekł: pokazać się młodemu pierwszy raz na takiej publice z twa-rzą męczennika, a z humorem ogranego szulera, jest to paść na opinii bez powstania, a Starościnej będzie i po duszy żeś tak z tropu zbity.

Oburzona temi słowy, miłość własna młodzieńca zażywiła mu oko.

— Wszakże cię nikt do tańca nie poprowadzi, mó-wił daiej Porucznik, i wesołość w twojej pozycji, byłaby również szpetną, jak i ta twarz twoja do la-mentów skrzywiona, a z którą Elżunię bardziej przestraszysz niżeli za serduszko ujmiesz.

Ten argument nie był także bez skutku. Prawdę mówi, pomyślał Ludwik, trzeba nad sobą jakkol-wiek panować i po wczorajszemu nie stracić głowy.

Wtem Porucznik pomiarkowawszy, pewną dostate-czną dystancję, i widząc już kompanię na ganku, zawołał: *plaż!*

Więc zaczęła się spełniać instrukcja od trzykro-tnego hasła z bicza, i tak z kolei — aż po trąbce i śpiewie. z ostatnim onego trzaskiem, spieniona czwórka stanęła wryta przed gankiem.

Nie omylił się Porucznik, gdy wróżył pochlebne dla się wrażenie ze swego wjazdu; i nim jeszcze miną! bramę, widząc go i słysząc xiąże, zapytał pa-na Sulistrowskiego, przerywając zagajaną kombina-cyę z Karmelitą stojącym podle. — A toć panie ko-chanku, jakiś gracz przybywa? Słyszycie trąbkę? wyśmienicie! Zda mi się, że to będzie Porucznik Stelnicki: O! niezawodnie — zgadłym go po znajomej tu u nas wszędzie trąbce, ale i samego dostrzegam—któż to z nim drugi?

— To mój synovviec, — rzekł pan Skarbnik: — wczora miałem honor prezentować go xięciu panu. A o którym ja dziś W. X. Mości namieniłem,— rzekł pan Sulistrowski.

— Aha! wiem panie kochanku.

Tu wysiedli oba przybyli z bryki; Porucznik przy-witawszy prędko spotykającego ich gospodarza i na później dalszy z nim odkładając rozhovor, stanął przed xięciem, i rzekł wyciągając inagierkę do kolan jego:

— »Biorę assumpt rekomendowania siebie W. X. »Mości, od niedźwiedzia... to jest od przypomnie-»nia, zem kiedyś miał honor konsystować z moją »kompanią w Łachwie, i ubić go przypuściwszy na »kroków pięć, a to w oczach W. X. Mości! Biało-»szyja bestya — wielka jak koń! Zjednałem naten-czas applauz W. X. Mości, który mi odzywa się aż »dotąd w sercu... a serce to składam dziś u stóp »xięcia pana i dobrodzieja! Tadeusz ze Stelni Stelni-»cki herbu Róża, Porucznik pińskiej brygady.«

— Dziękuję panie kochanku, panie Poruczniku, dziękuję uniżenie i serdecznie za tę jego rekognicyę, dla mnie, — odpowiedział xiąże ściskając go uprzej-mie. — Dalibóg gracz! czy nie mówiłem? zapewne • z panem Pisarzem Litewskim dawna znajomość!

— O i bardzo! dawny ja sługa tego pana: a dowie-dziawszy się z powszechnego rumoru na litewskim świecie," że on będzie miał zaszczyt przyjmować W.

X. Mość, w progach swoich, pośpieszyłem abym miał także szczęście oglądać oblicze pańskie, i cieszyć się powszechną radością, z tak wysokiego i ukochanego gościa.

— Wielce obowiązany ci jestem,—rzeki Sulistrowski, — dajesz dowód żeś mój przyjaciel; a do rekomendacyi Porucznika mówił obracając się do xięcia, muszę dodać, że równie tęgi myśliwy, jak i znawca na konie.

— Oho! przypomniałeś panie dobrodzieju — przerwał Porucznik moje poreenelo-strokate— nie było w Litwie i nie będzie takich drugich.

— Obaczymy, — rzekł uśmiechając się Sulistrowski, — jeżeli nie maścią to cnotą, może się znajdą podobne. Właśnie mam się chwalić przed xięciem moją stajnią—kazałem wyprowadzać.

Stelnicki natenczas zaczął powitania ze wszystkimi: większa część znajoma, wieszowała mu wybornej rekomendacyi. A tymczasem pan Sulistrowski, wziął Ludwika za rękę i stawiać go przed xięciem rzekł:

— Dozwol mi W. X. Mość zalecić względem swoim tego młodzieńca: Stracił on ojca, niechże ma opiekuna w W. X. Mości; a wart tego, bo jest z rodu najzyczliwszych sług domu xięcia, i przymiotami swemi pięknymi, obiecuje zacnego z siebie obywatela krajowi i ziomkom.

— Panie kochanku, miło słyszeć taką zaletę. Pamiętam Augustyna Dowiata, plenipotentą *guondam*, mojego pana ojca xięcia hetmana; jak on ci się go dził? Stryj to mój mości xiężę.

— Podobno się zakapturzył — czy żyje jeszcze?

— Żyje mości xiężę, i teraz podług reguły swego Trynitarzkiego zakonu, wybrał się do Turcyi, dla wykupna niewolników z niewoli pogańskiej.

— Ach! panie kochanku! po moich tam śladach chodźć będzie.

Wszyscy wiedzieli dobrze, że xiężę nigdy nie był w Turcyi; ale że na konto kilkoletniej emigracyi swojej, wymyślał śmieszne anegdoty i awantury, po różnych jakoby krajach mu zdarzone, a dowcipnym i oryginalnym sposobem je opowiadał; przeto otoczyli go kołem, a ktoś zapytał: — A jakże się tam xięciu powodziło?

— Rozmaicie panie kochanku — i tak owak — ale na końcu jak poznałem się z sułtanem, to tak pokochaliśmy się i do takiej przyszli komitywy, że on mnie chciał zrobić *Kapi Agą*.

— A cóż to znaczy *Kapi Aga*?

— A to panie kochanku, ważny urząd! to po naszymu tłómacząc, permodum *sekretarz seraju*.

— Czemużeś xiężę nie przyjął tej ważnej funkcyi? i jak zdaje się mającej zkąd iuąd niejake zalety?

— A tak, panie kochanku tak! przyjąłbym, pewnie przyjąłbym; ale stoi w alkoranie, i sam wyczytałem: że kto jest syndykiem bernardyńskim, ten nie może być *Kapi Agą*.

Rozśmiej się wszyscy prócz xięcia, który jak zwykle tonem prawdy i rzeczywistości, takowe swe opowiadał improwizacye.

— Powróciwszy do Nieświeża, — mówił dalej xiężę, — chciałem wysłać xiędza Katembryka do Konstantynopola, dla nawrócenia jego sułtańskiej mości, aby się ochrzcił i przyjechał do Litwy; dawałem i suplement na drogę i list mój do niego. Ale cóż? odpowiedział on: »niech jedzie X. Dederko, jemu bliżej z Ołyki do Stambułu.« Prawda: więc ja do xiędza Dederki z propozycyą: a on »niech jedzie xiędz »Toczyłowski, on biskupem *in partibus infidelium* (*), jego więc rzecz nawrócić samego herszta niewiernych,« i tak żaden nie pojechał; ot takato

(*) W stronach zamieszkałych przez niewiernych.

gorliwość naszego duchowieństwa względem naszej świętej wiary.

Tymczasem wyprowadzono konie na środek obszer- nego dziedzińca, w okopaną w krąg ujeżdżalnię. Na czele, wiedziony przez dwóch masztalerzy szedł dziel- ny arab kary, w bogatym węgierskim rzędzie, doda- jącym mu ozdoby i zachęcającym do próby na nim zręczności i odwagi ochotników. Mało jednak takich znaleźć się mogło; bo ogień tryskający z oczu ko- nia, piana ziejąca z nozdrzy i pyska, oraz silne i krnąbrne susy jego, nie wróżyły szczęśliwego losu jeźdźcowi. Przy nim kilkanaście razem stanęło koni do tego przeglądu. W owym czasie wszyscy jeszcze byli mniej więcej znawcami i amatorami stadnin, do- starczających moźniejszym pięknych zaprzęgów i znacznej intraty, a szlachcie choć pary co rok ko- ników i za nie kilkudziesięciu dukatów do szkatuły: wszyscy więc zeszli na dziedziniec i opatrywali je z upodobaniem.

Stelnicki nad każdym prawie odbywał uczoną roz- prawę, o składzie, rodzie i zaletach każdego. Przy- znawano mu w tym względzie znajomość gruntowną, ale nikt się nie przesadzał w pochwałach którego- kolwiek konia pojedynczo, bo znał każdy, że właści- ciel, czekał tylko na tę pochwałę, aby wnet daro- wizną podobajacemu przysłużyć się.

— A cóż poruczniku?—odezwał się Sulistrow- ski,— czy nie warte twoich porcenelo-strokatych?

— Nie ma już ich panie pisarzu dobrodzieju! nie ma już ich i na tym świecie bodaj! a zatem *de mor- tuis, aut bene, aut nihil.* (*)

Rozśmiano się na ten dowcipny wykręt poruczni-

(*) O umarłych, albo dobrze, albo nic.

ka i zgromadzono się około osiodłanego araba, któ- remu się i xiężę szczególniej przypatrywał.

— Ten koń, panie kochanku, powiedziałbym, że wyprowadzony ze stajni mojego przyjaciela sułtana, a stojąc tu osiodłany od kwadransa narąga się mło- dzieży naszej, nieśmiejącej go dosiase. ^O gdybym był młodszym!

Na taką przymówkę xięcia, wielu młodych kawa- lerów spojrzęło po sobie, ale żaden nie wystąpił; wi- dząc jeszcze, jak liczne grono dam i mężczyzn mogło hyc świadkiem zdarzyć się mogącego szwanku.

— Jeżeli pan pisarz dobrodziej pozwoli? — rzekł Ludwik przystępując do konia.

— Pozwalam z ochotą, — odpowiedział Sulistrow- ski, — ale życzyć nie mogę; bo widziałem nieraz, jak silniejsi zapewne od pana masztalerze, spadali zeń jeden po drugim; a nawet memu koniuszemu, który go najeżdża, nie zawsze udaje się przejechać go i pokonać.

— Obaczymy,— rzekł Ludwik i zabierał się do wsiadania.

— Brawo! — zawołał Stelnicki, zatrzymując go,— brawo! Śmiało! wiem żeś jeździec dobry: wszelakoż posłuchaj mnie. Znam konie tej rassy; miałem bu- łanego a dister takiego; pamiętaj, że one są mięk- kiego pyska: nie spinaj go zatem broń cię Boże! i ciszej dodał, wypuść go powolnie — niech leci, a daj mu tylko dyrekcję na groblę i trzymaj się. Spaśli go nadto; zastały jest; widać pan koniuszy nie lubi go często dosiadać: jak całą groblę przeleci po pia- sku, zmorduje się. a wtenczas zawróć i przyjedziesz tu jak na baranku.

— *Inter nos loquendo*, ta próba skończyć się mo- że na złamaniu karku, — rzekł niespokojny skar- bnik.

— Milcz kauzyperdo! — zawołał niecierpliwie po- rucznik — i wnet postrzegfszy się, dodał — skarbnik-

ku dobrodziejowi nie odbieraj energii młodemu! Ludwik tymczasem już był na koniu...

Ten wstrząs! się i parsknął, rozrzucając pianę wokoło... kark w łęk przechylił, co mu tem piękniejszą dało figurę, i z miejsca dał kilka gwałtownych szpryngłów, próbując jakoby jeźdźca i używając sposobu, którym prawie każdego od razu z siebie pozbywał.

Ale nowy ten jeździec, gdy nań siadł, przyrósł zda się razem do niego.

— Ach! ach! krzyknęły w oknach damy.

— Bravo! bravo! krzyczano na dziedzińcu.

Ludwik pomny na rady doświadczonego porucznika, puścił lekko wędzidła i zaledwo dawał je uczuć drażliwym ustom krnąbrnego zwierza. Gryzł on je złośliwie, miotał się, słupił, i w takich kaprysach, susach i skokach, obszedł ujeżdżalnię.

— Bravo! powtarzano, bravo! i krzyczano dosyć! dosyć!

Ale Ludwik zawrócił ku bramie i tam dał poczuć koniowi, że niesie mężnego i silnego pana nad sobą, nie zaś lęklivego i wątpliwego berejtera. Ścisnął go mocno kolanami, trącił obcasem, cmuknął i wypuścił na groblę...

Gdyby można było zgadywać na pewno, instynkta zwierząt, powiedziałbym, że koń omylony w nadziejach, i poznawszy wartość jeźdźcy, postanowił teraz dowieść mu własnej. Bo w mgnieniu oka rozciągnął się aż ku ziemi i jak prawdziwy potomek sławnych wychowawców pustyni, lotem chyba ptaków dościganych, śmignął czarny koń i czarny jeździec po długiej grobli, i wnet znikł w oddali z oczu, ciekawie i niepokojnie nań patrzących.

Jeszcze kilka kobiecych ach! wśród których może było jedno troskliwsze, dało się słyszeć przez okno, a skarbnik rzekł do pana Sulistrowskiego. — Czy nie trzeba kogo posłać za tym nieuważnym śmiałkiem: *inter nos loquendo* lękam się...

— A któż go dopędzi mój kochany skarbniku?

— No, no, bądźcie spokojni, rzekł porucznik, ja ręczę, że wróci najbezpieczniej; i uśmiechał się gładząc czoło, bo był kontent z mądrej swej rady danej Ludwikowi. Nie chwalił się z niej jednak, chcąc zostawić wszystkę chwałę swemu młodemu przyjacielowi, z tej śmiałej próby.

— Panie Aloizy, rzekł xiążę zbliżywszy się kouli-dentnie do pana Sulistrowskiego: to walny chłopak panie kochanku! Młoda krew, a przy zaletach innych jakie mu przyznajesz, wart czego lepszego jak patrocinów stryjowskich. Starościna bałamuci ze swoim babskim uporem.

— To też polecam go względem W. X. Mości w tej szczególnie okoliczności.

— A już ja go nie opuszczę!... daruj mu tego konia panie Aloizy.

— Z całego serca; ale pewny jestem, że nie przyjmie: spróbuję jednak.

Wyteżony wzrok wszystkich i ciekawe oczekiwanie, przerwało rozmowy; krótkimi tylko słowy ów nadzieję, ów wątpliwość, inny jedno i drugie «może wróci— może nie wróci» wyrażał. Aż wkrótce zabrzmiał okrzyk powszechny. — Wraca! wraca!

Jakoż zbliżał się wolnym i pięknym galopem, a Wkrótce przebył bramę, na śpionym ale spokojniuteńkim koniu Ludwik, i głaszcząc go wdzięcznie po szyi objechał wśród hucznych i z okien i z dziedzińca oklasków, jeszcze parę razy ujeżdżalnię, zsiadł nakoniec i oddał go masztalerzowi.

Arab parsknął, wstrząsł się i zarżał; a całe stado odpowiedziało głośnie i szerokim rzeniem, jakby chorem dzielnemu reprezentantowi ich rodu.

Spotkał go najpierwszy xiążę, uściśnął serdecznie, a za nim wszyscy. Podszedł i Stelnicki: a co? rzekł on z cicha.

— Mądrze poradziłeś kochany poruczniku, dziękuję.

— Panie Ludwiku, rzekł Sulistrowski, ponieważ potrafiłeś pokonać upor i swawolę tego warjata, a u mnie nikt tego nie może dokazać, więc zmiłuj się weź go sobie; przynajmniej go darmo karmić nie będę.

Takim sposobem oświadczając dar swój, Sulistrowski chciał jak najzręczniejsz uśpić drażliwą delikatność młodzieńca.

— Dziękuję, najpokorniej dziękuję, ale za względu tylko, których mi dowód pan dobrodzieju dać pragniesz, odpowiedział Ludwik, szczerym i wzruszonym głosem: przyjąć wszelako konia nie mogę, bo właśnie darmobym go karmił. On potrzebuje opatrzenia i starań, jakie tylko w dostatnich stajniach znaleźć może: szlachecka, żadnym sposobem nie będzie dlań dogodna, a bez tego, straci on nie tylko na piękności, ale i na rzeczywistej swej wartości i cnocie.

— Ja go od pana wnet kupuję, odezwał się pan Zenowicz. Dwieście czerwonych złotych —

Ludwik spojrział nań z uśmiechem... — niech go pan kupuje u właściciela rzekł, a tym jest pan pisarz litewski.

Ten spojrział na Radziwiłła, wzrokiem, w którym było zapytanie, a co? czy nie zgadłem? Radziwiłł pokręcił głową.

Gdy wrócili na ganek, a xiąże zasiadł znowu na swem kurulskim krześle, na którym rozpoczął był, za wspólną stron zgodą, kombinację między panem Sulistrowskim i Karmelitami, przeor ich, który sam tu przybył dla tak ważnego interesu, rzekł do xięcia: «Mości xiąże dobrodzieju! słyszałem niedawno «sprawiedliwą wymówkę xięcia pana, wyższemu naszemu duchowieństwu, obojętności o rozszerzenie «wiary naszej świętej, między niewiernymi. Niechże «za łaskawem pośrednictwem W. X. Mości JW. pisarz litewski zostawi nam dosyć funduszu, a my

zakonnicy zawstydzimy wysokich prałatów, i ja sam «o własnym sumptcie pojedę do W. sultana, byłem «tylko miał doń list od W. X. Mości.»

Rozśmieli się znowu obecni — panie kochanku, rzekł xiąże do przeora, masz głowę nie dla proporcji. Więc jakże panie Aloizy?

— Raz się zgodziłem na zdanie W. X. Mości i o nie sam prosiłem, więc i czekam.

— A waść xiężę?

— Nie pozostaje mi nic więcej, jak powtórzyć słowa JW. pisarza, a polecić fundusz nasz na chwałę Boską przeznaczony, i klasztor, pod szczególną opiekę W. X. Mości, jako w miasteczku xięcia będący, tejsze wspaniałej jego opiece.

— A masz waść z sobą *paecunium* (*) panie kochanku?

— Xiądz skłonił się nisko.

— Wyliczże panu Sulistrowskiemu pięć tysięcy dukatów — i odprawić sto mszy za duszę Korsaka, i sto drugie za pannę Sulistrowską, aby i na tamym świecie był pokój między niemi. To mój dekret kompromisarski!

— Dziękujemy zań W. X. Mości rzekły obie strony.

— Brawo! zgoda — wykrzyknęli wszyscy.

— To mi dekret odezwał się Kossowski, co i żywych i umarłych godzi.

— Panie skarbniku, rzekł z cicha Sulistrowski do Dowiaty: odbierzesz pieniądze od xiędza, i zakwie-tujesz go z całego dekretu trybunalskiego — honorarium pańskie liczy się od wygranej summy w Trybunale.

— Panie Aloizy, rzekł znowu xiąże, rozsądziłem cię z Karmelitami, ale któż nas samych rozsądzi?

— Jak to mości xiąże?

— A tak panie kochanku, zdaje mi się, że mamy między sobą, jakiś dawny proces, o jakąś wioskę tu w powiecie oszmiańskim będącą. Rupejko niedawno mi o tem wspominał, gdym się wybierał do Szerniotowszczyzny. O cóż tam idzie? zapewne lepićj ode mnie wiész panie Aloizy.

Sulistrowski rad był w duszy, że xiąże sam napomknął o interesie, do traktowania którego możeby nie mógł upatrzeć zdolnej godziny.

— A tak jest mości xiąże, prawda—mamy proces od pradziadów nam zostawiony: ale zostawmy go wolej prawnukom; a nie mieszejmy uboczną materją, wesołych chwil bytności tu W. X. Mości.

— Na to nie ma zgody panie kochanku. Ja nie mam dzieci, a zatem i wnuków mieć nie będę; ale mam chwałę Bogu przyjaciół; przynajmniej niech ci będą mi życzliwi, a bez żadnego ze mną interesu. Mów więc panie Aloizy o co idzie?

— Kiedy koniecznie tego żądasz W. X. Mość: to niechże i tu będzie kompromis.

— Dorze, wyśmienicie!

— A zgadzasz-że się xiąże na kompromisarza, którego podam?

— Zgodzę się panie kochanku, i każdego z obecnych tu akceptuję, bo wszyscy są zacni i poczciwi obywatele — daję na to moje szlacheckie słowo!

— Obieram więc na jedyne go kompromisarza, w sporze między mną i ordynatem nieświeżskim... tu zamilkł jakby się namyślał...

— Kogo panie kochanku?

— Xięcia Karola Radziwiłła wojewodę wileńskiego!

— Brawo! brawo! krzyknięto.

— Nie ma zgody na to panie kochanku! sam swojej sprawy sądzić nie mogę—nie ma zgody.

— Mam słowo W. X. Mości, że przyjmiesz każdego kompromisarza jakiego obiorę: więc oświad-

czam najuroczysiej, że ani tego szlacheckiego słowa W. X. Mości, ani rozprawy, ani obranego kompromisarza, ani jego dekretu nie odstąpię.

— Tak, tak, mości xiąże; odezwało się wielu — *f erbum nobile!* nie ma rady.

— Wpadłem w sak panie kochanku!... niechże i tak będzie—słucham sprawy.

Sulistrowski przywołał skarbnika. Stawię rzekł przed JO. Kompromisarzem mego generalnego plenipotentą: on świadomy wszelkich moich interesów, opowie i ten dokładnie, a plenipotentą obowiązuję, aby bez żadnych dyffugiów prawnych, jak najprościej...

— Ijak, jak najkróćiej przerwał xiąże.

— Ijak najkróćiej, powtórzył Sulistrowski, interes takowy opowiedział; ależ mości xiąże, któż będzie bronił interesu W. X. Mości?

— Moim plenipotentem panie kochanku będzie ordynat nieświeżski: co on powie, ja za moje własne słowa uznam.

Znowu oklaski i śmiechy rozległy się — ciekawy to kompromis! Ciekawy sąd Salomona!" *Inter nos loquendo...*

Śmiech znowu powszechny przerwał mowę skarbnikowi, którego przysłowie tak niestosownie do wielkiej kompanii słuchającej go, przypadło.

Niezmieszany skarbnik kontynuował — Wieś Świrany mości xiąże, mająca chat trzydzieście, sama jedna bez dworu, leżąca ztąd o mil trzy, oddawna przysłuchuje...

— Co to jest panie kochanku przysłuchuje? czy jej kto trąbi?

— To jest należy mości xiąże.

— A to tak i mów, panie kochanku.

— Należy więc oddawna do Szemiotowszczyzny, ale...

— Niechże i na zawsze należy i przysłuchuje rozkazom pana pisarza litewskiego, jako swego odtąd

dziedzicznego pana, bez żadnej pretensyi xięcia ordynata Radziwiłła.

— Taki jest mój dekret kompromisarski! panie Aloizy, dodał obracając się do zdziwionego Sulistrowskiego (*) proszę się nie przeciwzić ani obżalać mego dekretu. Ordynat nieświeżski zeń bardzo kontent, i upewniam cię, że się pogniewa i zmartwi, jeżelibyś nie chciał go przyjąć: a nie możesz panie kochanku, **boś** sam dał także słowo szlacheckie.

— Ale W. X. Mość nie słuchałeś całej sprawy: ja trzymam wprawdzie po moich antecesorach tę wioskę", ale dom Radziwiłłowski, którego dobra i prawa zjednoczyły się teraz w osobie W. X. Mości, długim, i aż dotąd trwającym procesem, zaprzeczał zawsze i teraz zaprzecza mi dziedzictwa, mieniając ją być tylko w zastawie, i pragnąc wykupna onej przez zwrót summy, kilkunastu kop groszy Litewskich...

— Na przeciw tego rzekł pan skarbnik, Sulistrowscy przynoszą...

— Ale ja nie chcę niczego słuchać panie kochanku! i nie łamcie mi tym już więcej głowy. Proszę panie Aloizy, dodał uprzejmie, kiedy mnie kochasz—koniec procesu między nami. Mikuć napiszcie z panem Dowiattem, co tam ku temu potrzeba będzie.

—Niechże się staje wola xięcia! rzekł Sulistrowski: nowe obowiązki wdzięczności dla ciebie xiężę, nie zwiększą bynajmniej, zyczliwości mojej i przyjaźni, bo ta jest najszczerszą i wieczną. Uściskali się oba—Vivat! jeszcze raz zabrzmiało: a Kossowski rzekł: — to mości panowie *Iasselka* nieźświeżska, lepsza bodaj od królewskiej *janczar ki*—i dano znać do obiadu.

Po obiedzie, na którym nie obeszło się bez klęki chów, spowodowanych zwłaszcza dwóma szczęśliwe

(*) Prawdziwe.

mi kompromissami: xiężę potrzebujący odpoczynku zniknął z kompanii, aby go użyć przez czas niejaki' Nie jeden z podeszlejszych poszedł za jego przykładem, kompania przeredziła się. JDamy w których zwyczaju nie było jeszcze przebierać się pokilkakrotnie, i w innej niżeli na obiad, występować na wieczorne zabawy sukni; rozeszły się to po ogrodzie, to po apartamentach rozległego domu Szemietow-szczyzny.

Pan Ludwik nie zbliżając się do Elżuni, nieodstępującej boku matki, przejmował tylko jej nieczęste ale miłe na siebie wejrzenia i własne na nią zwracał.

Korzystając z tej chwili powszechnego rozstrojenia kompanii, Sulistrowski zbliżył się do starościnej, i zręcznie odprowadziwszy ją do drugiego pokoju, z którego ona jednak nie straciła z oczu córki:— Wiesz co kochana kuzynko, rzekł, pomóż mnie dzisiaj zabawić xięcia: na jutro gotuję mu polowanie we zwierzyńcu; w następnych dniach, będą przejazdki, i inne przy tem krotofile. Lecz dzisiaj dzień spoczynku, a nie chciałbym aby to był dzień nudy dla xięcia i dla wszystkich.

— Cóż mam zrobić?

— Oto zróbmy mu jeszcze jeden kompromis—niech xiężę będzie sędzią między wami kochana starościno z Dowiattami.

Starościna zdziwiona na tę niespodzianą propozycję, prawie odskoczyła od Sulistrowskiego.

—• Czy na to mię sprowadziłeś panie pisarzu?

Sulistrowski wrócił znowu do swego uśmiechu, i nim pokrywając porywczosć starościnej, a muskając wąsika—Moja kochana kuzynko, rzekł: zaprosiłem cie na wspólną gospodynię domu mego, pewny bardzo, że go uweselisz i ozdobisz, i nie omyliłem się. Ale nie mogę powiedzieć, żeby w tym jeszcze nie było i szczególniejszego interesu...

"—Interesu pogodzenia mię z faworytami swemi

Dowiattami: prawdziwie kochany kuzynie dziwić się tej twojej dla nich miłości.

— Właściwiej starościno dziwić się bym mógł, twojej nienawiści... Ale nie zgadłaś prawdziwego interesu, choć jest twój własny....

— Mój własny? nie pojmuję.

— Czy zrobiłem małą przysługę kuzynce, przykładając się do wyjednania przedłużenia przywileju na starostwo Kapinowieckie? zapytał on zmieniając jakoby treść rozmowy.

— Dziękowałem ci szczerze kochany panie Aloizy; i chociaż nie dla tego mi to przypominasz zapewne abym ci moje dzięki powtarzała, powtarzam jednak, bo"znam, że nie tylko się przyłożyłeś, jak skromnie powiadasz, ale sam i jedynie ten interes pomyślnie dla nas dokonałeś.

—Cóż pani z tego przybyło?

— Dla nas nic wprawdzie, bo to starostwo dożywotniem jest męża mego, danem ojcowi jego, także z przedłużeniem na syna; lecz dla naszego znowu syna, a przyszłego po ojcu starosty, przybyło intraty jakie z tysiąc talarów.

—Oh! nie o to idzie—nie rozumiesz mię jeszcze starościno, i nie przypominasz własnych celów, ważniejszych może, niżeli to szczupłe powiększenie intraty. Pomyśl kuzynko!

— Tak... tak... kochany pisarzu, zgaduję nakoniec myśl twoją — prawda — mówiła jękając się starościna— odkryłam ci to kiedyś: potrzebowałam bardziej niż dochodu, i wyżej nadeń cenię... dowod przed litewską publicznością, przed wielą urągającym.. ubliżającym mnie nawet... zem nie zapomniana jeszcze w stolicy. Przy zachwianym stanie interesów naszych, potrzebowałam tego dowodu, nie dla dogodzenia próżności, ale mając dzieci, córki zwłaszcza, i los ich na sercu...

— I cel ten, rzekł Sulistrowski przerywając ambarassowaną spowiedź starościnej, jako tako dopięty.

Lecz nie zapomniałaś kuzynko, o ważniejszych jeszcze zabiegach, o celu jeszcze trudniejszym, a który gdyby się udał, przekonałby nawzajem Warszawę, żeś nie zapomniana na Litwie, i że twoich zadań lekcyce ważyć nie należy; do czego rozumiałaś być skutecznym środkiem, okazanie przewagi swej w Trybunale, przez wygraną sprawę z Dowiattami. A gdy ja ten środek mylnym uznałem, i gdy na mojem zdaniu z ufnością poległaś uważam się w obowiązku wynalezienia lepszego, i wynalazłem. Oto masz kuzynko odpowiedź, na twoje, daruj że powiem, porywcze zapytanie, dla czego tu cię sprowadziłem?

—Gniewasz się, rzekła starościna — a słowo to wymówione przez nią, z tak ujmującym wdziękiem, spojrzeniem i głosem, że rozbroiłoby Sulistrowskiego, gdyby i prawdziwie się gniewał.

—Nie, droga Kuzynko, nie gniewam się, odpowiedział on całując jej rękę. Gniewać się na ciebie! to nie podobna! Ale im bardziej cię kocham, tem mnie czulej dotyka brak twego we mnie zaufania.

—• No, więc mów co mam robić? rzekła starościna, powoli odejmując swą rękę.

Po tem mgnieniu wzajemnej tkliwszej krewieńskiej czułości, pan pisarz wracając do tonu statysty,—masz wiedzieć kuzynko, rzekł, że książę wojewoda gość nasz, jest teraz w najlepszej przyjaźni z Królem Jegomością. Po bytności monarchy w Nieświeżu, po bliższem osobistem poznaniu się ich, po rozmówieniu się poufnem, a najbardziej po naocznem przekonaniu się Króla, jak Litwa przywiązana jest do Radziwiłła, wpływ księcia u dworu jest nieograniczonym; i dla tego...

— I dla tego zaprosiłeś go do Szemiotowszczyzny, przerwała śmiejąc się starościna.

— Nie pani — odpowiedział z powagą Sulistrowski, ja sam sobie wszędzie wystarczę; lecz dla tego zaprosiłem ciebie kochana kuzynko: bo kto w swych

zamiarach warszawskich będzie się wspierać na ramieniu Radziwiłła, ten musi tam być uznanym znakomitym na Litwie i znajdzie ochotnych do pomocy sobie u Króla, niełatwo odmówić mogącego takiej instancyi. Otóż i drugi cel zbliżony, jeżeli sama dziś zechcesz do tego się przyłożyć.

— Jakimże sposobem? Staram się jak mogę bawić go i dopomagać twojej żonie.

— Och! z tym panem piękniemi twemi stówkami, nic nie wskórasz; zapomni o nich lub ich nie dosłucha; trzeba go inaczej zobowiązać. Widziałaś kuzynko, jak ja nie mając nic na widoku, jedno jego przyjaźń, dla ugruntowania jej, z ochotą z parę kroci odstąpiłem Karmelitom, na jego jedno słowo: jak potem on wzajemnie zrzekł się wsi, która mówiąc otwarcie jego była dziedzictwem. Ot takie czyny oznaczające zaufanie w nim, i szacunek wysoki słów i zdań jego, biorą go za serce i do wywdzięczenia się zobowiązują. Dla tego proponując ci obranie jego kompromisarzem w procesie z Dowiattami, daję ci zrzeczność zjednania go nazawsze. Przegrywając nawet zaścianek, wygrasz uręczam cię kuzynko daleko więcej. A któż wie czy przegrasz? bo wyrok zostawimy zupełnie sumnieniu xięcia, które jest prawe i poczciwe, a więcej warte niż głęboki rozum u innych. Zresztą jak potrafisz odmówić, gdy Dowiattowie ten kompromis zaproponują?

— Jakże ja tu bez mego plenipotentą prawować się będę u niego dowody i papiery; jak bez mego męża przynajmniej. Gzy 'to przyzwoicie?

— Bądź spokojna, wszystkiemu się zaradzi, a rozważ tylko kuzynko com ci powiedział: w roważaniu zaś tem, miej na względzie, żem ci prawdziwie życzliwy, i że nie zwykłem nigdy nic mówić w ważniejszych okolicznościach, nie rozważywszy wprzód wszystkiego najdokładniej.

Odszedł, zostawując starościnę zadumaną.

XXII.

Kompromis trzeci

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Gdy się pokazał xiąże na pokojach, a wesoła twarz jego, objawiła najlepsze dyspozycye, rzekł do niego pan Sulistrowski.

— Mości xiąże, jeszcześ W. X. Mość nie ukończył bodaj iunnkcyi sędziego; jeszcze raz, jeżeli łaska spełnić ją raczysz, na wieczną pamiątkę swojej dobroci, a zaufania w tobie litewskich obywateli.

— Panie kochanku, zmordowałem się i tak, biorąc mocno na rozum, aż musiałem odpocząć: dajcie mi więc pokój, a pogodźcie się sami kto tu z was prawuje się.

— Nie mości xiąże, pan Ludwik Dowiatt tęgi nasz dzisiejszy jeździec, nie mając sam żadnych zasług u W. X. Mości, ośmiela się przez moje usta wzywać i prosić xięcia na kompromisarza w procesie, jaki ma po zmarłym niedawno ojcu swoim z państwem starościństwem Kapinowieckim. Nie możesz W. X. Mość odmówić pierwszej jego prośbie; zwłaszcza jeżeli obecna tu pani staroscina krewna moja, równaż do xięcia zanieśie.

Ludwik zbliżył się i ukłonił się głęboko Radziwiłłowi.

Tak proste na pozór przemówienie Sulistrowskiego, było jednak dobrze obmyślane; bo objawiając on niejaką skłonność swą dla Dowiattów, objawiał razem i pokrewieństwo swe ze starościną: jedno nagradzało się drugim, a wiązało ją, trudnością odmówienia, a tem samem ubliżenia xięciu.

Wprzód jeszcze po rozmowie z Sulistrowskim, rozważyła ona dobrze tę jego propozycję i wyciągnęła z niej, jako wniosek: *drugie starostwo*; była więc już zdeterminowaną, i dla tego z wesołą i uprzejmą twarzą przystąpiła do xięcia.

— Kuzyn mój pan pisarz litewski, rzekła uprzedza zamiar mój, proszenia W. X. Mości, abyś raczył, rozsądzić nas z panami Dowiattami, bo widać że dzień dzisiejszy, wypadł W. X. Mości z przeznaczenia na dobre uczynki. A lubo tu męża mego niema, bo go choroba w domu zatrzymała, lecz ja zań ręczę, że on szanować będzie wyrok W. X. Mości. Sama zaś, gdy się domagam tej łaski, ośmielona jestem nie własnymi naszymi zasługami, bo ich wcale nie mamy, lecz mniemaniem, że familia moja Sapiehów z której się rodzę, może zasługuje na względy W. X. Mości, których ja dziś wzywam.

— Mościa starościno dobrodziko, gdyś Sapieżanka z domu, to nawet w konnexyi z sobą jesteśmy, bo nie sięgając dawniejszych czasów, w których się nieraz Sapiehowie z Radziwiłłami łączyli, nie ma lat sta, jak *Salomeą Sapieżanką* wojewody Mściławskiego Jerzego Sapiehy, z Połubieńskiej rodząca się córka, była *primo voto* za *Szczuką*, pod kanclerzym—*secundo* za *Nowosielskim* starostą luboszańskim, a z tym rozwiódłszy się, poszła za *Jerzego Radziwiłła* wojewody nowogródzkiego.—A wzajemnie *Karolina Radziwiłłówna* z Sanguszkówny rodząca

się córka Karola Radziwiłła, była za Kazimierzem Sapiehą hetmanem litewskim.

— Ależ W. X. Mość *erudyta* jak uważam w genealogii swego świetnego domu, odezwał się pan Chalecki podczaszy oszmiański.

— A tak panie kochanku, tak; każdy szlachcic powinien znać swoją progeniturę i wiedzieć z kim połączony, aby się tem lepiej kochać wzajemnie i aby nic takiego nie czynić, coby jego parentelę wstydziło. Waćpan naprzykład panie podczaszy jesteś także mój krewny.

— Chlubnie mi to byłoby bardzo, ale chyba mości xiąże po powszechnym ojcu naszym Adamie.

— Otoż nie tylko po Adamie, ale i po *Annie Kunegundzie Chaleckiej*, córce *Kazimierza Chaleckiego*, miecznika litewskiego, a żonie *Alberta Radziwiłła*, niedawno nawet zmarłej w Annopolu. Ale to była z rzeczyckieh Chaleckich, a oszmiańscy jak pokazuje się, nic o tem nie wiedzą.

— A czyż spadła tam na mnie jaka sukcesya, po zacnej kuzynce? zapytał podczaszy.

— Oj nie, panie kochanku, bo cztery córki zostawiła.

— Niechże w Bogu spoczywa?

Popisywałyby się jeszcze i dalej xiąże ze swemi heraldycznemi wiadomościami, które w rzeczy samej posiadał i których na portretach w zamku Nieświeżskim mógł się codzień uczyć; gdyby mu starościna nie przerwała mówiąc:

— A tak mości xiąże korzystając ze związków, do których się z chlubą przyznaję; prezentuję najprzód W. X. Mości młodszą odemnie kuzynkę, to jest córkę moją, na którą także spada zaszczyt tego świetnego pokrewieństwa.

Xiąże spójrzył ciekawie na dziewczynę, lecz niezdolny do pięknego, choć widocznie tu potrzebnego komplementu, uklonił się tylko grzecznie, a Elżusia dygnęła nisko.

Starościna spójrzała dumnie na Ludwika, wyrażając w tem spójrzeniu: «gdzież tobie do kuzynki Ra•dziwiłłów rodzącej się z Sapieżanki!!!*»

— Az kolei mości xiąże, rzekła po tej prezentacji starościna, ponawiam prośbę moję, abyś raczył przyjąć na siebie rozsądzenie ostateczne procesu naszego.

— A widać już, że jak mówiłaś starościno dobrodziko, dzień ten z predestynacji na mnie wypadł; o cóż więc idzie?

— Mości xiąże, rzekł Sulistrowski, tu musisz W. X. Mość wziąć się gruntowniej, i wyrok swój prawdziwie po sędziowsku na piśmie ogłosić: bo choć dokumentu na ten kompromis nie ma, ale gdy obie obecne strony, z zupełną ufnością, i w obliczu tak mnogich a zacnych świadków, wzywają xięcia za sędziego — przeto *propria oris confessio, stat pro scripto* (*) i to w dekrete zapisaniem być powinno. Pšie prawdaż panie Skarbniku? waćpan znasz te rzeczy najlepiej.

— Tak, odezwa! się Skarbnik, w niedostatku formalnego opisu, inaczej być nie może, i będzie ważnem.

Xiąże się skrzywił, bo gdzie szło o pisanie, tam mu niewielka brała ochota.

Co poznawszy Sulistrowski rzekł: — i dla tego W. X. Mość raczysz sobie dobrać regenta, lub sekretarza.

— A przecież mam własnego panie kochanku— Mikuć, wać regentem tego sądu.

{*} Własne ustne wyznanie, staje za pismo.

— Mówiłem ci panie Aloizy, rzekła starościna z cicha do Sulistrowskiego, że nie mam tu ani plenipotenty, ani papierów: któż będzie za mnie, i czem dowodzić? Na miłość Boga do czego to mnie prowadzisz?

Pan pisarz się uśmiechnął po swojemu, i rzekł: bądź spokojna kuzynko.

Postawiono więc stół w osobnym pokoju, pięknym go zakryto kobiercem, a na nim srebrny krucyfiks: xiążę zasiadł za nim z powagą, a Mikuć stanął za krzesłem z piórem za uchem.

Pan Skarbnik wystąpił przed stół ten i rzekł: «W imieniu obecnego tu synowca mego, aktora rzeczy «składam najuniżeńsze dzięki W. X. Mości, żeś tym «szlacheckim interesem, wysoki swój a pański ani-
«musz zajmować dozwalasz. Lecz go tłumaczyć szeroko i dowodzić nie będę, składać tylko W. X. Mo-
«ści dekret ziemstwa wileńskiego, którego prolog rzecz «całą *pro et contra* najdokładniej wyjaśnia; a odczekam się tam wyrażonej decyzji, bo ostatecznej «ze względów i sprawiedliwości Jaśnie Oświeconego «ko m promisarza oczekujemy.»

— Potrzeba panie Skarbniku odczytać ten prolog, rzekł Sulistrowski, aby strona przeciwna wiedziała, czy cokolwiek na jej krzywdę opuszczonego w nim nie ma.

Skarbnik zatem najuważniej i najsumienniej, nie zmieniając nawet głosu, bez żadnych własnych uwag lub dodatków odczytał go; my zaś znajomej treści powtarzać nie będziemy.

Starościna słuchała pilnie i wszyscy obecni; skinęła ona potem głową na Sulistrowskiego, a ten rzekł: «oddajemy teraz sprawę do namowy.»

— I my także, rzekł Dowiatt.

Wszyscy więc wyszli; drzwi zamknięto, a został xiążę z Mikuciem.

— No, i cóż waść na to, panie kochanku? rzekł xiąże do Mikucia.

— Czekam rozkazów i decyzji W. X. Mości.

— Patrz tylko żebyś nie podrwił głową, bo to nie żart, przed takim publicum napisać dekret.

— Będę się starał nie zawstydić W. X. Mości,

— Po niejakiem czasie i namyśle, rzeki xiąże. Oto tak, panie kochanku: niech będzie i wilk syt i koza cała, a niech znają, że u mnie decyzja jak z procy. *Niech baba bierze zaścianek, a ja Dowiattowi zapłacę!...*

Mikuć stał nieporuszony.

— Pisz więc panie kochanku! czego czekasz? wszak mię rozumiesz.

— Rozumiem mości xiąże; ale to nie będzie dekret; będzie to dar W. X. Mości, z którego dla obu stron wyniknie konfuzya; i suponuję, że Starościna nie przyjmie zaścianku, jakby *gratis* sobie danego, a Dowiatt nie przyjmie zapłaty, tracąc bez przyczyny zaścianek — tak będzie kompromis bez dekretu.

Xiąże pokręcił głową. Masz waść rację; nie przyjął konia — nie przyjmie i pieniędzy; ale wbiłeś mi klina — poczekaj, pomyślę inaczej. Takóż myślał xiąże — wása pokręcał, chodził po pokoju, nakoniec rzekł:

— A już nie ma inszej rady panie kochanku, rozważywszy wszystko, jak dać Ludwikowi Dowiattowi przysięgę na to, na co i ojciec jego, jako w tym dekrete stoi, onę sobie podawał. Niech ją wykona i przy nim zaścianek — i za cóżby nie miał wykonać? polegając na sumieniu ojca. Drożej tego nie kupić, mówi dawne przysłowie. Starościnej poradzisz się z panem Aloizym, potrafię to później wynagrodzić; ale tego waść w dekrete nie pisz.

— O teraz co innego, rzeki Mikuć; jest dekret i podług mojej ekwanimii, sprawiedliwy; za pół godziny ogłosimy go, i wezwiemy do przysięgi pana Dowiatta.

—•A widzisz waść jak dobrze wymyśliłem: piszże teraz, a prędeż, bo nie lubię siedzieć długo samotny, jak wieżę albo rekolekcyę.

Mikuć człowiek zdolny prawdziwie, i w skutek swych zdolności, a rekomendacyi i prośby xięcia, zaszczycony przez króla w Nieświężu indygenatem szlachectwa, nie dał długo nudzić się xięciu. Wpół godziny był dekret gotowy, napisany zwięźle, a jednak dokładnie i zrozumiale, w konkluzyi naznaczający Ludwikowi Dowiattowi, jako dziedzicowi majątku i praw wszelkich po swym ojcu, przysięgę, jaką i zeszyły ojciec sobie był podawał, na tem, że zaścianek Nadbrzeże nabyty był przez przodków ich prawnie i sprawiedliwie; lecz że na takowe nabycie papiery i dowody spaliły się razem z całym domem w Dowiattowszczyźnie, czego i zanesione dawno oświadczenie dowodzi.

Po wykonaniu takowej przysięgi wnet przed kompromisarzem, dekret kasował na zawsze pretensyę starościństwa o zaścianek: lecz w razie niewykonania onej, oddawał tenże zaścianek starościństwu, nie sądząc na żadną stronę jako w sądzie polubownym expensów prawnych, lub naliczeń intraty.

Gdy xiąże podpisał dekret — Mikuć otworzył pokój, "i weszła najprzód Staroscina prowadzona przez pana Sulistrowskiego, a za niemi cała ciekawa kompania, i między nią pan Ludwik ze stryjem. Odczytany wyrok, krótkie potem milczenie, huczne przerwało brawo — xiąże uśmiechał się i pokręcał wąsa.

Staroscina bladła i czerwieniała naprzemian; sama

niewiedziała jak się ma znaleźć i postąpić. Przenikający ten jej kłopot Sulistrowski, podszedł naprzód nieopuszczając jej ręki, a zatem ciągnąc ją prawie za sobą, i rzekł: radzi jesteśmy z dekretu, i dziękujemy za niego W. X. Mości.

Xiąże spójrzył na Starościnę, i z twarzy jej chociaż uśmiechającej się niby, poznawszy niezgodność z oświadczeniem Sulistrowskiego, spójrzył na niego ! pokręcił głową.

Wysunął się z tłumu Skarbnik, lecz go zatrzymał Ludwik.— Kochany stryju, rzekł on: rzecz mnie się osobiście tycze, dozwól więc mnie samemu i tłumaczyć się.

— *Inter nos loquendo*, mrucał Skarbnik, wsuwając się znowu w gromadę, niech gada, może w nim się odkryć niespodziany talent elokwencyi. A zaścianek nasz!

— Również mości xiąże rad jestem z wyroku odezwał się Ludwik, i dziękuję za niego najpokorniej.

— A zatem, rzekł Mikuć, wzywa pana JO. kompromisarz do wykonania naznaczonej przysięgi — i podsunął krzyż na brzeg stołu.

— Przysięgi nie wykonam!

— Jak to panie kochanku? zapytał go zdziwiony xiąże.

Pan Sulistrowski wzruszył się również zdziwiony, a wszyscy na niego oczy zwrócił. Skarbnik wyskoczył znowu z tłumu, stanął obok Ludwika, lecz go skromnie ręką odsuwając młodzieniec, — «tak mości xiąże! rzekł: dziękuję najpokorniej za sprawiedliwy wyrok, przyjmuję go sercem czystym i spokojnym, poddaję się warunkom jego dobrowolnie, i nie wykonywając przysięgi, odstępuję zaścianek, bez

«złej woli lub gniewu na wygrywających. Bogiem się
«na to świadczę!

«Drogą mi jest pamięć ojca mego! poczciwość
«jego była niepokalaną! prosta, szczerą a głęboką
«awiarą, była jego sumieniem; honor szlachecki w co-
«s dziennych życia przygodach był mu przewodnikiem.
«Przyświadczyć synowi chlubiącemu się z cnot ojca,
•znający go niedawno, a obecni tu zacni obywatele!
•mógłbym więc zda się w imię jego cnoty i sprawie-
«dliwości, wykonać tę mi naznaczoną przysięgę,
«A wszakże nie uwłaczam jego pamięci, za którąbym
«ochotnie ostatnią kroplę krwi mojej przelał, gdy
«jej nie wykonywam: bo gdy on przed sądem Bo-
«skim już stanął, modły mu tylko ode mnie na ulgę
«tego wyroku się należą, nie zaś przysięga, jakkol-
«wiek sprawiedliwa, ale w którą sama odległość cza-
«su, by najsubtelniejszy błąd wprowadzić mogła, i
«onajskrupulatniejsze sumienie omylić mimowolną
«niewiadomością. Ojciec mój! rzekł on nakoniec, wzno-
«sząc w górę oczy łzami zamglone, cnoty i wiary uczy-
«leś mnie mową i przykładem; niechże to będzie do-
«wodem, że wierny twej nauce! Niech to będzie
«oliarą na pokój mej duszy' w tem życiu, a twojej
«w wieczności!®

Pięknie, szczególnie natenczas, gdy tę apostrofę
mówił, i jaśniejąco, że tak powiem miłością synow-
ską, oblicze młodzieńca, zapłomienione było uczu-
ciem pałającym mu wewnątrz; a to uczucie rozlało
się po zgromadzeniu i po twarzach sędziwych ojców
wspominających lub patrzących na własnych synów,
wspominających na zmarłych swych rodziców! Wszę-
dzie tkliwość wrodzona wybiła się łzami na lica.

Nie było okłasków—milczenie w sali: ale starsi
weterani", podchodzili tłumem do Ludwika, ściskali
go tkliwie, całowali w czoło, i nie jeden przeżegnał
go jakby błogosławiąc i dziękując mu w imieniu
wszystkich ojców, za ten przykład poczciwości, mi-

łości synowskiej i wiary, którą oni nad wszystkie światowe zalety w młodzieńcu cenili, i ktdrą we własnych dzieciach, również prawdziwą i głęboką widzieeby chcieli. Młodzi także ściskali go za ręce, a w każdym ściśnieniu był dlań zakład szczerej i stałej przyjaźni. Była to scena, tkliwa razem i uroczysta. Xiąże siedząc jak' przykuty za stołem i oparłszy głowę na rękę, patrzył na to wszystko stale: a ze wzroku jego i milczenia, Mikuć stojący na boku skromnie, ze zwiniętym w rękę dekretem, wróżył na pewno, i szeptał innym, że dotknięte do żywego pocziwe serce xięcia, wybuchnie wnet, jakimś pamiętnym, a godnym dnia tego czynem.

Pan Sulistrowski, na którego rękę wspierała się starościna, pogodnie i wesołe spójrzenie oprowadzając po wszystkich, uśmiechał się, nie zwykłym swym ironicznym, ale swobodnym i miłym uśmiechem, a pieścił piękny swój wąsik; bo lubo i on nie przewidywał tego, co się stało, wszakże zadowolnionym był wewnątrz, że protegowany przezeń u xięcia młodzieniec, tak godnie ziścił rekomendację jego. Starościna tylko sama jedna, blada i ze spuszezonymi w ziemię oczyma stała niewzruszona. Pomięszalo się j°j w głowie: uczuła bowiem, że czvn Ludwika, w jednej chwili tak go wysoko stawil w szacunku publicznym, a tem samem taką jej samej w konsyderacyi czynil szczerbę, że wszystkie jej projekta, wielkiej doznać mogły mitręgi, jezeliby nagłym jakim pochopem, nie zdołała się wzbić, nad tę powodź uwielbień dla Ludwika. Szybko więc w głowie, jak szuler szukający w całej talii karty, mającej mu odegrać zabity parol, przerzucała ona myśli, jedną po drugiej.

Nakoniec Elżbieta w gronie dziewic w drugim pokoju, widząc przez otwarte podwoje, tryumf ulubionego, i słysząc wprzód jego czułą apostrofę, ocierała bujne krople łez, po jej ślicznych jagodach płynące.

Nie wzbudzało to w nieświadomych jej uczuć towarzyszkach żadnego podejrzenia, bo i kilka innych również roztkliwienie ogarnęło. Ale piękne serce Elżbiety, nowem, tajeumem, a niezłomnem ogniwem łączyło się z Ludwikiem w tej chwili. — O! będę jego żoną! albo niczyją! — myślała ona.

— Mości xiąże, — rzekł uściskawszy czule, jako i wszyscy weterani Ludwika, pan Oskierko, oparty na kilofie jedną ręką, a drugą za pas w boki założywszy, z tryumfem niejakim i chlubą: mości xiąże! mamy jeszcze chwała Bogu pocziwą młodzież.

—• Tak, mamy, — przerwał mu xiąże, budząc się z zadumania i powstając z krzesła—mamy chwała Bogu, mamy panie kochanku! umiejmyż ją kochać. Uścisnął potem Ludwika, i biorąc go za rękę prowadził przed starościna. Szedł młodzieniec nie mogąc się oprzeć xięciu; starościna widząc zbliżających się, chciała także uniknąć spotkania i jak mniemała pojednania, lecz ją trzymał Sulistrowski.

Xiąże stanął przed nią z powagą, a uroczyście rzekł: — Mościa starościno! oto jest godnej krwi szlachcic, a mój od dziś dnia przyjaciel, w którego imieniu proszę dlań o rękę córki twojej, kochana moja kuzynko!

— Co to jest mości xiąże?—krzyknęła starościna.

Ludwik także chciał swą rękę wyjąć z żelaznej dłoni xięcia, ale nie zdołał.

— A tak! tak panie kochanku! *Radziwiłł swatem! za panem Dowiattem!* A dalibóg słyszycie waćpaństwo? A toż ja wiersze powiedziałem, wyśmienicie udało się!

— Brawo xiąże nasz! brawo!

— Mikuć, zapisz to wać u siebie, bo wróciwszy do Nieświeża, poszlę te kadencye do Słonima panu

hetmanowi Ogińskiemu, który pisze piękne opery, a ze mną chciał iść w zakład o *Białynicze* (*), że ja na życiu żadnego wiersza nie skoncypuję; proszę zatem wszystkich tu obenych zacnych obywateli, abyście mnie w potrzebie przyświadczyli.

Po tym ustępie, który rozśmieszył wszystkich, wracając znowu do poważnego tonu xiąże— I cóż na to mościa starościno? rzekł.

— Nie spodziewałam się tej propozycji od W. X. Mości, zwłaszcza po przyznaniu mię swoją krewną.

— A gdybyś była moja pani i moją rodzoną siostrą, tobym życzył schować mitrę do kieszeni, a wydać córkę za poczciwego szlachcica, a zatem równego urodzeniem każdemu xięciu. A co lepszego pan Morawski? a przecież moim jest szwagrem, choć zająkliwy! A sama moja pani kuzynko, wszakże Sa pieżanka.

— Tak mości xiąże, ale....

Sulistrowski w tej chwili odszedł.

— I jakież *ale?* panie kochanku, perorował dalej xiąże, chyba jedno *ale:* to jest,— ale czy się zgodzi na to godna córka asaui dobrodziki? bo jeżeli chciałaś napomknąć mościa starościno o fortunie...

— Mości xiąże, przerwał Ludwik, którego stan był óo nieopisania.

— Panie kochanku, milcz waść i stój!... bo mościa starościno, czyim Radziwiłł swatem i przyjacielem, tego żona także starościna być może... i ten nie złamie subie głowy dobijając się krescytywy i substancyi.

— *Inter nos loquendo*, mości xiąże dobrodzie-

(*) Białynicze wielkie dobra, w polockiem natenczas województwie.

ju, — odezwał się zbliżając pan skarbnik, mamy się szlachecko, ale dostatecznie; a komparując *aktiva* i *passywa* rozumiałbym.

— Oto przyprowadzam, — zawołał wtem Sulistrowski wiodąc Elżbietę, — najwłaściwszego sędziego w tej sprawie.

Lekkim okraszona rumieńcem, ale pogodna i spokojna twarz dziewczycy, oznaczała również spokojny wewnętrzny jej stan duszy i stałe postanowienie nieukrywania swych uczuć, w tej stanowczej na całe jej życie chwili. Ośmielił ją jeszcze i utwierdził kilką słowami Sulistrowski, gdy ją determinował aby z nim razem szła do matki; a dodały odwagi towarzyski szepcząc na ucho odchodzącej: śmiało! śmiało! piękny i poczciwy chłopiec!

Starościna rzuciwszy okiem na przychodzącą córkę, zdziwiła się jej spokojności i swobodzie; a uprzedzając xięcia:—moja córko, rzekła tonem, pełnym powagi i niejakiej dumy, xiąże Jegomość używając, a ciszej dodała z suchym uśmiechem do xięcia, bodaj nadużywając, prawa pokrewieństwa tak dla nas chlubnego, oświadczając w imieniu obecnego tu pana Dowiatta, żądanie...

— Prośbę panie kochanku — prośbę Mościa starościno — prośbę o twoją rękę, dokończyła starościna. — Ty wiesz dobrze myśli rodziców twoich w tym względzie, rodziców, pragnących jedynie twego szczęścia, a lubo tak wysokie wdanie się...

— Moja droga matko, rzekła Elżbieta ujmując jej widocznego kłopotu odmawiania xięciu, a sama nie zdołając już panować nad bijącym gwałtownie sercem, i zasłaniającą się łzami źrenicą; — moja droga matko, znam dobrze i wiem myśli twe i postanowienia, ulegam im zupełnie i z pokorą; bo was kocham tak szczerze! tak czule! i z całej mojej du-

szy!!! Żądajacemu więc ręki mojej młodzieńcowi, odmawiam.

Ludwik się zatrząsł — Radziwiłł go ścisnął za rękę.

— Daruj mości xiąże, posłuszna jestem jak powinnam woli rodziców moich. Ale moja droga matko, mówiła dalej dziewczyna, zbierając wszystkie swe siły na to trudne wyznanie, na te słowa, które gdyby zamilczała, nadzieje związku jej z Ludwikiem znikłyby już nieodwrótnie. Wymówićby ich jednak nigdy nie zdołała, gdyby jej uczucie dla niego ożywionym i podnieconem stokrotnie nie zostało w tej jednej chwili, w której cnota, wiara i prawość serca jego tak jawnie się wydały, i chwalebnie powszechnem uwielbieniem były uwieńczone. — Jego żoną, albo niczyją, wyrzekła natenczas w duszy Elżbieta; a gdy niespodziewanie tuż wynikł moment, ostatecznego dla niej kroku, energia tem postanowieniem natchniona i wsparta, przemogła bojaźliwość dziewczyną i ośmieliła usta do śmiałego objawienia stanu serca.

— Ale moja droga matko! mówiła zatem Elżbieta, innego żoną ja nigdy nie będę; posłuszna tobie, odrzekam się skłonności moich od dzieciństwa powziętych... dalej już mówić nie mogła, i z rzewnym płaczem rzuciła się na łono matki.

— Mościa starościno rzekł xiąże, któż tu nadużywa praw swoich? czy ja, który dwójgu kochającym się poczciwie, chcę wyjednać szczęście i błogosławieństwo rodzicielskie? Gzy imoś dobrodzika, która doli swojego dziecka zaprzeczasz? A to panie kochanku tragedia!

Ludwik stał osłupiały obok xięcia, ze wzrokiem jakby obłąkanym a utkwionym razem na matkę i córkę spojone w jednym objęciu.

Porucznik postrzegłszy taką jego postać, podszedł

doń, i szepta? mu na ucho tkliwym głosem przyjaciela: — Ludwiczku upamiętaj się*—a szmer głuchy po zgromadzeniu rozchodzący się, przygotowywać zdawał, ogólny atak na starościnę, w sukurs usiłowaniom xięcia, który mówił dalej:—W Bogu nadzieja panie kochanku, a tymczasem, po oświadczeniu tak szczerem i tak razem cnotliwem, bo z wolą rodziców zgodnem panny starościanki, a które na całą Litwę naszą sławnem będzie, oświadczam ja także, ja panie kochanku! że ktobykolwiek śmiał swatać się do niej, na przekor jej sercu i postanowieniu, ze mną, ze mną panie kochanku! a głos jego był grzmiącym i stałym, ze mną mieć będzie do czynienia! — Vivat nasz xiąże okrzyknięto! wszyscy my sekundanci W. X. Mości.

Xiąże wstrząs! natenczas mocno rękę Ludwika, którą dotąd trzymał, i dumnie pokręcił wąsa.

Starościna wzruszona także, bo jakżeby mogła dotrwać tylu razem wrażeń, chciała odejść z córką; ale zatrzymał ją Sulistrowski. Szepnął on jej na ucho: »gubisz córkę, siebie, i wszystkie tve nadzieje, i widokU Ukłonem wyrazistym zatrzymał on także na miejscu nieukontentowanego, a poglądnącego z podełba na starościnę xięcia.

— Kuzynko, rzekł on, dzień ten i scena ta, nie może się tak skończyć, i zastanowić się na peryodzie jak jest teraz; bo w sercu i twojem, i córki twej, i xięcia, i nas wszystkich, zostawiłoby gorzkie wspomnienie. Matka, rodzice żądają zawsze szczęścia swojego dziecka, tylko, że upatrują dla nich szczęście częstokroć, okiem własnym, wiekiem i światem skoszonóm; a Bóg inaczej to widzi, i w sympatiach młodzieży, przeznaczenie swe objawia.

— Gadasz jak Katembrynk panie Aloizy, przerwał xiąże.

— Bo i tu właśnie jest toż samo mości xiąże. I

dla tego potrzeba pobłażyć troskliwym myślom matki, względem losu swego ukochanego dziecka; tak jak matka powinna pobłażyć i mieć wzgląd na skłonności uległej zupełnie córki, poświęcającej te skłonności jej woli! a w których nie tylko nie ma nic naganego, lecz owszem, które wzajemna cnota, tak jawnie okazana, tem bardziej jednoczy i gruntuje. Dla tego moja kochana kuzynko...

— I moja także panie kochanku!

— Racz się zgodzić na to, aby ten poczciwy i zanny młodzieniec był odtąd deklarowanym ambijentem do ręki twej córki, a wysługującym względy wasze rodzicielskie.

— Byle tylko nie tak długo jak Jakób za Rachelę, panie kochanku.

— Nie mającym, przedłużał Sulistrowski, jeszcze waszego zezwolenia, które zupełnie od woli waszej zależeć będzie; ale mającym za sobą swą cnotę i prawość, serce panny i dostojne swatostwo xięcia, a tem samem jego opiekę i przyjaźń dla domu waszego... a przy tych słowach ostatnich ścisnął rękę starościnej.

— Brawo! Brawo! Starościna dobrodziko, wyborny projekt — okrzyknięto zewsząd.

— Jakże moja kuzynko? toż moja instancya i przyjaźń nic u ciebie nie ważą, rzekł xiąże biorąc jej rękę i trzymając ją w oczekiwaniu. Starościna się uśmiechnęła. Uśmiech ten był hasłem powszechnej wesołości.

Radziwiłł swatom,

Za panem Dowiatem!

zawołano chorem: Vivat!

— Dajże kielicha, panie kochanka — rzekł Radziwiłł.

W kilka potem miesięcy, gdy się żałoba Dowiatów ukończyła: pod wieczór pięknego letniego dnia, kilkunastu wybornie ubranej młodzieży na dzielnych koniach, jechało pięknym orszakiem ze dworku na Antokolu pana Dowiaty. Na ich czole jako przewodnik kalwakaty harcował pan porucznik Stelnicki błyszczący od szlif, blach, taśm złotych i pendentów, na porceleno-strokatym tarancie, którego gdzieś wielkim kosztem okupił; za nim jechał pan Ludwik na karym arabie, którego musiał nakoniec przyjąć w podarunku od pana Sulistrowskiego, za niemi liczna gromada towarzyszy, i nakoniec masztalerzy.

Przejechawszy tak oni kilka ulic między ciekawymi widzami, zawrócili się na Trockę i zsiadli przed pałacem pana pisarza litewskiego, rzesystem oświeceniem wewnątrz jaśniejącym. Za ich tam wejściem zabrzmiała muzyka, a pytającym się na ulicy nieświadomym powodu tej uroczystości, odpowiadali świadomszy — A to dziewiczy wieczór panny starościanki Kapinowieckiej wychodzącej za mąż za pana Ludwika Dowiaty, tego co to jechał na karym koniu.

— Czemu nie? bogata para, mówiono: panna wzięła po śmierci jakiejś ciotki Dulskiej, kilkakroć sto tysięcy, a panu młodemu stryjasek mecenas trybunalski, podobno drugie tyle odliczył. Radziwiłł zaś przyjął tę wspólną sumę i dał obojgu za bezcen w zastaw wielkie dobra w Słuczczyźnie; on to bo podobno zeswatał to małżeństwo.

Już się zciemniało; tłum patrzący z ulicy w okna drugiego piętra, rozszedł się nakoniec, gdy kompania liczna w salonach raptem się do okien zbiegła—

bo pod niemi na ulicy zaśpiewano kilkunastu dobra
nemi głosami, w ktorych dyszkant celował:

„Zakładajcie konie karę!

I CHOREM: „Złącz Boie tę parę!

„Zakładajcie konie gniade!

I CHOREM: „DO ślubu niech jadą!

„Zakładajcie konie siwe!

I CHOREM: „Daj Boie szczęśliwie! (*)

(*) Dawne weselne sztrofki.

KONIEC POWIEŚCI.

ZAKOŃCZENIE
OBRAZÓW LITEWSKICH.

Dopisawszy ostatniej kartki tego tomiku kończącego moje Obrazy Litewskie, złożyłem pióro... i spójrzałem na cały ich zbiór z zadowoleniem obejmującym zwykle każdego pracującego, po ukończeniu pracy. Z rozrzewnieniem i wdzięcznością, myślałem o pobłażliwym przyjęciu przez ziomków, tej mojej dla nich ofiary, i tkliwym, a jakby ostatniem wspomnieniem żegnałem się ze snującymi się po mojej wyobraźni osobami, pod których to opieką, to wpływem, pielęgnowała się niegdyś młodość moja, i których z za grobu, po kolei do siebie wzywałem na wzory cnót i obyczajów ojców naszych, mających być przykładem nam i potomkom.

Lecz czyliż pisma te moje, dójdą rąk potomków? Czyliż mają dość wartości i wdzięku, aby odpowiedziały pospolitemu głodu *utile cLulci* (*), ale najwłaściwшему każdej podobnej książce, i zapewniającemu jej długotrwałą między ziomkami pamiątkę? Czyliż trafię do serc wszystkich? Wszystkich!.... to niepodobna! do serc przynajmniej wybrańszych, niezarażonych wpływem mętnych idei, i takich, którym cnoty naddziadów, ich wiara i prostota miłe są i drogie; którzy je pielęgnować we własnych sercach pragną, i którzy pojną i uczują, że pisząc te obrazy, za każdym prawie wierszem, sercaia się także swojego radził. Serca, w którym miłość przeszłości pocziwej, z gorącym życzeniem dobra moralnego dla współczesnych ziomków, ściśle połączone.

(*) Pożytek z przyjemnością.

Ta wątpliwość, to pognębiając moją miłość własną, to na niej wsparta chyląc się ku nadziei, znużyła niepewne myśli moje, jakby ojca usiłującego odgadnąć przyszłe losy ulubionych swych dzieci. Znużenie to objęło ciało i duszę: pierwsze usnęło, druga nie przestała marzyć jakby na jawie...

I ujrzałem się w domku mojego dziadka.

Taż sama niska strzecha, też okna różnoszybne, ten ganek staroświecki i od niego w różne strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa (*). Ten ogródek zakwitły pod oknem w siarczyste gwoździki i nagietki, zdobiące dawniej w niedzielę i uroczystości, głowy wiejskich dziewic i ramy świętych obrazów w pokojach

**Wszystko tak jak tyio,
Tylko się ku starości jeszcze pochyliło.**

Dzień się zniżał ku zachodowi, i w oddaleniu dawał się słyszeć odgłos dzwonu kościelnego; a bliżej w domku, jakby zaczynane i przerywane znowu tony i słówka dawnych piosnek, to pobożnych, to światowych, których echa odzywały się w przeszłości mojej, i które pamięć moja i serce kończyły.

A co najbardziej, tenże sam krzyż, pod którym tylekroć z dziadkiem moim, proste a gorące odma-
wiałem paciorki i pod którym teraz... jego samego ujrzałem!

Siedział na kamieniu w tej postaci, jak go raz ostatni za życia widziałem; oparty na nieodstępnej swej podporze, kiju prostym, mosiężną skówką pokrytym, zdawał się życzliwym okiem oglądać na mnie, zbliżającego się ku niemu nieśmiało...

— »Czegoż się trwożysz moje dziecię? rzekł on,
•chodź do mnie po dawnemu i usiądź obok, a nie-

(*) Domek mojego dziadka. Serya I-sza.

-spokojne twe myśli zbierz w jedno westchnienie do
•Boga, o szczęśliwy skutek usiłowań twoich...

•Czas wielkiej próby przyszedł na plemię wasze
•moje dziecię; zepsucie otacza was zewnątrz i weszło
•wewnątrz was, i trawi tam wszystkie wasze cnoty
•rodzinne, przy których gdybyście w tej próbie wy-
trwali, wyszlibyście z niej z niepokalaną duszą,
•czystą i usposobioną do wszelkich odmian i wypad-
»ków, jakie czas spełniający przeznaczenie Boskie,
•na ten świat sprowadza!

•Dla czegoż ten domek mój, w którym cię wypie-
lęgnowałem, stoi dotąd mocno i trwale? bo go na
•dawnych i odwiecznych fundamentach postawił; bo
•ich nie wyruszyłem zgłębi ziemi, do której wrosły;
•bo ich nie zastąpiłem kruchą i niewytrawioną gli-
•ną, któraby się już dawno rozsypała i domekby
»mój upadł!

»Wieki i lata przemijają moje dziecię, a w nich zmie-
niają się myśli ludzkie, zamiary, postanowienia, nadzie-
je i losy... Ale są rzeczy i zasady, które się nigdy
•zmienić nie mogą, których płocze usiłowania ludzkie
»nie wzruszą; bo one są pod opieką Ducha Bożego, który
»jest duchem prawdy wieczystej i nieodmiennej. Które-
•go my wyznając i wielbiąc w szczerości serca i du-
•szy, prostaczkowie w porównaniu z waszem rozu-
•mieniem pokoleniem, nie odstępowałyśmy właśnie tych
•odwiecznych zasad jego mądrości danych ludziom,
»dla ich prawdziwego tu na ziemi i tam w niebiosach
•szczęścia. Nie poniewierajcie więc przykładami na-
•szemi. W doskonałości waszej coraz jakoby wyż-
•szej, którą się chlubicie, nie zapominajcie że my,
»w gorliwej wierze naszej, w cnotach z niej wypły-
•wających, to jest, w miłości powszechnej i brater-
•skiej między sobą, w skromnej mierności i prostoc-
cie domowego pożycia, a w szlachetnej prawości
•postępków, znajdowaliśmy tę swobodę i spokojność
•umysłu;—w biedach i przygodach, to zaufanie w opiekę
•i wolę Boską, jakich wy, w głębokich dociekaniach

•waszych i w wątpliwem mędrkowaniu, nigdy nie znajdziecie!...

— Ot co jest! prawda panie strażniku dobrodzieju, ot co jest!...

Zwróciłem oczy i ujrzałem stojącego obok, znajomego mi opisanego w Pamiętnikach Kwestarza, X. kustosza bernardyńskiego.

— »Wy zaś *skryptorowie*, mówił dalej dziadek r-mój, którzyście przedsięwzięli nauczać ziomków waszych, i którzy bronicie pamięci, obyczajów i przymiotów naszych; stójcie, jak dawniej my szlachta »na granicy dyfferencyi, aby napastnik i uzurpator »ani kroku za nią nie stąpił. Stójcie i strzeżcie tak, »aby obca, zła i niechrześcijańska zaraza, nie wspomogła się coraz nowemi posiłkami i nie wyrugowana do reszty z serc wszystkich, rodzinnej poczciwości waszej. A póki skryptury i xięgi wasze, z taką miłością czułą i serdeczną, i z takim życzeniem »dla braci waszych pisać będziecie, z jakimi stary •dziadulek naucza katechizmu swoje małe wnuczęta »i broni je od zgorszenia; z jakimi naprzykład ja ciebie nauczałem — póty nie lękajcie się Zoiłów: bo

„Nie zginie wiecznie żywa
 „Święta Chrystusowa wiara!
 „Nie zginie mądrość prawdziwa,
 „I poczciwość nasza stara!" (*)

ot co jest! prawda! ot co jest! odezwał się kustosz... i ja się ocknąłem.

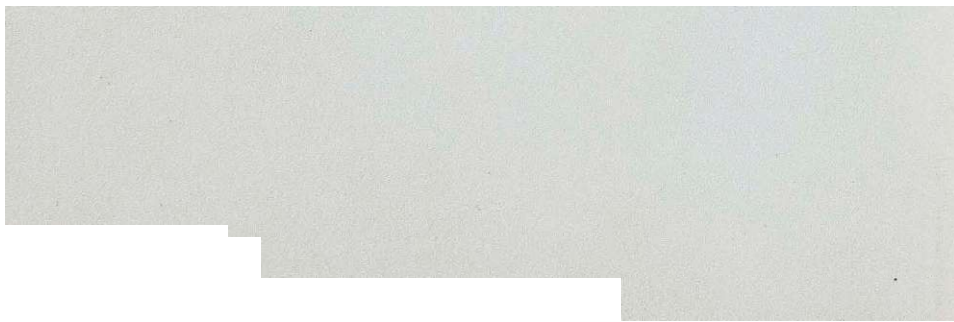
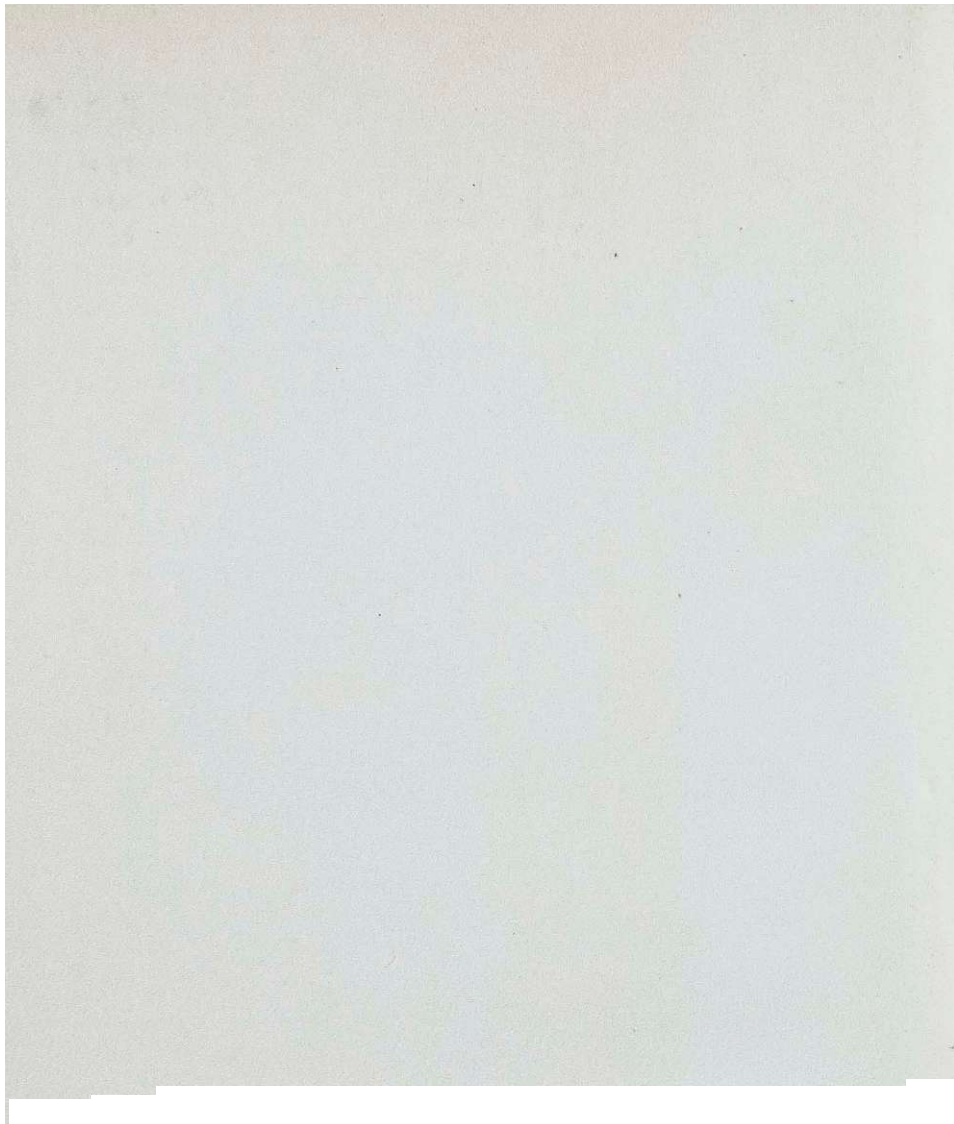
(*) Godło z pićrwszćj Seryi.



Koniec piątej Seryi Obrazów Litewskich.

S p i s R o z d z i a ł ó w .

	<i>Stronica.</i>
Rozdział 1.	5
— II. Rodzina Dowiatów.	10
— III. Pan Skarbnik jako Mecenaz Trybunalski.	12
— IV. Aplikanty.	17
— V. Xiądz Ambroży. <i>Nalóg i sumienie.</i>	16
— VI. Pan Ludwik Dowiat.	36
— VII. Rada Familijna i Gość.	41
— VIII. Bywalec—Śpiewaki.	59
— IX. Podróż.	77
— X. Starościństwo Kapinowieccy — Proces.	84
— XI. Swaćba.	94
— XII.	113
— XIII. Wielka Reduta — Turek.	116
— XIV. Otwarcie Trybunału.	134
— XV. Zabiegi.	141
— XVI. Sprawa Pana Pisarza Litewskiego.	157
— XVII. Namowa i Dekret.	165
— XVIII. Szemetowszczyzna.	175
— XIX. Znowu Xiąże Radziwiłł <i>Panie Kochanku</i>	179
— XX. Podróż Pańska.	183
— XXI. Przyjęcie—Kompromisa.	193
— XXII. Kompromis trzeci. Rozdział ostatni.	225
— Zakończenie Obrazów Litewskich.	243



~~200,000~~

370/22

